

# NOWA POLSKA

## MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 12

LONDYN

GRUDZIEŃ

1944

ANTONI SŁONIMSKI

### MODLITWA O SŁOWO

Z gruzów podźwigną się domy  
Ogromne,  
I stanie bank gotycki,  
I świątynia żelbetonowa.  
Ale jak odbudować słowa,  
Ale jak dźwignie się mowa  
I wieża i schron poetycki?  
Zbombardowano ją straszliwiej  
Niż Rotterdam i Warszawę.  
Słowa, sylaby, litery,  
Monstra kalekie, chimery  
Podrywające się do lotu,  
Bakterje semantycznej ropy,  
Robactwem czcionek rozsypane,  
W ziemię wdeptane butem,  
Kto zbierze na polach Europy,  
W jaki piec rzuci, w jaką hutę  
I jakim żarem przetopi ?

Ziewasz gdy słyszysz  
Słowa: Wolność, La Liberté, Freedom.  
Wytarły się w długim użyciu  
Stare monety.  
Ale powiedz te słowa Żydom,  
Polakom, szepnij Norwegom,  
Krzyknij je przez sztachety,  
Przez drutów kolczaste zasieki,  
Gdy idą skuci w szeregu,  
A zadrzą szeregi, zadzwonią łańcuchy,  
Oczy zapłoną gorączką nadziei,  
Oczy świecące, krążące jak duchy,  
Jak duchy w cmentarnej zawiei.

Ukołysani dziewiętnastym wiekiem  
Zawierzyliśmy słowom  
Pół prawdom, pół bogów,  
Że trzeba miłować wrogów,  
Że człowiek jest aż człowiekiem.

Lecz tam gdzie słowo przez opar mglisty  
Przedrze się iskrą, przerodzi w znak,  
W rachunek ścisły  
Czasów i miar i wag,  
W retorcje alchemisty  
Co czyta Faust nowy,  
Odwieczny Mag?

Wstrzymaj się, wstrzymaj badaczu szalony  
Przed drzwiami laboratorii.  
Czy widzisz? Małopod uskrzydłony  
Krwia maże karty historii.  
Twoje wykrada sekrety,  
Twoją myślą i twoim natchnieniem  
Ujarmia ziemię.  
Jak dziś miasta  
Rzuca w odmęty,  
Jutro  
Zetrze z map naszej planety  
Kraje i kontynenty.

Zbuntujcie się, zbuntujcie badacze szaleni,  
Obląkani docenci.  
W czyje ręce oddaliście dynamit?  
Jak kapłani egipscy, jak święci  
Zejdzie w podziemia piramid.

Niech się zbliżą ludy tej ziemi,  
Wierzące i bezorężne,  
Nim je zbliżą skrzydłami białymi  
Płatowce dalekosiężne.  
Niech się uczą ludzie w przyjaznej dobroci  
Czytać w oczach i czytać w uśmiechu,  
Zanim milion huczących obrotów,  
Sto tysięcy mechanicznych koni,  
Zadyszanych, sprężnych w pośpiechu  
Zawierzycie jednej ludzkiej  
Dłoni.

O jakież świat modlić się nam trzeba,  
Nam targanym klęską,  
Nam którzyśmy śmierć ziemską  
Wynieśli pod stropy nieba?

Zmiłuj się Panie nad nami,  
Nie karz surowo.  
Uskrzydlij nas, podnieś słowami,  
Przywróć nam SŁOWO.

Jednaka niech będzie miara,  
Jak sylab jednaki rząd.  
Niech wiara znaczy — znów wiara,  
A błąd niech oznacza — błąd.  
Dla możliwych i dla skrzywdzonych  
Jednaki niech będzie sąd.  
Przywróć nam słowo natchnione,  
Przywróć nam więzę i schron.  
A kiedy w skokach szalonych  
Nieznany odkrywa ład  
Niech będzie błogosławione  
Choć gorzki przyniesie plon.

## LUDZIE NA WSI

„Widzisz, jakby ci to wytłumaczyć...” mówił do mnie Pan Ł. — te likiery to był towar kredytowy... Na przykład to samo ze zbożem. Jeżeli zadasz sobie trudu, zasiejesz, zbierzesz, wymłócisz i zmielesz na mąkę to dostaniesz za to tylko weksle — ale jak sprzedasz jeszcze na pniu to będziesz miał gotówkę. Mąka to towar kredytowy a pszenica w ziarnie to gotówkowy...”

„Rozumiem, spirytus z gorzelnii to towar gotówkowy a likiery to kredytowy — ale dlaczego tak jest?”

„To już tajemnica ekonomii agrarnej” powiedział Pan Ł. „w każdym razie, te likiery po kolosalnym wkładzie w rozmaite maszyny i specjalistów poszły w komis, dostałem za nie weksle, na dwadzieścia tysięcy złotych weksli mam i przyszedł kryzys i teraz mogę sobie tymi wekslami palić w piecu — taki był pierwszy eksperyment mojej duszki „entre nous soit dit”.

Szliśmy brzegiem piaszczystej drogi i sosny rzędziły się po jednej stronie i kiedy wyszliśmy na otwarte miejsce spoza tych sosen ukazał się błdziutki sierp, zachodzący nów.

Pan Ł. zdjął bobrową czapkę i poważnie ukłonił się nowemu księżycowi i wydało mi się to ogromnie śmieszne, ten zabobon i atencja dla rogatego satelity — ale nie pokazałem tego po sobie. Droga piaszczysta znikła nagle w bajorze leśnym i ukazała się poza jego zwierciadłem, odbijającym wiernie czuby czarne sosen i drugi księżyc na nowiu. Ostrożnie wybieraliśmy suche kępy żeby przedostać się na drugą stronę.

„Te same prawa ekonomii agrarnej każą mi co roku sprzedawać po parę mórg ziemi żeby to wszystko się nie zawaliło. I jeszcze nieźle tu się płaci — tu chłopci są głodni ziemi”.

„Ile tu kosztuje morga?” zapytałem.

„Widzisz, w Wólce Tarnowieckiej idzie za dwieście złotych bo piasek i parcelują, a w Werhracie sześćset ale u mnie muszą kupować bo patrz naokoło, Hujcze ma bagna, tędy jak Zielona lasy, Hołe to głodna gmina. Ja dostają tysiąc złotych. Ale nawet tam nie lubię chodzić, to tak jakby ktoś ucinął mi palce u rąk”.

Myslałem o tym skąd się ten głód rodzi. Dzisiaj rano siedzieliśmy w gabinecie rozmawiając i weszła pokojówka, jej brat Jasiiek był kucharzem. Różia była zaczerwieniona i widać było od razu, że ma jakąś nie zwyczajną sprawę bo przecież normalna rutyna pokojówki pozwalała jej poruszać się po całym domu ze swobodą i poufałością totumfacką, kręcąc się w swej kolorowej spódnicy, nucąc w hallu przy rozpalaniu ognia na kominie albo klócąc się w „kredensowym” z lokajem. Ale teraz była zakłopotana i przy tym pełna jakiejś godności. „Proszę jaśnie pana—powiedziała—ja mam prośbę”. Pan Ł. złożył okulary i spojrzał na nią pytająco. „Dopraszam się łaski, jabym kupiła morgę na Wygonach...” Przy obiedzie kiedy podawała potrawy na półmiskach było niezręczne milczenie ale w pauzach, kiedy znikiała w stronę kuchni padały szybkie, przyciszane zdania: „Wystaw sobie mój drogi, skąd oni uskładali ten majątek?” I okrutna konkluzja: „No uskładali sobie podkradając tu i ówdzie, w domu się nie ustrzeżesz...” Było mi niedobrze od tych rozmów i ucieszyłem się kiedy zeszło na inny temat.

„Mój brat—mówił Pan Ł.—ma inny stosunek. Lubi nawet chodzić u siebie na te miejsca gdzie rozparcelował i cieszy się, patrząc jak się, podobowali tam. Ale mnie to jakby ktoś palce obcinał po kole”.

W lewo była pusta poręba. Na jej fałdowiskach stały sążnie obrobionego drzewa, mietliła się leśna trawa i różańcem ciągnęły się sadzonki nowego lasu.

Pan Ł. udzielał mi ostatnich wskazówek: „Przejdiesz mostek i zaraz między olchami jest ‚hochsztand‘. To już prawie niemożliwe żebyś miał teraz kozła z rogami, chyba by był ‚myłkus‘. W każdym razie ponzasz po pędzlu...”

Bawiła mnie, jego terminologia, inna zresztą od łaciny myśliwskiej zataczonych nemrodów. Pan Ł. uczył mnie dobrych manier łowieckich i większy nacisk kładł na to aniżeli na ordynarny sukces. Był skończonym dżentelmenem w tej materii, nawet dzik idący „na sztych” u niego nazywało się szedł „z biletem wizytowym”. Patrzył uważnie i krytycznie jak noszę strzelbę i piętnował jakikolwiek cień nonszalancji, która jest bluźnierstwem przeciw dostojności kniei. Swoją knieję znał i czuł na wylot. Wszystkie ścieżki i dziecze „weksle”, wielu latami przygody natkane wspomnieniami. Zazdrościłem mu tego, kiedy stępiąły i pozbawiony węchu przez miastowe życie, natykałem się na surowość, nieprzystępność i dzikość lasu. Miałem kiedyś przyjaciela, mistrza w bilardzie, w „karambola”. Spędzaliśmy godziny nad zielonym sukniem i mój przyjaciel był moim mistrzem, nie-doścignionym zresztą. Z powagą i kontenansem wżądał na moje maniere i surowo korygował postawę i uderzenia i nie znoził nonszalancji udanej i chociaż nigdy nie byłem nawet „przeciętnym” graczem wspaniałe formy nabyłem w długie, kawiarniane wieczory, kiedy znużeni kelnerzy opierają się o ściany i czerwone światło żarówek odbija się w czarnej kawie na stolikach. Pan Ł. uważał jak sobie poczynam w lesie i dobrodusznie krytykował. Sam, w swej bobrowej czapce i wypelźlej kurtce i zielonych pończochach wydawał mi się raz podobny do lisa, innym razem było w nim coś borsuczego albo coś z dzika.

Teraz, zostawiwszy mnie samego, wracał przez Brzeźniaki i szarzał i malał na tle drogi i zostałem sam. Przekroczyłem rów leśny po oślizgłych dylach mostku i odnalazłem hochsztand. Platforemka na wysokości dwudziestu metrów wśród gałęzi olch, na którą trzeba było wdrapać się po próchniejących szczeblach.

Z tej wysokości można było ogarnąć okiem szerszy horyzont. Czuby i szczyty sosen stały nieruchomo zastygłymi falami lasu i niosły się het: jak Wierzbica, Poddębce, Ulwówek, Krystynopol, puszcza i lasem wzdłuż Raty, przesypane wydmami piasków i przetkane bagnem i wodą, przekraczały Bug i szły, szły na wschód, jak okiem sięgnąć, jak wyobraźnią sięgnąć, sosny, sosny, czasem dęby i znów sosny i leśna trawa i dalej na wschód i poprzez Bug, i stochodów Stochodu i Słucz i Horyń i dalej na wschód gdzie wstaje czerwone słońce w fioletowych, mokrych chmurach jesiennych świtów.

Usadawiłem się jak najwygodniej, złamałem Savage’a i wsunąłem w lufę nabój 6 mm, jego koszulka ucinąła się i ukazywała ołowiany stożek pocisku, który uderzając w cel rozczepiał się jak rozeta i potrafił położyć dwustukilowego dzika jak uderzenie gromu. Przesunąłem bezpiecznik, tak że zakrył napis: Safe i odsłonił: Fire. Potem przez lunetę umocowaną na lufie popatrzyłem w stronę najbliższych sosen i na ich, powiększonych przez szkła sękach delikatnie zarysował się krzyż w lunecie.

Dokoła było pusto i nieruchomo. Czasem między prętami poszycia podfruiwały małe ptaszki, milczące i leśne. Tam gdzie kończyła się poręba widać było zieleni oziminy. Było chłodniej i czuło się zbliżający się wieczór. Oczy zaszyły mi łzami od wypatrywania naokoło i nic. Ani śladu życia.

Przypadkowo spojrziałem w dół i w dole, u stóp hochsztandu, tak że mógłbym mu plunąć na grzbiet, był lis! Płomieniło się jesienne futerko i bielił koniec kity. Obwąchał starą, pożółkłą końską czaszkę która tam leżała i trywialnie obsikał ją i kiedy leciutko, na moje poruszenie skrzypnęła brzoźowa bariera hochsztandu, zniknął jak duch, przepadł. Zemocjonowałem się trochę i zastanawiałem co by to był za strzał z góry, pionowo i znów wydawało mi się że to było tylko przywidzenie.

Nic. Naokoło nic.

Wpadłem w zamyślenie, w rodzaj czujnego marzenia. Wiedziałem, że ukazanie się kozła nie może mi ujsć. Myślałem: głód ziemi... Z jednej strony dziedzic, pan, cztery tysiące hektarów ziemi, lasu. Z drugiej wieś, rozciągnięta wzdłuż błotnistej drogi. Dworskie łany, duże kwadraty, spływające z płaskich wzgórz. Zdrenowane, solidnie nawiezione nawozem. Z drugiej długie pasemka chłopskich móg, z czerniącymi się kupami nędznego, podwórkowego gnoju. Krzyże na rozstajach. Dwór z parkiem, kortem tenisowym, gorzelnią, samochodem, okazynym zjazdem gości, ale za tym z tyłu Izba Skarbowa, „nożyce” cen, żyd mający „chazukę” na dziedzica, jedyne źródło gotówki do wypłaty w sobotę, wypłaty zaległej od miesięcy, żyd cierpliwy i z pieniędzmi, czekający godzinami w przedpokoju, kiedy z Panem Ł. spokojnie w gabinecie przy kawie i papierosach oceniamy zalety „Rumuna” do kniei albo „czoki” nowej hammerleski, a żyd w atlasem pokrytym futrze, wielki, poważny, z brodą, siedzi na krześle w przedpokoju a dziedzic nie ma na zapłacenie patentu rocznego za gorzelnię, a tam wieś, cerkiew wśród starych buków, z młodym popem o chudej twarzy, radzącym z delegatem „Masłosojuzu”, który to delegat ma dyplom inżyniera ale w jednego konia i w jednym trenczkocie, w deszczowy, jesienny dzień przyjechał żeby chłopci bojkotowali wódkę Państwowego Monopolu i żeby nie kupowali „Machorkowych” i znów ten bojkot był wyrokiem śmierci głodowej na jedyną pozostałą we wsi rodzinę pachciarza, tuzin skrofulicznych dzieci w grochowinami zahaczonej karczmie, ale rasistowski „Masłosojuz” jest zorganizowany nie na sentyment ale lepiej niżby to zrobili sami Duńczycy i Dania — mówiła mi Pani Ł., jak wspaniała jest Dania, była tam u Karin Michaelis oglądać jej „Radosną Szkołę”, a potem była w Anglii i jeździła do Szwajcarii, gdzie wspaniałe szkoły, przedszkola, szkolki slöjdowskie, gdzie dzieci bogatych rodziców we wspaniałych, puszystych jumperach uczą się na wolnym powietrzu kryształowym a za tablicą widać jeziora i lodowiec Mont Blanc i odżywione, inteligentne, słodkie i śliczne dzieci międzynarodowych bogaczy uczą się i potem wróciła i odmalowano skrzydło dworu i były na biało lakierowane łóżeczka, „le petit lits blancs”, i miał to być pensjonat dla dobrze urodzonych panierek — ale to nie wyszło jak z tymi likierami, bo chociaż panierek było dwa tuziny i Slöjd i pomoce naukowe do fizyki i sport, hokey na trawie i pantomimy to jednak nie miał pensjonat szczęścia i nauczyciel od greki zastrzelił się w swoim pokoju na górze bo był nieuleczalnie chory na chorobę weneryczną i „straszyło” potem w jego pokoju i skandal się rozniósł i rodzice pozabierali swoje dziewczynki i tak jak z tą fabryką likierów, z herbem rodowym „Nałęcz” na naklejkach, było to nieudałą imprezą.

Pani Ł. odznaczała się niepożytą energią. Zainteresowała się psychoanalizą i sprowadziła całą bibliotekę i kiedy międzynarodowa sława, profesor C. był we Lwowie z odczytem pt. „Libido na progu Podświadomości” został z odczytu sprowadzony wprost autem na głuchą wieś i nudził się, bo było błoto i nie można było nogą wyjść poza próg domu i jedynie Pani Ł. mówiła płynnie po angielsku. Zaczęła nawet pisać powieść psychoanalityczną w odcinkach do ziemiańskiego miesięcznika „Myśl Polska” ale redakcja przerwała ich ciąg dalszy kiedy biskup sufragan przemyski wymówił prenumeratę. Wyjątki nieukończonej powieści czytano na głos czasem w zimowe wieczory ale w międzyczasie Pani Ł. zainteresowała się serowarstwem i sprowadziła serowarza i Spółka Ziemi Czerwieńskiej zbojkotowała te wyroby bo znów w międzyczasie Pani Ł. zajęła się polityką popierała rządowego kandydata na Sejm, sąsiada, ekonomistę chorego na kamienie żółciowe i prezes Spółki, który kandydował w tym okręgu i nie mógł pogodzić się z tą zdradą. Pan Ł. obchodził codziennie pola, płacił podatki, płacił rachunki żony której nie kochał i która go nie kochała. Mówił mi: „Ożeniłem się jak byłem młodym człowiekiem. Wiesz wtedy była moda długich sukien i jak byłem na uniwersytecie we

Lwowie, kiedy upadł deszcz tośmy z Józkiem Hadeniem biegli na miasto bo damy wtedy wdzięcznym ruchem unosiły suknie aby ich w kałużach nie uwalac i można wtedy było nogę damską zobaczyć aż do kostki". Mówiła mi: „Nie chciałam wyjść zamąż za Jerzego i w dzień ślubu rano powiedziałam do matki: „Mamo ja nie wyjdę za tego szympansa...” i wiesz moja matka, taka słodka, powiedziała mi: „Rób jak chcesz Elżuniu...” no i tą słodyczą wpędziła mnie, ale on jest idealnym mężem i mamy dzieci i wiesz że jestem katoliczką...” A obok była wieś i chłopi i ziemia. Chłopi, kołtuniści, w tanich ubraniach, starych kozuchach, baby ciężarne i gorączka połogowa, dzieci w zimie, wybiegające boso na śnieg podwórza lub w za dużych ojcowskich butach do szkoły. Kiedy we dworze padły świnię na różycę i pogrzebano je na bydłęcym cmentarzu, w nocy zostały wykopane i zjedzone przez sąsiadów, a w niedzielne popołudnia parobczacy cyniczni i wrodzy (każdy miał latarkę elektryczną, taniutki i jedynie dostępny na wsi dar zmechanizowanej cywilizacji, i tymi latarkami poświecali o zmroku), otóż w te niedzielne popołudnia stali tłumem koło cerkwi, pod gałęziami wiekowych buków jej banie z cynkowanej blachy, i patrzyli złymi oczami kiedy jechałem tamtędy konno na spacer na zrudziałym siodle na grzbiecie podręcznej klaczy z wyjazdowej pary. Ich nierozumne przekleństwo ciążyło na mnie miastowcu, sprzymierzeńcu ludzi którzy mieszkali we dworze i dwór ten był od tego żeby było gdzie co ukraść, bo kradzież na wsi była zwyczajem, udziałem, procentem w dobrobycie i była kalkulowana i budżetowana we dworze jak zarazy bydłęce, rak kartoflany i grad letni i miała swe ustalone formy i kanony. Co to jest zwyczaj na wsi? Jak powstaje? Raz szedłem z Panem Ł. ścieżką przez dworski ugor na przełaj biegnącą, ścieżką dla pieszych dostępną i spotkaliśmy tam starego chłopca, pchającego taczki z gnojem. Pan Ł., jak nie unosił się nigdy tak skłął tego Łucia czy Iwana i zawrócił go z pola. „Widzisz”, tłumaczył mi potem bez gniewu, „jak raz przejedzie taczkami a potem ktoś wozem, raz i drugi i już jest zwyczaj, prawo i będziesz miał drogę przez swój grunt...”

Teraz kiedy własne życie pochłania mnie tak całkowicie chciałbym jeszcze raz przeżyć obok siebie ich życie, tych ludzi ze wsi. Wydawałoby się że przez egzotyzm, dla miastowca, było ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają w nicości. Prawie nicością wydaje mi się ich życie dla mnie a czy nie dla nich samych? Jak straszne wydaje mi się ich obcowanie, niewielkiej komuny na niedużym terenie, kawałku ziemi. Nie ma dla nich właściwie tajemnic, żyją jak ćmy, w jednej jaskrawo palącej się latarni. Znają przede wszystkim swoje słabości na wylot i używają tej wiedzy przeciwko sobie. Pewnie że mają także swoje tereny marzeń, niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej osobiste tabu i uwarunkowania, bronione milczeniem, niedomówieniem, ostatecznie prymitywnym cynizmem. Są bardzo zwierzęcy, wydaje się, jakby idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jakimś przeżyciem i tym co ich uszlachetnia. Chociaż i przeciw bólowi są dostatecznie zahartowani. Ludzie na wsi...

\* \* \*

Już zaczął zapadać zmrok kiedy zobaczyłem sarny. W miejscu gdzie nic, przysiągłbym, nic nie było przed chwilą, były jak wyczarowane z nicości. Cztery. Poruszały się wdzięcznymi ruchami, ich postawione uszy strzygły uważnie kiedy obracały głowami na giętkich szyjach. Cud niepokoju, uwagi napiętej i bolesnej, płochliwość gazeli. Były na jakies dwieście — stopięćdziesiąt kroków. Myślałem — poczekam — zbliżą się. Skąd się wzięły? Są tak szare i tak zlewają się z tłem krzaczowisk że może już dawno tam się pasą i jakiś ruch je zdradził. Teraz są wyraźne, jak wycięte z kartonu. Przewdzięcznie poruszają się na smukłych nogach.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie podnoszę Savage'a i opieram na zdradzieckiej poręczy żeby nie skrzypnęła. Teraz patrzę przez lunetę za kozłem. Musi być. Poznam po „lustrze” po „talerzu”. U kozła zawsze jest wydatniejszy. A może będzie jeszcze z rogami. Powiększone w ograniczonym kręgu lunety szyje, „łyżki”, ale już coraz ciemniej. Oko mi zachodzi łzą i wydaje mi się że o ten! schowany poza innymi ma jeszcze rożki. Patrzę i patrzę i myślę że rogi. Żeby wyszedł!

Rusza się — przechodzi. Patrzę. Bardzo ostrożnie — to daleko — mogą usłyszeć zaskocznie sprężyny — naciągam drugi język spustowy Savage'a — język „sznellera” — przyspiesznika. Teraz wystarczy leciutkie dotknięcie pierwszego języka żeby wyzwolić piorun z komory nabojujowej. Naprowadzam krzyż lunety na łopatkę, chwilę — żeby zamglony pierścień lunety zgrał się koncentrycznie z kręgiem okularu i dotykam spustu. Huk strzału i echo odpowiada Pod Dębem, potem poddębieckie lasy, potem Jakobicha i Brzeźniaki, potem jeszcze raz poddębieckie lasy. Saren nie ma. Rozwiały się jak mgła. Nie ma nic. Siedzę i jestem zły na pudło. Ale patrzę w miejsce i widzę dwadzieścia kroków dalej — białe. Patrzę przez lunetę — „talerz”. Po spróchniałych szczęblach zjeżdżam na dół i idę w kierunku i liczę kroki i coś ściska w gardle. Dochodzę, jest jak uciął stopięćdziesiąt kroków, jest kozioł — nie, sarna! Z bliska bardzo drobne to i cienkie i głowa odrzucona i półprzymknięte białe rzęsy ukazują oko już zmętniałe i matowe. Sarna. Czuję żal i mam wrażenie że popełniłem morderstwo i żal mi. Wolałbym żeby tego nie było — żeby to się odstało...

Zapalam papierosa, coraz większy zmrok, myślę — gaffa. To się nie da ukryć. Pawła bym przekupił, gajowego — ale znam wieś. Wyjdzie na jaw. Strzał słyszeli w polu przy garach z kartoflami, potem z wozu fornał krzyknie o tym do stelmacha, będą o tym mówić przy udoju, chłopak popędzający beczkę z wodą powie o tym w kuchni, dojdzie do „kredensu” i zanim jeszcze powrócę będzie wiadome w salonie.

Wracam powoli do domu.

\* \* \*

Wyjechałem następnego dnia rano. Zbudziło mnie dzwonienie budzika. Mylem się pośpiesznie w zimnej wodzie, na palcach podchodziłem do lustra dla zawiązania krawatu; duży dom rezonował jak pudło skrzypiec. Schodziłem długimi schodami na dół. W korytarzu dzielącym pokoje o najdziwniejszym rozkładzie, wisiały uprząże, ciężkie baranice, w kącie stała wirówka do mleka. Mijałem drzwi od biblioteki i od pokoju w którym „straszyło”. W kredensowym pokojówka paliła maszynkę spirytusową i przygotowywała śniadanie dla mnie. W pokojach dywany były pozwijane dla robienia porządków i dziwnie była zmieniona topografia gratów i mebli, chaos powstający przy robieniu porządków. Światło czerwone lamp drażniło niewyspane oczy. Jamniki obudzone i znudzone ucieszyły się na mój widok i otoczyły mnie rozedrganym kołem. Na kominku palił się świeży ogień. Krogółce i rybołowy wypchane i zastygłe w swym locie pod sufitem hallu patrzyły na mnie szklanymi źrenicami. Piłem ściśniętym gardłem kawę stojąc przy stole. Po grudzie zajazdu zaturkotał wózek. Wciągnąłem na płaszcz bundy i pakowałem się w wąsóg. Pochylony na kozle stangret trzymał konie niespokojnie gryzące wędzidła. Konie miały już długie, zimowy włos na podgardlu i brzuchach. Furman poprawił baranią czapę i ruszyliśmy.

Na dworze było jeszcze ciemno. Czarne kontury drzew odcinały się od murów domu. Otwarte drzwi, pod empirowymi słupami ganku paliły się pomarańczowym światłem, ściany przez kontrast były sine. Dom patrzył za mną czarnymi oczodołami okien.

Jechaliśmy na krótszą drogę przez folwark. Była mgła, która stała zwarta ścianą, na znormalizowanej odległości dziesięciu kroków. Mi-

jaliśmy obory na niewidomo, jedynie po porannych głosach, normalnej sztaampie udoju, można się było zorientować. Przez bramę obok kuźni wyjechaliśmy na gumna. Okolica była fenomenalnie zmieniona przez mgłę. Zaczęło się już przejaśniać i drogi od strony wschodu, którego jeszcze nie było, nabierały światła. Między nimi czerniało cielsko lokomobilii. U jej otwartego paleniska kręciła się czarna postać palacza. Różowy płomień ognia rozpalanego przezeń obrysował go wyrazistymi obwódkami. Zadudniły mostki nad odwadniającymi rowami pod kołami naszego wózka i ze szczytu stogu zerwał się nocujący tam sokół. Mgła otwierająca się regularnie przed nami i zamykająca za nami, jak zasłona bojowa pancernika, ulegała kaprysom. Stawała zwartą ścianą, żeby w innym kierunku otworzyć się w dalekie perspektywy i korytarze. Kłębiła się jak dzungla tropikalna i zwisała portierą jak kurtyna monumentalnej sceny.

Dom zniknął już dawno za mgłą. Wjeżdżaliśmy powoli na grzbiet pierwszego garbu. Tu droga zakręcała i spadała w dół. Zostaliśmy sami w rzadziejcej mgle.

\* \* \*

Potem w lecie, przed wojną, pojechałem znowu na jednym dniu do Z.

Przechodziłem wtedy wszystkie stadia i naznaczały mnie wszystkie symptomy tragicznej miłości. Albo dniami nie jadłem nic, albo jadłem bardzo dużo. Wobec bliskich i znajomych zachowywałem formy i uśmiech i najniespodziewaniej wpadałem w wynurzenie przed osobami które spotkałem pierwszy raz w życiu.

Najpiękniejszą męką było żyć wśród miejsc które znałem z nią i które były tłem naszej miłości. Przez „l'esprit de contradiction”, jakby powiedział Pan Ł., chodziłem w te miejsca i dlatego raz jeszcze pojechałem do Z.

Był to gorący letni dzień. Na „Czarnym” poszła pierwszy raz żniwiarka w lan pszenicy, szary w pyle upalnego dnia, z bladymi okami bławatów i czerwoną wysypką maków.

W czasie poprzedniego pobytu w jesieni pomagałem w zbiorze markowych kartofli. W kurzu polnej drogi, zamyślony, poszedłem w tym kierunku gdzie je kiedyś kopano i nagle poczułem je — te kartofle. Te markowe kartofle, podobno bajecznie odporne na raka ziemniaczanego, „mozajkę” kartoflaną i inne straszne kartoflane choroby — te kartofle, niedbale zakopcowane na zimę — zmarzły i wiele tych „gar” pozostawiono tam i psuły się one w pełni lata i na wiele staj dawały znać o tym. Smród psujących się kartofli jest potworny, nie do zniesienia. Ścieki fabryczne, plugawa woda brudnych basenów portowych, kiedy jest odpływ morski, nawet rozkładające się trupy na pobojuwiskach — ale nie, to nie to, to zbyt łagodne. Zawróciłem od tych kopcy.

Nie można się było schować przed gorącem. Jamniki leżały w słońcu, w pyle zajazdu. Dziewczyna wyniosła z lodowni bryłę lodu oblepioną żdzźbłami słomy i poniosła ją w stronę kuchni. Poszedłem popatrzeć na aneroid do stacji meteo. Za owego pobytu w jesieni zajmowałem się jeszcze stacją meteo. Była to x-tego rzędu stacja Pimu czyli Państwowego Urzędu Meteorologicznego i do moich obowiązków należało trzy razy dziennie rano o 7-ej w południe i o 7-ej wieczorem kontrolować instrumenty i robić zapiski. Raz na miesiąc preparowałem raport i „średnie”.

Nawet lubiałem wtedy tę codzienną rutynę. Szło się do stacji przez furtkę w ogrodzeniu i wśród grzęd truskawkowych, na podpruchniałych słupach była skrzynka z pulpitym dachem i żaluzjowymi, z drewnianych szczebli ścianami, otwierałem kłódkę i odnajdywałem tam dwa termometry, jeden maksymalny, jeden minimalny, aneroid i hygrometr i było tam jeszcze kalibrowane naczynie szklane do mierzenia ilości ewentualnego opadu. Naczynie to kiedyś zostało stłuczone i potem troskliwie posklejane „japońskim” kitem. Była tam jeszcze książka porubrykowana



liniami do robienia zapisków i rogi kartek od tego regularnego przezwacania pozwijaly się w osle uszy. Obok na wysokim maszcie była zamocowana róża wiatrów i skrzybiało blaszane skrzydełko skali Bau-forta do mierzenia siły wiatru.

Do tej stacji nikt wtedy inny nie chodzil tylko ja sam. No tak, zawsze mi w tym codziennym rytuale towarzyszyly psy, jamniki i suka dobermanka. Ale kiedy one uganialy wokolo i ploszily trznadle z malinowych różg, ja szedłem najkrótszą drogą i przez wiele tygodni i dni wydeptałem wtedy własną ścieżkę, ja sam, tylko ja. Trochę jest nawet wstrętna taka ścieżka którą się samemu wydeptuje. W życiu depcze się drogi, ścieżki, po społu z innymi. W takiej własnej ścieżce jest coś wariackiego, coś paranoicznego. Pomyślałem tam — wracam znów na własną ścieżkę...

Na tarasie domu Pan Ł. złożył nieczytanego Ikaca i z trzciniowego fotelu patrzył na niebo i był osowiały i milczący; coś się psuło w tym domu, pod tym niebem.

„Aneroid pokazuje na burzę” — powiedziałem.

„To jest fabryka pod gołym niebem, nigdy nie wiesz czego masz się spodziewać” — powiedział do mnie. „Nie podoba mi się ten dzień, może przynieść grad” — „il faut toucher le bois sec” — przesądnie odpukał w trzciniowe oparcie.

Wiedziałem co się psuje w tym mechanizmie. Wiedziałem z plotek, z pół słówek i wiedziałem wprost od obojga bo byłem rodzajem powier-nika obu stron.

Więc po latach współzycia wziął swój rewanż. Powiedział mi o tym sąsiad spotkany we Lwowie. Potwierdził poufnie spotkany na stacji komisarz Izby Skarbowej. Zwierzyła mi się Pani Ł. kiedy z goryczą powiedziała mi: „gdyby przynajmniej mi w taki fair sposób nie przyznał się, nie wypowiedział, gdyby to zostało nieomówione... Ale to już taki jego styl...” (Pan Ł. zakochał się pod sześćdziesiątkę w higienistce po-wiatowej, przybyłej na posadę z poznańskiego). Oaza spokoju, przystań szczęśliwości, Sopicowo umiaru, Z., było po raz pierwszy za mej pamięci duszne i złe się poczułem tu pierwszy raz w życiu. I żałowałem swego przyjazdu i siedzieliśmy w cieniu na tym tarasie, milczący niezgrabnie, Pan Ł., Pani Ł. i córki, poprawne, dorastające córki i dzień był duszny i gorący i między liśćmi drzew parkowych mogłem widzieć od wschodu gromadzące się chmury.

Piętrzyły się w upalnym powietrzu, bladoróżowe, suche i nieprzyjazne. Stały nieruchomo i paliły się od dokuczliwego blasku słonecznego. Ale za nimi, daleko, nad horyzontem widać było ciemny pas, wał regularny, od horyzontu do horyzontu. Wał ten rósł i zbliżał się powoli. Pod nim było już granatowo i przebiegał tam czasem dreszcz błyskawic.

Widać było jak wygonem, od wsi zawiął wiatr i podniósł tu i tam tu-man kurzu. Drzewa, wysokie topole za wygonem zadygotały i zamiotły pod podmuchem. Poniosło żdźbła słomy z chłopskich ściernisk, przyspieszonego przez przednówkowy głód żniwa. Groźny wał był tuż nad nami i groźny cień padł na szarugę, ciągnącą się za burzą.

Jamniki zakolebały się w pośpiesznej ucieczce kiedy cmoknęły pierwsze duże krople dżdżu. Gołębie potarganymi przez wiatr girlandami zatrzepotały się koło kominów folwarcznych. Kilkoro ludzi na folwarku zadarto głowy na nieprawdopodobną burzę, i zakręciło gorączkowo koło podwórzowych spraw. Zadygotały otwarte wrota stodół i szop. Pałnął ogłuszający piorun i na jego komendę lunął deszcz i zabębnił po wyschniętych gontach i zaszumiał w liściach drzew parkowych. Rozhisteryzowane kury i indyki kryły się pod krzakami bzu i siwe krople odbijały się od lśniącego od wody grzbietu cierpliwiej szkapu u dyszli beczi tam gdzie była studnia. Przyczłapała z folwarku, ze spódnicą zaruconą na głowę pokojówka, czerwona i zadyszana i roześmiana. Nasturcje w skrzynkach na tarasie wychyliły swe kwiaty na deszcz.

Burza jak szybko przyszła tak przeszła i zajaśniało słońce i rozpyliło się na tysiąc słońc w kropkach wody.

Niech mnie wytłumaczy mój stan ówczesny, że tak chaotycznie wspominał to co było wtedy, kartofle, stację meteo i burzę i to, że wspomnę o jeszcze jednym zdarzeniu. Ten piorun wtedy rozłupał stare drzewo lipowe na drodze do wsi. Między jego gałęziami, pod daszkiem był i patronował polom prymitywnie wydłubany w drzewie Św. Izydor, patron oraczy. Ciekawe że nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć co się stało z figurą świętego.

\* \* \*

Byłem tam w Z. przed samą wojną. W pierwszych dniach wojny Pan Ł. umarł i mimo gorączki wojny „okolica” zjechała się na jego pogrzeb, bardzo tłumnie. Ten okazały orszak pogrzebowy, jak mi ktoś o tym opowiadał, był ogromną pokusą dla Heinkla 111 i przejechał się tam salwą z karabinu maszynowego po tym pogrzebie wśród pól.

Ale to, ten „dance macabre” nie dotyczył już Pana Ł. który umarł w tych pierwszych dniach wojny.

MARIA PAWLIKOWSKA

## NA PROMENADZIE

Promenadą, złocistą drogą,  
Zanim ją zmierzch ostudzi,  
Przechodzi tysiące ludzi  
Z których nie kocham nikogo.

Patrzę na nich spokojnie, rzeczowo,  
Jak baba siedząca na przyzbie...  
Nikogo! to straszne słowo  
W tak niezliczonej ciżbie.

Skąd się to wszystko bierze?  
Zalegają aż po wodne obszary,  
Jak małowocenny kobierzec  
Z łatek barwnych, czarnych i szarych.

Ileż rodzin nierozłączonych  
W słońcu się wspólnie roi!  
Idą — z tej i z tej strony,  
Obcy, obcy, nie moi.

Co za wybór! Włosy jak jedwab,  
Złote lub cudnie siwe...  
Oczy niebieskie, piwne,  
Lub... wszystko jedno, nie dbam.

Z laską kroczy siwy jakiś tato.  
Cóż? Mijajcie, nieznani, nieznana.  
Jakaś mama kaszle. Ja nic na to,  
Nieczulą zdjęta nirwaną...

Nie pobiegnę za nią wzburzona,  
Nie otulę jej własnym płaszczem,  
Gniewnie prosząc i nieomal płacząc —  
Aby się dała przekonać.

„A mówiłam! Nie jest tak ciepło!  
W taki dzień płaszcz się kładzie!”  
I byłoby, na promenadzie,  
Małeńkie miłosne piekło.

Albo tak: „Znowu palisz?” — „Palę”.  
„To już piąty na tej ławce papieros!”  
„Wiesz, ja sobie usiądę gdzieś dalej —  
Ach, z tobą to jest piła dopiero!”

Ale moja pałaca sąsiadka,  
Z ogromnymi kocimi oczyma,  
Niechaj tyle dymu w siebie natka  
Ile tylko chce, ile wytrzyma.

Nie Kocham! Nie Kocham tysięcy,  
Tysięcy, przechodzących tłumnie!  
— A ci inni — po cóż mówić więcej —  
Czyż mogą przyjść tędy ku mnie?

PORUCZNIK HERBERT

## FLYING CONTROL

Przez szklaną ścianę na wprost mojego biurka widać długi czarny „runway”, który biegnie w stronę lasu i ginie na jego tle, jakby rozpywał się w nim na prawo i na lewo. Przez takie same ściany boczne widać betonową drogę okalającą lotnisko, i wyloty dwóch innych „runway’ów”, które pośrodku rzyżują się z pierwszym. Widać też samoloty przysiadłe na stanowiskach postojowych; przygarbione, leniwe, drzemiące w bezruchu. Okna, które są za moimi plecami, wychodzą na hangary i niskie, ochronnie malowane baraki, rozrzucone między kępami drzew i zarośli. Tam jest stacja: wszystkie jej sekcje, kwatery, messy, oraz dowództwo.

Najniższy domek z trzema szklanymi ścianami na piętrze jest ostatnim posterunkiem tych zabudowań: stoi na samym lotnisku, z dala od innych, odwrócony do nich tyłem, ponieważ nie obchodzą go one wcale. Ci ludzie, którzy tu pracują, nie mają prawie żadnych interesów w tamtej stronie; natomiast prawie wszyscy ludzie stamtąd przychodzą do nas za każdym razem gdy dokoła lotniska zaczyna się grzmot silników i gdy samoloty pełzną na start, aby kolejno wzbijać się w powietrze po długim, ciężkim rozbiegu.

Wielu z nich przychodzi tu również wtedy gdy samoloty zaczynają krążyć nad stacją, wracając z wyprawy. Przy każdym starcie i przy każdym powrocie zapelnia się taras otaczający nasz szklany domek nieco poniżej poziomu biura, tak, aby ci co przychodzą, nie zasłaniali nam widoku.

Zawsze — z obowiązku — przychodzą: dowódca stacji i lekarz; zawsze również przychodzi nasz kapelan, choć nie ma takiego przepisu, który nakładałby na niego ten obowiązek. Kapelan jednak uważa, iż jest tu z a w s z e potrzebny: błogosławi odlatującym załogom, dziękuje Bogu za ich szczęśliwy powrót, lub udziela sakramentów umierającym.

Jakkolwiek obaj z Zygmuntem nie jesteśmy zbyt religijni i nawet usiłujemy ożenić naszego księdza-kapelana z córką pewnego anglikańskiego pastora z Lincoln — to jednak zgadzamy się, że istotnie kapelan jest potrzebny, bo nie ma tu nikogo na całej stacji, kto by go nie lubił; nie ma nikogo wśród nas, Polaków, komu by ten zacny ksiądz nie pomógł, kogo by nie pocieszył, komu byłby obojętny — bez względu na wyznanie

i na stosunek do religii. Poza tym nasz kapelan nie prawi nam zbyt wiele morałów, natomiast chętnie nas rozgrzesza i z pobłażaniem odnosi się do niedoskonałości natury ludzkiej. Jest dobrym kompanem przy kieliszku, jeździ na motocyklu jak szatan — przepraszam! — jak Archanioł, lata (jako pasażer, oczywiście), nawet tańczy! Tylko w sprawie ożenku jest wybredny: swatamy go od roku, a on zawsze wynajdzie jakąś wadę w kandydatce na małżonkę, i nie ulega, choć — jak sam mówi — miałby ochotę... Pewnie już wytrwa w dziewiczym stanie duchownym i zostanie arcybiskupem, czego mu cała stacja ze szczerego serca życzy.

Kapelan, lekarz i dowódca tej stacji mają wolny wstęp również do naszego biura, które — mówiąc po prostu — jest zwykłym „flying control”, czyli kierownictwem ruchu na lotnisku.

Odbywszy po dwie tury lotów bojowych, objęliśmy z Zygmuntem ten posterunek, zamiast bryzgać atramentem jako kantorszczyki w Blackpoolu lub nawet w Londynie. Zawsze to jest realniejsza praca, niż wieczne pisanie papierków i ewidencji...

Teoretycznie pracujemy na zmianę, ale w rzeczywistości zwykle obaj jesteśmy na służbie, ponieważ tak już przyzwyczailiśmy się podczas kilkumiesięcznej praktyki. Zygmunt siedzi w głębi, przy stole nad którym wisi mapa naszego sektora działań; ja mam biurko przy wejściu; pomiędzy nami stoi „desk” sygnalizacyjny z centralą radio-telefonu i łącznicą bezpośrednią do różnych punktów lotniska, do „operation”, „intelligence-office” i meteo. Centralę obsługują dwie polskie WAAF-ki: pani Dorota i panna Maria. Do pomocy jest jeszcze Anglik, sierżant Woods, i zwykła telefonistka.

Praca kierownictwa ruchu polega na wyprawianiu samolotów w powietrze, zawiadamianiu o każdej odlatującej załodze „operation” (które już o tę załogę dalej się martwi aż do jej powrotu nad lotnisko), na ewidencji wszystkich startujących i lądujących maszyn, i — co najważniejsze — na kolejnym sprowadzaniu załóg do lądowania. Oczywiście wszystkie rozmowy z załogami w powietrzu i z obsługą lotniska na ziemi odbywają się przez radio-telefon. Zapalanie i wygaszanie całego systemu świateł i sygnałów na lotnisku sterowane jest przełącznikami wprost z naszego szklanego domku.

Na ogół jest to praca niezbyt skomplikowana. Jeśli wszystko idzie normalnie, jeśli pogoda jest dobra, jeśli załogi startują i lądują bez wypadku, jeśli wracają bez uszkodzeń, z dostatecznym zapasem benzyny, nie błądząc po drodze, jeśli od razu odnajdują lotnisko — kierowanie ruchem nie nastęca wielu trudności. Ale czasami „flying control” wystawia nerwy swych pracowników na ciężkie próby... Czasami przeżywamy tu chwile równie groźne i pełne napięcia jak nad Karlsruhe, Bremą i nawet Berlinem, choć nam samym żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo nie zagraża.

W ciągu dnia szklany domek na pół drzemie. Sierżant Dorota lub sierżant Maria zapisuje samoloty zgłaszające się od czasu do czasu na start lub do lądowania, spogląda przez lornetkę by sprawdzić ich znaki, dzwoni do „operation” i zagłębia się z powrotem w powieści kryminalnej, której treść opowiada później Zygmunтови, przekręcając fakty i myląc ich kolejność.

W ciągu dnia lata się tylko przy dobrej pogodzie, i nie są to loty bojowe, lecz jakieś próby sprzętu, oblatywanie maszyn, zgrywanie nowych załóg, strzelania do rękawa itp. Gdy deszcz pada, albo gdy jest mglisto — lotów nie ma. Lotnisko śpi, znudzone, gnuśne, smętne, a ciszę w kierownictwie ruchu podkreśla tykanie zegara oraz westchnienia Marii lub Doroty przy kolejnym morderstwie, rabunku, gwałcie itd. W takie dni Zygmunt zazwyczaj wymyka się do kasyna, albo nawet do Lincoln, pozostawiając mi kartkę z wiadomością, że go „cholera bierze, więc jedzie się otruć”. Ponieważ „truje się” przeważnie piwem w jakimś „pub’ie”, przeto wraca

wieczorem nie w charakterze nieboszczyka, lecz jako ostatecznie znudzona ofiara; stwierdza, że czeka nas „kompletna zguba” i rozstrząsa z Marią (lub Dorotą) zawile sprawy kolejnego „kryminału”.

Ja zaś — piszę ten oto rozdział, robię korekty, uzupełniam kronikę dywizjonu, lub spoglądam w zamgloną przestrzeń, paląc papierosa i rozmyślam: mija piąty rok wojny...

Na lotnisku jest pusto. Jakaś lora przejeżdża po „perimetrze”; potem — ktoś na rowerze skraca sobie drogę, na przełaj „runway’em” NE-SW. I — znowu pustka. Zieleń lotniska jest świeża, soczysta, prawdziwie majowa, lecz tylko w promieniu kilkudziesięciu jardów. Dalej mętnieje pod mglistym oparem, który nasycza przestrzeń; jakby kto do czystej źródlanej wody dolał mleka.

Jest maj. Jakiś smętny, wcale nie wiosenny, zwiędły, skwaszony angielski maj... Wprawdzie kwitną bzy, wspaniale puszy się trawa, i krzewy przed kasynem obsypane są deszczem złociście-żółtych kwiatów, ale w powietrzu nie ma tego czegoś, co zdaje się drgać, pulsować, tętnić wiosną — jak w Polsce. Wiatr przywiewa zimne, szare, nudne deszcze. Po niebie wloką się chmury zgoła jesienne. Dni są brudne, chore, anemiczne. Umierają wieczorem wśród wichury lub w gorączkowych rumieńcach zachodów; wstają ślepe od mgły, zmęczone i blade, jak w listopadzie. Nawet jeśli się wypogadza, smutek czai się w cieniach drzew i domów, snuje się po horyzoncie, przenika całą atmosferę, osiada w nas — jak kurz na sprzętach.

W nas — to znaczy nie tylko w Zygmuncie i we mnie: wszystkie załogi są przygnębione. Wszystkie *pozostałe* załogi po stratach, które poniósł dywizjon wkrótce po przebrojeniu się na Lancastera. Gdyby nie te straty — może obecny maj nie wydawałby się nam gorszy, niż poprzednie maje angielskie...

To było nad Gelsenkirchen, z dwunastego na trzynasty. Z ośmiu naszych Lancasterów trzy nie wróciły. Z początku nie mogliśmy się oswoić z myślą, że zabrakło dwudziestu kolegów. Szukaliśmy ich wzrokiem podczas posiłków, przy brydżu, odprawach... Tak się złożyło, że zginęli ci co byli najdłużej w dywizjonie: załoga Sweet Frania, Dudy i sierżanta Puhaly.

Przypadkowo byłem na odprawie przed tym lotem. Nastroj panował wesóły: pokpiwali sobie z Józefowicza, który — jak zwykle — wybierał się na tę wyprawę obladowany dodatkowym sprzętem „na wszelki wypadek”. Z kieszonki sterczał mu sekstans, „bo może nawalić i radio i GEE”; przez ramię przewiesił lornetkę, „bo i astro może nawalić, więc trzeba będzie lecieć według mapy”; na brzuchu dyndał mu u pasa ogromny pistolet, „bo właściwie wszystko może nawalić i trzeba będzie wędrować na piechotę”. Kto wie — może wędrują...

Patrzę w stronę lasu, który majaczy we mgle ciemnym, wystrzępionym pasmem. Samotna wrona zerwała się z jezdni okalającej lotnisko i wiosłuje ku hangarom. Za nią zrywa się druga. Ktoś jedzie: z daleka słychać samochód. Sierżant Dorota wzdycha i z hałasem zamyka przeczytaną książkę.

— Wie pan — mówi do Zygmunta, który dziś „trwa na stanowisku” — ten Charles okradł bank!

— Okradł?! — zdumiewa się Zigmunt. — Co pani mówi...

Dorota przystępuje do szczegółów:

— Ona go właściwie kochała, choć na początku zaręczyła się z tym drugim; ale tamtego trzymali, wie pan, na Wyspach Diabelskich. A jeszcze przedtem to panu zapomniałam powiedzieć, że oni byli razem i jemu się udało uciec. I opowiadał, że ten detektyw go gonił, a on umyślnie, wie pan... Ale to wszystko dlatego, żeby ją zdobyć, bo ta co mu pomogła, to znów miała tamtego. No i się w nim zakochała, a potem dopiero się wydało. Bardzo ciekawe!

— A ile było w banku? — pyta Zygmunt.  
— Nie wiem. Ale przecież to nie ważne.  
— Jak dla kogo. Dla niej ważne.  
— Co też pan kapitan mówi! — gorszy się Dorota.  
— No — widzi pani: zawsze forsa to grunt.  
— Przecież ona była bogata. A ten Marlow...  
— Jaki Marlow?  
— No ten, co okradł bank. Więc Marlow...  
— Ale pani mówiła, że Charles okradł bank?  
— Taak? No to się pomyliłam. Bo wie pan, on z nim się tak umówił, a potem uciekł. Rozumie pan?

Zygmunt kłamie, że rozumie, ale Dorota raz jeszcze opowiada całą historię od początku. Na szczęście w połowie tej relacji głośniki obwieszczają: „Stand-by od godziny czwartej”, po czym przez telefon zgłasza się meteorologia z prognozą.

Korzystając z tej dywersji, wstaję i wychodzę na taras. Na prawo, na najbliższym postoju czernieje sylwetka czterosiłnikowego bombowca. Ogromny, ciężki Lancaster zdaje się spoglądać ku mnie wybaluszonymi ślepiami swych przednich kabin. Wellington wyglądałby przy nim, jak nietoperz przy puhaczu.

Pocziwy, stary Wellington... Niegdyś wydawał mi się smokiem; latającym potworem, którego żądłem byłem ja, tylny strzelec, a ośrodkiem instynktu — Góral, który od piętnastu miesięcy jest w niewoli niemieckiej. Później, gdy sam pilotowałem ten samolot, mój stosunek do Wellingtona ulegał powolnej zmianie. Wydaje mi się, że Wellington również zmieniał swoje postępowanie w stosunku do mnie. Przestał robić mi na złość, porzucił zgrzybliwą ironię i wyższość z jaką mnie traktował, i wreszcie przywiązał się do mnie, jak ja przywiązałem się do niego.

Piloci mówią zwykle: „opanowałem tę maszynę”. Ja jednak wiem, że są maszyny, które — poddawszy się na pozór pilotowi — narowią się właśnie w chwilach najgorszych; które mszczą się na nich za zbytnią zarozumiałość; za brak sentymentu; za brutalność w postępowaniu. Nie doświadczyłem tego nigdy ze strony mego Wellingtona. Nie twierdzą też, że go opanowałem: to była zgoda obustronna; przymierze, które wytrzymało najtrudniejsze chwile. Nie tylko ja ratowałem naszą „L jak Lucy”: zdarzało się, że „L jak Lucy” ratowała mnie...

A teraz — od pierwszych dni kwietnia — dywizjon lata na Lancasterach. Zaczęło się to właściwie jeszcze w lutym, kiedy wraz z Zygmuntem kończyliśmy praktykę „flying-controller’ów”, a Sarat obejmował dowództwo dywizjonu. Był to okres szczególnie przykry: dowódcy eskadr i Sarat odbywali narady, kto ma pójść na przeszkolenie, a kogo przenieść do innego dywizjonu; wśród pilotów zaczęły się zawiści i kłótnie; na kurs do „Lancaster Finishing School” wkręcił się jeden z oficerów, który miał już 24 loty bojowe, jakkolwiek pierwszeństwo przysługiwało tym, którzy nie mieli jeszcze piętnastu; starsi, kandydaci na dowódców eskadr (kandydaci — przynajmniej we własnym mniemaniu) starali się ubocznymi drogami wpłynąć na przyjęcie ich poza kolejką. Jednym słowem atmosfera była pełna podejrzeń, żalów lub zniechęcenia.

W marcu dywizjon stopniał do czterech, czy też pięciu załóg, które latały przeważnie na minowanie. Pozostali kończyli loty szkolne na Halifaxach. Uzupełniano załogi „nowymi”, odbierano maszyny, przeszkalano mechaników... Potem zaczął się trening w dywizjonie: przelot dzienny, po dwa przeloty nocne, strzelania do rękawa i do markerów w morzu, bombardowania ćwiczebne, walki z myśliwcem. Piloci oblatywali nowe samoloty, załogi poziomowały celowniki bombardierskie, synchronizowały kompasy i busole, dostrajały anteny ramowe i odbiorniki.

Wreszcie — 18 kwietnia — pierwsza wyprawa bojowa. Wszystko odbyło się nader uroczyście. Group-captain Mason sam prowadził odprawę,

bardziej zdenerwowany niż ci, którzy mieli polecieć. Kilkakrotnie powtarzał: „Dokładnie celować, bardzo dokładnie celować. Pamiętajcie, że ludność cywilna nie powinna ucierpieć”. To samo powtarzali — również zdenerwowani — oficer informacyjny, sygnalista, meteorolog, nawigacyjny itd.

Przed startem — znowu uroczystość: przyjechał cały sztab z Air-Commodorem i prasą...

Dywizjon poleciał, zrębał coś tam pod Rouen, wrócił. Wszystko razem trwało niespełna trzy godziny. Potem była Kolonia, potem Hasselt, Duisburg i Dortmund, a potem to nieszczęsne Gelsenkirchen...

Pamiętam, że Miss Lucy czekała wtedy na nich wraz z nami. Była bardzo niespokojna. Załoga Sarata lądowała jako piąta, z półgodzinnym opóźnieniem. Mieli uszkodzony jeden silnik i postrzelane stery. Wyładowali dobrze i po chwili Sarat wszedł do „flying control” w kombinie, prosto z maszyny. Lucy była tak roztrzęsiona, że objęła go za szyję i rozplakała się. On miał strasznie głupią minę: uspakajał ją, spoglądając po nas, bardzo speszony tym jej wybuchem.

Pozostałe trzy załogi nie wracały, ale nie traciliśmy nadziei: mieli dość benzyny; mogło im starczyć jeszcze na godzinę lotu. Sarat poszedł złożyć sprawozdanie do oficera informacyjnego, a następnie zabrał Lucy do kasy. Trochę mieliśmy mu za złe, że nie został z nami; Lordówną mógł być zająć się ktokolwiek inny.

— Góral zostałaby tu do końca — powiedział Zygmunt. — Diabli nadali z tymi babami.

Ale i Zygmuntowi pewnie żal było Lucy. Ona też myślała chyba o Góralu... O tym locie, z którego nie wrócił.

O trzeciej wiadomo już było, że tych dwudziestu także nie wróci. Zygmunt zatelefonował do Sarata. Ale nie było go. Odwioził Lucy do domu, aby oszczędzić jej narazie tej smutnej wiadomości. Dobrze zrobił; w parę dni potem przyjęła to zupełnie spokojnie, niemal konwencjonalnie:

— That's very sad indeed. I am very, very sorry...

Była roztargniona: miała jakąś sprawę do Sarata i — nie zastawszy go — pojechała do Lincoln, aby go tam złapać. Zygmunt wzruszył tylko ramionami, kiedy mu o tym powiedziałem.

— Diabli nadali z babami, psiakrew — powtórzył.

To było tydzień temu. Nie: już dziesięć dni! Dziś jest wtorek, 23 maja... Spoglądam na zegarek. Dochodzi trzecia. Mgła jest wprawdzie nie tak gęsta jak przed południem, ale nie znika. Leży nisko, nieruchoma, uparta. Za dnia można startować i lądować przy tej widoczności. Ale — barometr spada. Co będzie w nocy?...

Od strony lasu znów zrywają się wrony i kawki. Pojedynczo, po dwie, po trzy. Aha: to ten samochód. Jechał stamtąd i widocznie zatrzymał się po drodze, a teraz znów ruszył i zbliża się wolno.

Tak, to samochód osobowy. Kto u licha o tej porze włóczy się w tamtej stronie? Nie ma tam żadnej drogi wylotowej, nie ma hangarów i miejsc postojowych dla samolotów. Jest tylko las, odgradzony zresztą drutem kolczastym od lotniska.

Wyteżam wzrok. Wóz zbliża się bardzo wolno, ale wreszcie widzę go wyraźnie. To roadster Lucy! Co za zbieg okoliczności: właśnie myślałem o niej...

Staje pod rzędem młodych drzewek klonowych, gdzie do „perimetru” skośnie dołącza kręta boczna droga z dowództwa stacji. Otwierają się drzwi i wysiada Lucy, a za nią któryś z oficerów — nie mogę rozpoznać, kto. Lucy jest po cywilnemu, w czymś popielatym, bez kapelusza. Rozproszone światło słoneczne znalazło wreszcie coś, co zdaje się je skupiać: złociste włosy tej dziewczyny. Widzę każdy ruch jej głowy, podczas gdy cała jej wdzięczna sylwetka rozplywa się we mgle.

Stoją naprzeciw siebie i on coś mówi, czemu ona energicznie zaprzecza. Gdybym nie był pewien, że to jest Lucy, pomyślałbym, że jestem przypadkowym świadkiem drobnego nieporozumienia między dwojgiem zakochanych... Ale to z całą pewnością jest Lucy, i tylko moja wyobraźnia nasuwa mi podobnie bezsensowne przypuszczenia. Na pewno ta rozmowa dotyczy jakiejś sprawy zgoła nieromantycznej: Lucy jest nadal chrześną matką dywizjonu i bardzo się tą rolą przejmuje; omawiają może występ teatru żołnierskiego, dancinę, lub coś w tym rodzaju.

Sumiennie gaszę niedopałek papierosa i odwracam się z zamiarem powrotu do mego biurka, lecz mimo woli rzucam ostatnie spojrzenie w stronę gdzie stoi roadster, i — — doznaję chyba halucynacji?...

Tych dwoje — ten oficer i Lucy (Lucy!) — złączeni w uścisku! W pocałunku, który trwa o wiele dłużej, niż w miłosnych scenach najwybitniejszych kochanków z ekranu...

Nie wierzę własnym oczom: Lucy?! Zaciskam powieki i otwieram je znowu, ale zjawisko trwa. Nie ma rady: istotnie jestem przypadkowym świadkiem „sceny miłosnej”... Uświadomiwszy to sobie, doznaję uczucia pewnego zawstyżenia, co natychmiast przyprowadza mnie do złości na samego siebie. Ostatecznie — całują się na środku drogi? — no, to ich sprawa. Gdyby to załatwili w samochodzie, to bym się im nie przyglądał.

Żyrytowany staję w progu i zapalam nowego papierosa, po czym siadam za biurkiem. Spoglądam spod oka na Zygmunta i Dorotę. On szlifuje sobie paznokcie; ona czyta. Więc chyba nie widzieli? Ba — mogą łąda chwila zobaczyć!

Porywa mnie znowu złość na Lucy i na tego osła, który ją całuje, zapominając o bożym świecie, przekonany, że nikt go nie może zobaczyć na pustym, zamglonym lotnisku z dala od zabudowań stacji. Całuje ją na wprost szklanej ściany „flying control” — idiota! Rzucam szybkie spojrzenie przez szyby. No — nareszcie! Lucy wsiadła do samochodu i skręca na drogę ku dowództwu, on zaś idzie wolno ku nam, nie oglądając się, ze zwieszoną głową, jakby pocałunek najładniejszej dziewczyny w W. Brytanii unieszczęśliwił go na resztę życia. Tuman psiakrew! Kto to jest, u licha?...

— Sarat — mówi nagle Zygmunt, jakby słyszał moje myśli.

Odwracam głowę zaskoczony, jakby mnie kto przytąpał na płądowaniu w cudzych rzeczach.

— Sarat idzie — powtarza Zygmunt i patrzy na mnie z miną Sfinksa. — Zaraz będzie odprawa. Chodź — pogadamy...

\* \* \*

Wiedział. Naturalnie, że wiedział. Przecież to się rzuciło w oczy od samego początku: jeszcze zanim wiedziała o tym Lucy; zanim to sobie uświadomiła; może nawet zanim Góral poleciał na tę ostatnią wyprawę, z której nie wrócił.

— Więc dlaczego nic mi nie powiedziałeś dotąd?

Zygmunt wzrusza ramionami:

— Bo to nie moja i nie twoja sprawa.

— Ale sprawa Górala.

— Zapewne. Tylko — cóż byś ty zrobił, gdybyś nawet wiedział?

Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Teraz zresztą też nie wiedziałem, co można by, co trzeba by zrobić. Rola „strażnika cnoty”, czy też „stróża wierności” czyjejkolwiek narzeczonej, kochanki lub żony bynajmniej mnie nie pociągała.

— Diabli nadali... — mruknąłem.

— Z babami — dokończył Zygmunt.

Jeszcze gdyby chodziło o kogo innego, o jakiegoś Sweet Frania, o jakiegoś „szczeniaka” — można by taką sprawę załatwić. Albo gdyby to nie była Lucy... Ale tak, jak rzeczy stały — —



— Katastrofa — orzekł Zygmunt. — Kompletna zguła. Tu nic nie można poradzić: zważyło się to na niego jak ciężka choroba, jak zaraza. A Lucy... No, cóż? Ona dopiero później się zorientowała, że — też... Może gdyby Góral tu był przez cały czas, gdyby wtedy nie wpadł — nie doszłoby do tego wszystkiego. Ale — tyle miesięcy! Ostatecznie — cóż ona temu winna?

— Ale Sarat — powiedziałem.

— Sarat? Mój kochany, nie będę cię pouczał, że tak zwana miłość jest silniejsza od tak zwanej przyjaźni na śmierć i życie. Może nie trwalsza, ale w danej chwili silniejsza. Zresztą zdaje mi się, że taki typ jak Sarat nie od razu się poddał: musiał mieć z samym sobą poważne kłopoty, zanim go to dziś zmogło.

— Jakto — dziś? — zapytałem, nie rozumiejąc, co Zygmunt ma na myśli.

— No dziś; w tej sentymentalnej mgielce, na lotnisku. Maj, cholera!

— Więc dopiero dziś...

— Tak. Przynajmniej tak mi się zdaje. Nie szpiegowałem ich przecie, więc nie wiem. Ale wydaje mi się, że dotychczas udawali wzajemnie przed sobą, że...no, sam rozumiesz: przyjaźń, psiakrew! Jakże się ten facet nazywał, co to wymyślił?

— Platon.

— Właśnie. Musiał być ananas.

Nie próbowałem dociec, dlaczego Platon musiał być „ananasem”, ponieważ doszliśmy do sali załóg, gdzie właśnie zaczynała się odprawa.

„Target for to-night — Cologne”. Trzysta siedemdziesiąt mil w jedną stronę. Taka średnia wyprawa, ani bardzo daleka, ani bardzo bliska. Koło stu mil nad morzem. Można wytrzymać. Tylko ta mgielka...

Dowódca sekcji meteorologicznej oświadcza, że „już nad Holandią będzie czysto, nad celem zaś pogoda bardzo dobra”. Za to nad Anglią widoczność przy ziemi może być „niekoniecznie dobra”. Nie lubię tego angielskiego sposobu określenia złych warunków atmosferycznych: „niekoniecznie dobra”... Znaczy to mniej więcej bombardować można celnie, ale lądować trzeba na ślepo.

Z kolei Zygmunt pociesza załogi. Referuje krótko, że start będzie z „runway’u” E-W, kołowanie zaś po „perimetrze” w lewo, co sto jardów. Do lądowania nad lotniskiem będzie stożek z trzech reflektorów. Wlot z E. Nasz „beacon” lotniskowy świeci tej nocy trzy kreski-dwie kropki, na południe od lotniska. Rozmowy z „flying control” na sygmcencie B.W razie niebezpieczeństwa — na sygmcencie C.

— No i — sami rozumiecie — my tu mamy większego pietra niż wy, więc spokojnie, spokojnie, bez cudów...

Piloci i nawigatorzy ślinią anilinowe ołówki i notują najważniejsze dane na wierzchu dłoni, tak by cyfry i litery można było zetrzeć w razie przymusowego lądowania.

— Kolacja operacyjna o siódmej — przypomina Kędzierzawy.

Przy takiej „operacyjnej”, szczególnie pożywnej kolacji, od razu można odróżnić młodsze załogi od starych. Pierwsi jedzą mało i milczą; drudzy napychają się za tamtych i za siebie, rozmawiając jak zwykle. Potem wszyscy piją kawę w palarni i prawie wszyscy palą na zapas. Ale młodzi nie czytają gazet, nie zasiadają w fotelach, nie słuchają radia, tylko stoją lub chodzą nerwowo z kąta w kąt: czekają... Oczekiwanie na start jest szczególnie przykre: czas dłuży się i nie ma czym go wypełnić, ponieważ wszystko w porównaniu z wyprawą wydaje się zbyt blade — ponieważ nie warto zaczynać czytania, robra, dyskusji — wobec tego, co ma nastąpić za trzy kwadransy, za pół godziny, za kilka minut... Dopiero w powietrzu, po starcie następuje odprężenie.

Ale dzisiaj nie tylko młodzi się denerwują. Patrzą na Sarata, który stoi w rogu pokoju, trzymając filiżankę kawy. Porcelanowy spodek drży w jego ręce. Popiół z papierosa osypuje mu się na rękaw munauru.

Raz po raz zwierają mu się szczęki, a oczy utkwione w oknie, za którym zapada zmierzch, nie widzą odbijających się w nich przedmiotów. Sarat marszczy brwi i przygryza wargi. Jest nieobecny. Czy zastanawia się nad tym, że może nie wrócić z tej wyprawy? Albo—co będzie, gdy wróci?

Wtem spojrzał na mnie i spotkał mój wzrok. Uśmiecha się tym swoim dziwnym uśmiechem, który nigdy nie rozjaśnia jego ciemnych oczu.

— Wiesz — mówi — to mój ostatni lot w drugiej turze. Szkoda, że to nie Berlin.

— Berlin — powtarzam. — Dlaczego?

— Chciałem tak zakończyć, na Berlinie. Pamiętasz — Góral czekał wtedy na Berlin... Ale i Kolonia to dobry cel, jak myślisz?

— Oczywiście...

— Omal nie powiedziałem: „Oczywiście, i stamtąd można nie wrócić”.

Nie wiedziałem, że Sarat kończy turę, ale nie to mnie zaskoczyło. On myślał o Góralu. Mówił o nim. Czy to był po prostu cynizm, czy też prowokacja?

— Mam do ciebie prośbę — powiedział nagle, zniżając głos. — Ten list... — wyjął z kieszeni zaklejoną kopertę bez adresu i zawahał się.

Pomyślałem, że to list do Lucy i postanowiłem odmówić wręczenia go, ale Sarat już mówił dalej:

— To wygląda trochę melodramatycznie, ale jest jedna taka sprawa... Otóż chciałem cię prosić, żebyś ten list przechował do jutra... Jeżeli tak by się zdarzyło, że nie wrócę — spał go. Jeżeli wrócę — otwórz jutro i przeczytaj, dobrze?

— Dobrze — powiedziałem. — Ale przecież jak wrócisz, to będziesz mógł sam powiedzieć mi o tej sprawie. Po co list?

Uśmiechnął się.

— Widzisz, tak się składa, że zapewne nie mógłbym ci tego powiedzieć po powrocie, a nie chciałbym żebyś o tym wiedział, jeżeli nie wrócę. Rozumiesz?

Skinąłem głową:

— Jak chcesz.

Wyciągnął do mnie rękę:

— Dziękuję ci.

Uścisnąłem jego dłoń, ale cała ta sprawa wydała mi się sztuczna i nie-naturalnie tajemnicza.

— Rzeczywiście melodramat — pomyślałem.

Włożyłem list do kieszeni i wyszedłem przed kasyno, gdzie już czekał na mnie Zygmunt. Złapaliśmy jakiś samochód, który podwiózł nas do skraju lotniska. Potem na przełaj doszliśmy do „flying control”.

Na służbie byli sierżant Woods i Maria. Światło sprawdzone, „kara-wan” startowy na miejscu, łączność działa. Wszystko O.K.

Dzwoni „operation”:

— Jak tam z widocznością?

Woods melduje, że bez zmiany: mglisto, ale światła widać.

— Może jeszcze odwołają — mówi Maria.

Zygmunt lekko wzrusza ramionami: on wierzy w meteorologię.

W pół godziny potem lotnisko ożywa: najpierw z daleka słychać głosy mechaników, urywane okrzyki i śmiechy; potem — warkot autobusów, rozwożących załogi; wreszcie tu i ówdzie ruszają silniki i głęboki ich bas ściele się coraz grubszą warstwą na wszystkich innych dźwiękach, jak śnieg przysypujący ziemię, drzewa, domy. I tylko jak bystry strumyk, który wydobywa się na powierzchnię śnieżnej pierzyny — świergoce w słuchawkach telefonów i w głośnikach kierownictwa ruchu nieustanny szmer włączonego radio-kontakt.

Zapalam czerwone światła graniczne dokoła lotniska i ostrzegawcze światła przeszkód na dachach hangarów, na wieży wodociągowej i na szczytach masztów, podtrzymujących antenę. Na szklanym ekranie obok

me go biurka świeci nieregularny rubinowy naszyjnik — plan kontrolny tych świateł. Włączam trzy żółte lampy wlotowe na wschodnim krańcu „runway’u”. Włączam białe i zielone światła drogi startowej. Ekran wygląda teraz jak stół jubilera, na którym rozrzucono garść drogich kamieni. Podobnie wygląda lotnisko z wysokości paru tysięcy stóp, z tą różnicą, że tam klejnoty leżą na ciemnym aksamicie mroku, podczas gdy mój ekran jest mleczno-biały.

Komendant stacji wchodzi wraz z adiutantem. Stają za moimi plecami. Taras dokoła naszego szklanego domku zapelnia się ludźmi. Ksiądz kapelan i lekarz są już z pewnością na stanowisku; prócz nich — dowódcy sekcji, podoficerowie WAAF-ki...

Z głośników poprzez świergotliwy szum kontaktu wybucha zniekształcony głos Sarata:

— F, jak Feliks, F, jak Feliks. Gotowi do kołowania na start. Give me exact time, please. Over.

Maria podaje mu czas.

— You may go on, F for Feliks.

W mroku zagęszczonym przez lekką mgłę porusza się jakiś ciemny kształt. Cztery jęzory płomienia drgają u wylotów rur wydechowych. Nad niewidzialnym „perimetrem” płyną wolno światełka pozycyjne kołującego samolotu: na lewo zielone, na prawo czerwone; po środku, za nimi — białe. Potem rusza druga maszyna, za nią trzecia, czwarta i następnie — cały dywizjon. Okrążają lotnisko, pełnząc ku żółtym lampom na wschodnim jego skraju. Po chwili znowu słychać głos Sarata:

— Ready to take-off.

Ujmuję słuchawkę.

— You may take-off, Sarat. Good luck!

Błysk zielonego sygnału z budy startowej i daleki ryk silników, który nabrzmiwa, rośnie, zbliża się, zalewa nas jak olbrzymia fala, aby odpłynąć wraz z unoszącą się już ponad światłami sylwetką Lancastera F jak Feliks.

Zaraz po tej, przepływa następna fala, i jeszcze jedna, i jeszcze...

Maria notuje numery, znaki rozpoznawcze i czas startu. Wszystko odbywa się sprawnie, gładko, jak w dobrze działającym mechanizmie. W ciągu sześciu minut wypuszczamy jednaście maszyn. 143.000 funtów bomb leci nad Kolonię...

Tymczasem nad lotniskiem przeciągają setki innych Lancasterów i Halifaxów. Lecą pojedynczo, zbierają się w klucze, suną eskadrami i całymi dywizjonami. Grzmot ich silników wprawia w drżenie szyby i nawet ściany kierownictwa ruchu. Nad Kolonię leci kilkanaście milionów funtów bomb!

Potem rozchodzą się ci, co przyszli patrzeć na start, odjeżdżają samochody, milkną głosy mechaników i obsługi lotniska, i zapada cisza. Wygaszam światła. Czekamy. Po północy zaczną się zgłaszać do lądowania.

Zygmunt z przyzwyczajenia zlicza przypuszczalne kolejne pozycje i czas.

— Teraz mijają Norwich.

— Wchodzą nad morze...

— Teraz do nich grzeją nadbrzeżne baterie w Holandii... Pod Rotterdamem pewnie ominą reflektory i artylerię.

— Teraz przelecieli granicę i cała Ruhra zostaje na lewo od kursu...

— Pewnie już widzą Ren.

Sierżant Maria patrzy na Zygmunta z nieukrywanym podziwem:

— Żeby tylko nie spotkali myśliwców — mówię tonem prośby, jak do Opatrzności.

Zygmunt waha się przez chwilę, po czym beczelnie zapewnia:

— Nie spotkali. Biorą kurs bojowy. No — teraz tam się robi ciepło!

Maria jest głęboko przejęta. Krzyżuje palce wskazujące i zaciska je z całej siły. To nadzwyczajnie pomaga załogom, o których się myśli w danej chwili.

Zegar wmontowany obok głośnika na prostopadłej ścianie jej „deskę” odmierza cierpliwie, bez pośpiechu sekundy, minuty, kwadransy. Strzałka na tarczy wskaźnika wiatru tkwi nieruchomo, wskazując zdecydowanie: WEST. W rzeczywistości jednak wiatru nie ma: świeci tylko wewnętrzny pierścień białych żarówek; środkowa żółta („umiarkowany”) i zewnętrzna czerwona („silny”) nie palą się ponad grotem strzałki; jest cisza.

Spoglądam w okna. Szyby lekko potnieją. Ochłodziło się znacznie i mgła sięga coraz wyżej. Włączam na chwilę światła graniczne. Jeszcze je widać, ale wydaje mi się, że widoczność stale się pogarsza. Co chwila któreś z nas spogląda na zegar: jedenasta...jedenasta dziesięć...jedenasta piętnaście...

Maria siedzi oparta plecami o poręcz krzesła. Głośniki są wyłączone. Maria ma na uszach słuchawki, podobnie jak telefonistka, która siedzi tyłem do nas, przed szafką centrali. Jest taka cisza, że opadnięcie klapki, któremu towarzyszy błysk sygnału wywoławczego łącznicy, wydaje się grzmotem.

To co następuje po tym „grzmocie”, ma istotnie pewne znamiona burzy: „operation” uprzedza, że prawdopodobnie trzeba będzie przyjąć na lotnisku lądowanie dwóch dywizjonów brytyjskich, ponieważ ich stacje pokrywa gęsta mgła. Przylecą za godzinę, przed naszymi Lancasterami. Potem odzywa się meteo: mgła idzie z południowego zachodu; front — Londyn-Birmingham-Liverpool. W dziesięć minut po tym: Liverpool-Manchester-Hull pod gęstą mgłą. Mgła w Leicester. Mgła w Peterborough. Mgła w Grimsby...

Wychodzę na taras. W belkach przyćmionego światła, które zdają się podpierać skośnie okna, wirują miliony małych kropelek wilgoci. Zimny pot okrywa żelazną poręcz. Rosa kapie z wystającej krawędzi dachu. Ciemność dokoła jest miękka, mokra, kleista. Pachnie sadzą i wilgotnym popiołem. Dwa reflektory błędzą daleko, w stronie Grantham; platynowe włocznie, wbijając się w kłęby mgły, rzucają mętne odbicie blasku, jak w zakurzonych, brudno-żółtych zwierciadłach. Zresztą niebo jest czarne, tak samo jak ziemia.

Wracam, włączam znów światła graniczne. Na prawo można je dostrzec jak przez matowe szkło. Dalej rozplywają się, giną. Granica rozłazi się, zlewa się z terenem, który okala lotnisko. Tam na wprost powinien być las. Ciemność stamtąd podsuwa się blisko, staje naprzeciw oczu, jak ściana. Jeden, dwa, trzy czerwone punkciki. Przeciekają i wsiąkają w błotnistą, cuchnącą przestrzeń. Stłumiony głos skrzeczy ze słuchawek:

— Widoczność na lotnisku pogarsza się.

— Widoczność na lotnisku pogarsza się — powtarza Maria i patrzy z niepokojem na Zygmunta.

Wzdłuż oszklonych ścian słychać: plac!... plac!... plac!... spadających z dachu ciężkich pojedynczych kropeł, które rozbijają się na tarasie. Coś zbliża się do szyb, staje za nimi i zagląda do wnętrza. Coś dąży ze wszystkich stron, łączy się w zwartą masę i ciągnie ku nam, zacieśniając krąg. Zwalnia, zwalnia, skrada się krok za krokiem i staje w drugim szeregu. Za nim, od ziemi, z lepkiego mroku podnosi się ciżba, tworząca szeregi następne. Wszystko to odbywa się w milczeniu, w złodziejskiej ciszy, ostrożnie, żeby nas nie spłoszyć przed czasem. Wskazówki zegara są w porozumieniu z tym, co czai się na lotnisku: ta krótka, tępo ścięta u końca, która wskazuje godziny, niedostrzegalnie dociera do zenitu; za nią coraz bliżej sunie dłuższa, zakończona ostrym grotem, a smukła, czerwona jak krwawy sztylet strzałka sekundnika skacze drobnym truchcikiem, raz po raz mijając tamte dwie. Kąt zawarty pomiędzy nimi zmniejsza się ciągle, jak pomiędzy ostrzami zamykających się nożyc. Gdy zniknie — coś się stanie. Coś musi się stać. Coś, ku czemu czerwony sztylet popędza czarne wskazówki. Coś, na co czeka ciżba mroku za szklanymi ścianami „flying control”...

Widzę, że na biurku Zygmunta zapala się czerwony sygnał obok przełącznika „operation”. Włączam szybko głośnik.

— Fix for Silkbird — 0° 12' West, 53° 10' North!

„Silkbird” to jeden z tych zapowiedzianych dywizjonów brytyjskich.

Zygmunt wstaje i znacząco zieloną kredą krzyżyk na celuloidowej płycie, pod którą leży mapa naszego sektora. Pierwsza maszyna jest o dwadzieścia mil od nas.

W tej samej chwili z trzech stron wznoszą się długie, proste piszczele reflektorów, tworząc stożek podobny do trójnogu aparatu fotograficznego. Trójnog poprawia się, przenosi swój wierzchołek nad środek lotniska, staje szeroko, wygodnie rozkraczony i zastyga w bezruchu.

Opuszczam galki kontaktów świetlnych: wlot, „runway”, droga okrężna do kołowania, czerwono-zielone lampy „karawanu” startowego. Wreszcie — reflektor poziomy do lądowania. Cienie i upiory mroku — cała zgraja cieni i upiorów przyczajonych dokoła nas — pierzcha w poplochu przed ulwą światła. Ale mgła nie daje się spłoszyć: odpiera blask, staje przed nim, pożera jego smugi lub je odbija, tworząc nieregularną, oscylującą aurę w połowie „runway’u.”

— Zgaście reflektor: nic nie widać! — chrypi głos oficera startowego.

Wyłączam. Noc jednym chaustem polyka świetlną lunę, reflektor, lampy sygnalizacyjne — wszystko. Zaciskam powieki i otwieram je powoli. Daleko, mogłoby się здаwać, że gdzieś na samym horyzoncie, mającą trzy żółte lampy wlotowe. Wytężywszy wzrok, dostrzegam od czasu do czasu, to tu to tam, iskierki światła granicznych. Raz po raz nikną we mgle, ale przecież są.

Spoglądam na zegar. Wszystkie trzy wskazówki przez mgnienie oka celują w zenit: punkt dwunasta! Ale zastępy mroku, schwyte na gorącym uczynku przez zapalenie światła, nie ośmielią się już na nic. W górze, ponad mgłą, czuwa stożek reflektorów. Czerwony sztylet sekundnika obiegł dwukrotnie tarczę zegara. Nożyce czarnych wskazówek otwierają się szwolna i — nic się nie dzieje. Tylko za nami słychać kroki po schodach i stłumione głosy. Taras zapelnia się zwykłą publicznością.

Po chwili zgłasza się pierwszy „Silkbird” i dostaje zezwolenie lądowania. Schodzi z tysiąca stóp i powtórnie pyta o kierunek, bo jeszcze nie widzi światła wlotowych.

— East-West — mówi Maria. — East-West — powtarza bardzo wyraźnie.

Jest opanowana, spokojna. Jej twarz ma wyraz powagi i skupienia. Palce nieomylnie, bez wahania trafiają na właściwe przełączniki: raz, dwa — odbiór, odpowiedź... Over!

Angielski Lancaster ryczy swymi czterema silnikami nisko ponad mgłą, odchodzi na wschód, cichnie.

— O.K.! Widzę wlot!

Po chwili wesoło:

— O.K., widzę runway!

— Szalenie nas to cieszy — mruczy Zygmunt. — Ląduj, byku jeden... „Operation” daje fix drugiego dywizjonu, bardziej z południa. Nowy krzyżyk na celuloidowej płycie. W pół minuty potem zgłaszają się naraz trzy załogi „Silkbird” i nadchodzi fix naszej maszyny S jak Stanisław, 28 mil na południowy wschód, nad brzegiem zatoki Wash. Zaczyna się...

Maria podaje wysokość „Silkbirdom”: 1.000, 2.000 i 3.000 stóp. Znak wywoławczy tego drugiego dywizjonu brytyjskiego brzmi „Topbrow”; naszego — „Bluebottle”, czyli Chaber. Łatwo można się pomylić. Wypisuję wyraźnie te trzy nazwy na kartce papieru i kładę przed Marią. Dziękuje mi wzrokiem.

Pierwszy Anglik mija „karawan”, piszczy hamulcami, błyska raz po raz własnym reflektorem w kłębiącej się mgle.

— Runway cleared out!

Wołamy następnego:

— You may pancake!  
Trzeci — na 1.000 stóp; czwarty na 2.000. Słychać jeszcze ich silniki, gdy nadlatują dwa Halifaxy „Topbrown”.  
Sygment C zapala się na moim biurku. To jeszcze jeden „Silkbird”.  
Mówi, że leci na trzech silnikach. Trzeba mu dać pierwszeństwo.

— Jak się nazywa? — pyta Zygmunt.

— D, jak David — mówi Maria. — Ale Barbara już schodzi...

Dawid się denerwuje. Ma 1.500 stóp i traci wysokość. Nie wie, gdzie jest wlot.

— Keep him flying. Pierwsza Barbara. Nie można robić bałaganu. Niech czeka. Daj mu ten wlot, Herbert.

Wołam Dawida, który klnie w ograniczonym pod tym względem języku Shakespeare'a, tłumacząc skąd ma podchodzić, żeby trafić na wlot, i — że ma czekać.

Tymczasem Barbara podeszła za wysoko i nie starczy jej lotniska. Oficer startowy wrzeszczy:

— Każcie im dodać gazu!!

Sierżant Maria nieomylnie przelacza się na sygment B, ostrzega wyraźnie, równym głosem:

— B for Barbara, B for Barbara, you are too long.

Słychać gwałtowny ryk silników; za szybami w mroku przelatuje lewe zielone światło pozycyjne na skrzydle i białe na ogonie Barbary. Przez szyby na lewo widać, jak płyną, oddalają się, wznoszą się coraz wyżej, giną we mgle.

Dawid nie widzi wlotu; okrąży lotnisko dwukrotnie, odchodzi na wschód i próbuje zniżyć się jeszcze. Słyszymy, jak się zbliża... Zamknął gaz. Siada na ślepo?...

— Uwaga, sanitarka! Uwaga, straż ogniowa! Uwaga na lotnisku...

— O.K., O.K. — skrzeczy głośnik. — Widzę wlot. Nie róbcie gwałtu.

Aha — jest! Jeszcze podciąga gazem. Minął budę startową, czyli „karawan”. Traci szybkość... Siada — — piszcza hamulce.

— Runway cleared out!

Oddychamy z ulgą, jakkolwiek nad lotniskiem krąży już teraz osiem maszyn i co chwila zgłaszają się nowe.

Mgła gęstnieje. Pierwsza z naszych załóg schodzi na 150 stóp, żeby zobaczyć wlot. Anglicy pytają, czy nie ma innego lotniska w pobliżu gdzie widoczność byłaby lepsza.

— Nie: wszędzie jest tak samo, lub nawet gorzej.

Meteo podaje, że cała południowa Szkocja jest pod mgłą. Coś niebywałego! Dzwoni nasz operacyjny:

— Spieszcie się, bo będzie coraz gorzej.

— Idź do cholery — mówi Zygmunt. — Robimy przecież, co tylko można. Im więcej maszyn ląduje, tym więcej ich przybywa nad lotniskiem.

— Żeby to tak z wódką — wzdycha Zygmunt. — Nalewasz, rozumiesz, popijasz, a w butelce coraz pełniej...

Dziewięć maszyn na ziemi. Dwanaście maszyn na ziemi. Czternaście na ziemi...

— Ilu się zgłosiło? — pytam.

— Szesnastu krąży. Brak jeszcze siedmiu — mówi Zygmunt.

Spoglądam przez ramię Marii na trzy kolumny znaków. Trzy załogi z naszego dywizjonu już siedzą. Siedem jest nad lotniskiem. Jednej brak. Sprawdzam znaki. Nie zgłosił się F jak Feliks... Sarat!...

„Operation” podaje: dwa Halifaxy i cztery Lancastery lądowały w Swinby.

— Czyje Lancastery?

— „Silkbird”.

Więc brak t y l k o Sarata. Jest kwadrans po pierwszej. No — jeszcze czas.

Mgła gęstnieje. Widzę tylko najbliższe światła. Jakaś załoga ląduje na radio. Idzie z daleka, od wschodu. Wszyscy czekamy w napięciu: to sierżant Nowak na P jak Piotr. Dobry pilot. Powinien wejść na „runway” jak po sznurku.

Schodzi coraz niżej. W głośnikach milczenie. Trwa tylko świergotliwy szum kontaktu. Myślę o Nowaku: wpatrzony w środkowe białe światło wskaźnika, wsłuchany w jednostajny ton wysokiego Cis w słuchawkach, trzyma w tej chwili ręce i nogi na sterach, gotów podciągnąć, skrócić, wyrównać. Jeśli przed jego twarzą zapali się lampka zielona — jednostajny ton w słuchawkach będzie się urywał co sekunda: kreski. Jeżeli zapali się światło czerwone, wysokie Cis rozpadnie się na trel: kropki. Kreski lub kropki — to zboczenie z prostej linii lotu na prawo lub na lewo. Ton ciągly — to lot po przedłużeniu „runway’u”. Trzeba za wszelką cenę utrzymać maszynę w strefie czystego wysokiego Cis. Nie można dopuścić, by zapaliła się która z kolorowych lampek. Mechanik pokładowy siedzi obok pilota, wpatrzony w wysokościomierz i wariometr. 150 stóp — — 130 — — 120...

W pewnej chwili, gdy maszyna znajdzie się nad skrajem lotniska, w uszach pilota zadźwięczy nowy sygnał: lądować! Wtedy mechanik domknie cztery sprzężone dzwignie gazu, a pilot wyteży wzrok, szukając w ciemności światel „runway’u” i orientacyjnych lamp na małym maszcie startowego „karawanu”. Te lampy orientacyjne powinny być na lewo. Koniecznie na lewo od niego. Inaczej...

— P jak Piotr podchodzi — odzywa się w głośnikach. — Podchodzi dobrze...

— O.K., P jak Piotr, O.K. — mówi Zygmunt. — Macie dobry kierunek.

— Minął wlot — rozlega się z głośników.

Silniki cichną. Patrzę w kierunku „runway’u”. Nic nie widać. Ciszka. Wreszcie — światła płynące w mroku...

Drgnęły, zachwiały się... Pierwszy pisk hamulców, i nagle — huk, jak głośny strzał! Zielona iskra zatacza gwałtowny łuk, tuż za nią śmiga w górę biała i obie gasną. Rumor, zgrzyt, trzask! Ktoś krzyczy:—Kraksa!!!

Słychać, jak rusza sanitarka i wóz pożarny. Ich reflektory napotykają ścianę mgły, która oślepia kierowców. Mimo to pędzą na przelaj, ku środkowi „runway’u”. Z tarasu dochodzi podniecony gwar.

Wołam pogotowie obsługi z ciągnikami, wpatrując się w mrok za szybą: kiedy błysnie pożar?...

Maria, blada, wystraszona, oddycha z trudem.

— Niechże pani wstrzyma następnych — mówi Zygmunt. — Hallo, startowy! Co tam się stało?

— Nie wiem — odpowiada głośnik. — Aha — nic wielkiego. Pękła im dętka w kole. Załoga w porządku, tylko maszyna leży na plecach.

Okazuje się, że wypadek nastąpił za skrzyżowaniem „runway’ów”. Można lądować na linii SE-WN, póki nie odciągną rozbitego samolotu dalej ku skrajowi lotniska.

Zygmunt ociera pot z czoła. Pięć Halifaxów i dziesięć Lancasterów grzmi w mgłę, krążąc nad lotniskiem. Dochodzi wpół do drugiej.

Zapowiadamy lądowanie na północny zachód. Gaszę światła wlotowe i „runway” E-W. Zapalam SE-NW. Oficer startowy melduje, że jedzie ze swoim „karawanem” na właściwe stanowisko.

O pierwszej czterdzieści sprowadzamy na ziemię następną załogę. Czternaście pozostałych krąży już blisko półtorej godziny... A mgła jest coraz grubsza....

Dwa Halifaxy i jeden Lancaster zajęły nam osiemnaście minut.

— Tamtym skończy się benzyna — mówi Zygmunt.

Dzwonię do „operation”:

— Zabierzcie sobie te maszyny do Swinderby, albo gdzie chcecie. My nie damy rady.

— Swinderby już zakorkowane. Wszystko zakorkowane. Śpieszcie się, bo będzie jeszcze gorzej.

— Pocieszają nas, psiakrew — wzdycha Zygmunt.

— Runway cleared out! — skrzeczy kolejny pilot.

— R for Robert, R for Robert! You may pancake...

Ląduje Robert. To nasza załoga. Ląduje George, V for Victory i drugi Robert, Halifax.

— Sarat się nie zgłosił? — pyta Zygmunt.

Maria potrząsa głową:

— Nie, panie kapitanie.

Następny Halifax podchodzi ze złego kierunku, prosto na nas. Przez szyby na lewo widać jego światła. Zbliża się, mimo ostrzeżeń. Jego pilot nie zauważył czerwonej rakiety, która trysnęła ze startu... Wali w poprzek „runway’ów”, rośnie nam w oczach, jako ogromna czarna masa, i nagle — zapaliwszy własny reflektor pod kadłubem — dostrzega tuż przed sobą budynek kierownictwa ruchu z wytrzeszczonymi ślepiami szyb!...

Dodaje gazu, kładzie się na skrzydło, zadziera łeb... Jest na poziomie tarasu, gdzie powstaje panika. Ludzie skaczą przez poręcz, jedni na drugich.

Wyciągnie, czy nie wyciągnie?...

Siedzimy, jak przygwożdżeni do krzesel. Grzmot silników — aż boli w mózgu...

Szyby jęknęły i nagle wszystko przetoczyło się nad nami w gwałtownym podmuchu: wyciągnął!

Odsyłam go na największą wysokość, i niech czeka, bo stracił kolejkę. To mu zrobi dobrze na nerwy.

O wpół do trzeciej — widoczność zero. Pozostały w powietrzu dwie nasze załogi, które krążą nad lotniskiem na resztkach benzyny. Słychać ich silniki to tu, to tam. Usiłuję po raz czwarty sprowadzić je na „runway” — bezskutecznie.

Znów telefon z „operation”:

— Niech odejdą na południowy wschód i skaczą pomiędzy Boston, a Skegness.

Ale żadna z załóg nie chce skakać. Rozumiem je doskonale: może się zdarzyć, że wyskoczą do morza...

— Spróbujemy jeszcze raz.

Maszyny są lekkie, bez ładunku i prawie bez benzyny. Będą lądować poza „runway’em”, byle w dobrym kierunku.

Schodzi pierwsza, mijając o metr „karawan” oficera startowego.

— Dobra! Zamknijcie gaz!

Chwila napiętej ciszy. Niesie ich, niesie...

— Rany Boskie, przesmarują lotnisko...

— Nie przesmarują.

Na skrzyżowaniu „runway’ów” rozlega się charakterystyczny chrobot amortyzatorów. Ogon Lancastera podskakuje na nierównościach. Bębni, dudni, dobija.

— Siedzą!

Słyszę drugą maszynę nad nami: przeszła z zachodu na wschód i w parę sekund po tym zawraca w jakimś wariackim skrucie, bo znów grzmi bardzo nisko, tym razem od północy.

— Co oni, do cholery, oszaleli?! — irytuje się Zygmunt. — W takiej mgle...

Wściekły ryk silników głośzy jego słowa. Maszyna przewija się w skrucie od południa, wpada nad budynek „flying control” i natychmiast zawraca: słychać ją z zachodu.

— Akrobata, psiakrew. Zwali się w takim wirażu na oslepi i pozabija całą załogę.



— Cleared out! — zawiadamia nas ten, co już wylądował.

— You may pancake, bloody fool! — zgrzyta Zygmunt.

— O.K. Odchodzę na południowy wschód — mówi spokojnie „akrobata”.

Słyszymy jak mija nas w górze i oddala się, ale w tej samej chwili cztery silniki ryczą z innego kierunku, huczą nam nad głowami, cichną w oddali.

— Co to jest?!

— Druga maszyna — mówi startowy ze swojej budy. — W powietrzu są *dwie* załogi.

Maria próbuje nawiązać kontakt z tą drugą. Sygmet B — nie odpowiada. Sygmet C — milczenie...

— Ładna historia: nawaliło im radio...

Od jak dawna krążą nad lotniskiem? Czy nas słyszą i tylko nie mogą sami nadawać, czy też odbiornik ich nie działa? Dlaczego „operation” nie uprzedziło nas o tym?...

Tymczasem schodzi tamten, którego niesłusznie posądzailiśmy o szaleńcze skręty we mgle. Prowadzi go równy, jednostajny sygnał wysokiego Cis.

Minuta... Dwie minuty... Dwie trzydzieści... Startowy podaje:

— Mijają wlot.

Zaraz po tym słychać na „runway’u” hamulce. No — ten wycyrklował! Już porykuje silnikami, wykręca w prawo, kołuje w stronę „perimetru”.

— Cleared out!

Słychać znów zbliżającą się maszynę w powietrzu. Zygmunt robi cały wykład:

— Jeżeli mnie słyszycie, lećcie na wierzchołek stożka reflektorów i strzelcie rakietę. Jeżeli nie widać stożka, lądujcie z południowego wschodu na sygnale dźwiękowym. Jeżeli nie możecie tego zrobić, to za trzy minuty zapalę silne światła pionowe u wlotu na południowo-wschodnim skraju lotniska. Lądujcie według tych światel. Jeżeli się nie uda lećcie między Skegness a Boston — kurs: jeden, trzy, pięć; jeden-trzy-pięć. Dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil stąd. Tam możecie skakać. Over!

Grzmot silników nad głowami, potem coraz dalej, coraz ciszej: odchodzą na wschód...

Czekamy. Głowa mnie boli, oczy pieką od dymu tytoniowego i z niewywczasu. Wstaję, wychodzę na taras. Mgła kłębi się w żółtym świetle okien. O balustradę oparte trzy sylwetki. W pierwszej z nich poznaję księdza. Wygląda, jakby był zatopiony w modlitwie. Spoglądam ku wschodowi. Lepka, brunatna ciemność; nie widać ani jednego światła. Chłód wślizguje mi się za kołnierz, przygotowując o skurcz zmęczone mięśnie grzbietu.

W tym gęstym, zimnym kleju, który napęlnia ciemną przestrzeń, zatapiając nawet trójnóg reflektorów nad lotniskiem, od dwóch, może od trzech godzin krąży samolot. Siedmu ludzi odciętych od świata czeka na zezwolenie podjęcia ryzykownej próby: muszą obniżyć lot do wysokości budynków i masztów, ominąć je na ślepo, na ślepo obrać kierunek, na ślepo wejść nad skraj lotniska i zamknąć gaz. Nie widząc ziemi, wyrównać trzy stopy nad jej powierzchnią przy szybkości stu pięćdziesięciu mil na godzinę; przy szybkości większej od huraganowego wichru...

Omyłka o kilka stopni w kierunku — to zderzenie ze ścianą jakiegoś budynku, z samolotem na postoju, z nasypem szosy. To śmiertelny młyniec na jakimś płocie, czy w rowie. To kraksa, gorsza niż karambol najszybciej pedzącego samochodu. Omyłka o ćwierć sekundy w ściągnięciu steru nad ziemią — to złamanie podwozia. Masa kilku ton, pomnożona przez prędkość cyklonu, stworzy moment bezwładności zdolny rozbić czaszki tych siedmiu ludzi jak skorupki od jajek, i zmiażdżyć ich ciała na krwawą masę...

Wracam na swoje miejsce za biurkiem. Plan świateł na mlecznym ekranie mieni się klejnotami, do których przybył rząd brylantów na wschodnim skraju lotniska. To potężne białe światła pionowe, które może przebijają mgłę, a w każdym razie utworzą w niej jasny, świecący obłok. Widać go przez szyby na prawo: stoi jak błądy upiór wśród nocy. Wskaże kierunek załodze, lecz i oślepi ją w chwili gdy maszyna przesyje go na wskroś...

Lecą!... Lotnisko jest puste: ciągniki wywlekły rozbitego Lancastera P jak Piotr pod skraj lasu; oficer startowy odesłał swój „karawan” między hangary i pozostał sam, z raketnicą w ręku gotową do strzału.

Słychać zbliżający się warkot silników. Cichnie i rozlega się znowu. Pilot przymyka gaz i podciąga, jakby macał podwoziem: jak daleko do ziemi?... Wszyscy patrzymy w tamtą stronę, wstrzymując oddech. Cisza napina się, jak struna. Lada chwila coś ją potrąci. Lada chwila rozlegnie się dudniący chrobot podwozia i pisk hamulców, lub — cisza pęknie łomotem walącej się maszyny.

Nie! Czerwona rakietka splywa w mętnej aureoli blasku. Kto ją wystrzelił: załoga, czy startowy?...

Nagły, ochryply ryk silników, nisko, tuż nad ziemią. Coś pędzi przez mgłę i mrok, zbliża się, mija nas, rwie w górę, oddala się szybko...

— Złe podeszli — skrzeczy w głośniku. — Omal nie wpadli na strzelnicę.

Okraczają daleko, szerokim łukiem. Wracają.

— Ja już nie mogę — mówi Maria półgłosem.

Jest blade, żółta, roztrzęsiona. Ma zaczerwienione oczy między fioletoowymi plamami powiek. Zygmuurt odprowadza ją do krzesła pod ścianą i sam siada przy jej „desku”.

Trzask przestawianego kontaktu.

— Weźcie bardziej w prawo. Kurs dokładnie North-West, na środek świateł.

Należy wątpić, czy oni nas słyszą. Musiała im nawalić cała instalacja. Ale — może...

Podchodzą znowu, i znów źle: tym razem na ukos, w kierunku lasu. Pilot wyrывa w powietrze Lancastera z otwartymi klapami i jeszcze raz odchodzi na południowy wschód, mimo że jeden z silników przerywa: kończy się benzyna...

Wreszcie za trzecim razem siadają dobrze. Zgrzyt hamulców wydaje mi się dźwiękiem najbardziej harmonijnym ze wszystkich jakie może pochwytać słuch ludzki. Uśmiecham się po raz pierwszy tego wieczora gdy Maria mdleje i spada z krzesła, Zygmunt zaś mówi:

— Diabli nadali z babami.

W chwilę potem, podczas gdy Maria pływa w kałuży wody z karafki, przychodzi wiadomość: „Wylądował Lancaster F jak Feliks. Wszyscy zdrowi”.

\* \* \*

Tylko Sarat mógł to wytrzymać. Tylko on mógł zdobyć się na oczekiwanie swojej kolei przez tyle czasu. Każdy inny dowódca załogi lądowałby wcześniej; zapewne zaraz po powrocie. On wiedział, że dzieje się coś niezwykłego. Widział z pewnością obce maszyny nad lotniskiem i odgadł, że sprowadzamy w trudnych warunkach kilka dywizjonów na ziemię. Czekał, bo nie mógł się z nami porozumieć. I teraz, prawie po siedmiu godzinach lotu, spędziwszy trzy godziny we mgle nad własną stacją, nie poddał się. Z pewnością kierował każdym manewrem pilota, panował nad jego wolą, trzymał na wodzy jego nerwy i potrafił wycisnąć z załogi wszystko na co ją było stać. Taki już był ten Sarat. Wiedziałem o tym dobrze: znałem go przecież.

Nie miałem czasu zejść do oficera informacyjnego, żeby zobaczyć Sarata i jego załogę. Trzeba było „zakończyć czynności służbowe”, zrobić

jakieś wykazy, napisać raporty, a że sierżant Maria — nawet po wysuszeniu — nadawała się bardziej do trumny niż do pracy biurowej, więc musiałem pomóc Zygmunтови.

Nie mogłem też wiele myśleć o Saracie, choć raz po raz narzucało mi się wspomnienie tej sceny na opustoszałym lotnisku, której przypadkowym świadkiem byłem ostatniego popołudnia. Doznawałem dziwnego uczucia: jakby ich było dwóch. Jeden mocny, prosty, o niezwykłej sile woli, dzielny, odważny Sarat, który ze zlaną stopą przewędrował pieszko pół Europy aby nie zostać jeńcem wojennym, i który — powróciwszy z zadania bojowego z uszkodzoną instalacją radiową — krążył przez trzy godziny we mgle, aby nie wprowadzać zamieszania wśród trzydziestu kilku lądujących bombowców. Drugi, który korzystając z tego, że jego kolega dostał się do niewoli, ukradł mu narzeczoną; bezwzględny, wyrachowany drugi Sarat, który wycisnął z własnej załogi nadludzki wysiłek, aby przysporzyć sobie uznania i sławy... Który z nich był prawdziwy?

Nad ranem, rozbierając się wreszcie do snu, natrafiłem na ów list w zaklejonej kopercie, który Sarat wręczył mi przed startem. Wrócił, a zatem powinienem był ten list przeczytać. Byłem jednak zanadto zmęczony taką lekturą, i odłożyłem to do rana. Może zresztą on się rozmyśli i będzie wolał, żebym mu zwrócił tę kopertę nienaruszoną — pomyślałem. Nie miałem wcale ochoty wtrącać się w tę jego osobistą sprawę.

Spałem twardo, jednym ciągiem, do południa. Kiedy się obudziłem, Zygmunta już nie było. Wstałem i zacząłem się golić. Byłem wypoczęty i głodny jak wilk.

Na dworze brzęczał w słońcu pierwszy naprawdę majowy dzień. Ogoliłem pół twarzy i dojechałem właśnie do podbródka, gdy do pokoju wpadł Zygmun, zatraskując drzwi za sobą jakby go kto gonili.

— No, nareszcie wstajesz — powiedział z ulgą, lecz tonem wyrzutu.

Spojrzałem na jego odbicie w lustrze i wrzuciłem ramionami.

— A cóż cię tak pognęło? Żołądek?

Mruknął coś, że śliczna pogoda i nagle powiedział:

— Wiesz, przyjechała Lucy... Chciałbym, żebyś z nią pogadał.

— Nie mam jej nic do powiedzenia. Niech z nią Sarat gada.

— Sarata nie ma. Polecał do Londynu.

Omali się nie zaciąłem.

— Kiedy?!

— Z samego rana.

— Ma chłop zdrowie. Po takiej nocy...

Zygmun wiercił się niecierpliwie.

— Słuchaj — zaczął — pogadaj z nią. Ona...hm, ona chce jechać za nim. Diabli nadali z babami!

— A co cię to obchodzi? Niech jedzie, kiedy jej tak pilno, że nie może poczekać. Kiedy on wraca?

Zygmun spojrzał na mnie z tajemniczą miną.

— On w c a l e nie wraca.

Tym razem zaciąłem się naprawdę.

— Nie gadaj idiotyzmów, kiedy się gołę. Co się stało?

— Nie wiem. Nikt nie wie. Adiutantowi powiedział, że dywizjon nowemu dowódcy ma zdać. Szczygieł, i że ma go zastępować tymczasem. O ósmej kazał przygotować maszynę, a o dziewiątej odmeldował się u komendanta stacji i polecał, zabierając wszystkie swoje kłopoty.

— Melodramat — powiedziałem, obmywszy twarz z resztek mydła. — A cóż Lucy?

— Lucy też nic nie wie, ale czegoś się domyśla i czegoś się boi. Jest bliska spazmów, jeżeli takie rzeczy w ogóle zdarzają się Angielkom.

— Lucy jest Szkotką — powiedziałem zamyślony, i nagle przypomniałem sobie o tym liście: tam musiało być wyjaśnienie!

Wziąłem kopertę ze stołu i podałem Zygmunтови.

— Przeczytaj to na głos — powiedziałem. — Ja się będę ubierał.

Wciągając świeżą koszulę, usłyszałem szelest rozdieranego papieru, po czym okrzyk zdziwienia.

— Cóż tam jest? — zapytałem niecierpliwie.

— Mój kochany, — rzekł Zygmunt sentencjonalnie — zawsze mówiłem, że prawdziwa męska przyjaźń jest silniejsza od tak zwanej miłości...

— Mówiłeś coś wprost przeciwnego, ale mniejsza o to. Czytaj-że nareszcie.

Zygmunt chrząknął i wreszcie zaczął:

„Kochany Herbercie. W moim życiu zaszły komplikacje, z którymi nie umiem sobie poradzić. Nie chcę o tym pisać szczegółowo. Nie umiałbym zapewne znaleźć słów właściwych. Nie zamierzam też usprawiedliwiać się z tego, co się ze mną stało. Nikt tu nie ponosi winy, i w ogóle o jakiejś „winie” nie może być mowy. Ale może być krzywda bez winy. Nie mógłbym tego znieść, a nie potrafię wybrnąć z sytuacji. Dlatego — uciekam. Lecę do Londynu, skąd już mam przydział do dywizjonu transportowego między Ameryką a Afryką itd. Tak się szczęśliwie składa, że wprost z lotniska w Londynie odlecę za Atlantyki. To mnie uchroni przede mną samym i zapobiegnie dalszym komplikacjom. Ale — tak, czy inaczej — to dezercja. Tu zostaje ktoś, kto uciec nie może. Ktoś — domyślasz się — bardzo mi drogi. Pomóż jej. Niech zapomni o mnie. Bądź zdrow. Dziękuję ci. Sarat”.

— Tak — powiedziałem na pół do siebie. — Gdyby nie wrócił z tego lotu, list nie byłby potrzebny...

— Co ty wygadujesz?! — oburzył się Zygmunt. — Chodźmy.

Lucy czekała na nas w samochodzie. Była bardzo błada, ale starała się panować nad sobą. Nawet się uśmiechnęła.

— Muszę koniecznie zobaczyć się dzisiaj ze squadron-leaderem Saratem — powiedziała siląc się na spokój. — To bardzo pilna sprawa.

Kąciki jej ślicznych ust opadły w dół. Zaciśnęła szczęki. Widać było, że może jej nie starczyć sił, aby utrzymać się w trudnej roli, którą chciała grać nadal. Było mi jej żal.

— Look here, Lucy — zacząłem łagodnie. — Sarat wyjechał i...

— Wiem — przerwała. — Ale to naprawdę bardzo pilne. Czy może mi pan powiedzieć, o której mam pociąg do Londynu?

Zawahałem się, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że życzeniem Sarata było, aby dowiedziała się o tym tu, między nami, nie sama, wśród obojętnych, obcych ludzi.

— Jego nie ma już w Londynie, Lucy...

Spojrzała na mnie przenikliwie. Rumieniec gniewu wypłynął na jej policzki.

— Pan kłamie — powiedziała. — Pan coś ukrywa przede mną — zaśmiała się nerwowo, raz jeszcze wracając do swej roli. — Cóż to za tajemniczy spisek? — zwróciła się do Zygmunta ze sztuczną swobodą.

Zygmunt bezradnie spojrzał na mnie i rozłożył ręce, unosząc w górę ramiona.

— No — nie, nie spisek, tylko... Oh, Lucy, on musiał wyjechać dalej... Służba, rozumie pani, i tego... Herbert to pani wyjaśni.

Lucy raz jeszcze zmusiła się do uśmiechu, za którym czał się niepokój.

— Oh, Herbert, don't be cruel. Intryguje mnie pan szalenie. Coście ostatecznie zrobili ze swoim dowódcą?

Ująłem delikatnie jej dłoń w grubej, miękkiej rękawicy szoferskiej.

— Sarat dostał przydział do Ameryki, jako nawigator transportów lotniczych — powiedziałem, patrząc jej w oczy. — Poleciał do Londynu dzisiaj rano, zupełnie niespodzianie, i teraz jest już zapewne nad Atlantykiem. I am sorry, Lucy. Rozkaz przyszedł tak nagle, że nie mógł pożegnać się z panią.

Twarz jej stężała. Opuściła szybko powieki, schyliła głowę i lekko uściśnęła moją rękę. Milczeliśmy wszyscy troje przez chwilę.

— I understand — powiedziała wreszcie cicho. — Czy który z was może odwieźć mnie do Newark?

— Zygmunt panią odwiezie. Ja mam służbę i muszę zostać — zrejterowałem szybko.

Mój przyjaciel przebił mnie na wylot jadowitym spojrzeniem, po czym zrezygnowany siadł obok Lucy. Wóz ruszył i — błysnąwszy w słońcu lakierem — skręcił na szosę.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

W I C I

diabeł w kontuszu  
wici — wici  
pospolite ruszenie  
na popielowe wesela  
przyszli dwaj aniołowie  
podstrzygli chłoptasiowi głowę  
tańcowało pijaństwo leśne  
na postrzyżynach  
a potem ostrzyżonego  
posłali  
na Sybir karetką z dzwonekami  
dzwon, dzwoni, dzwoni dzwoneczku.

zmarł się król bezsilny  
pomodlił się i podumał:  
posłał mu swego błazna  
aby go pocieszał  
w ogródcu dla więźniów  
w kopalniach ołowiu

pobożni jasnogórcy  
krzepili na duchu: jęgo królewska  
[mości]

— niedługo rozpocznie się wojna:  
walka napowietrzna  
— po naszej stronie  
litanie przeciwczłołgowe  
przeciwlotnicze chorały  
duchy skrzydlate  
zwycięstwo  
chwałą nieziemską  
męczeńską  
nasiąkną prastare sztandary  
królu nasz, królu  
najmilsi...

wojna — wojna — gromnice  
pieśni — pieśni bojowe  
parlament szabłami porząsa  
niech żyje — niech żyje  
i muzyka płynie od wiosek  
od dworów  
dziadowie żebracy pielgrzymi

ze studniowych odpustów  
maszerują przez lasy, przez pola  
gęsiego  
larum grają na kobzach góralskich  
larum — larum

wici — wici nie na wesela  
nie na myszy popieła  
nie na kruki to strach  
— różmarn się rozwinął  
róże zapachniały łojem i

[spalenizną]

tynek kruchy tynek  
na trupie warszawianki —  
hej kto Polak — w kanałach  
[bezwodnych]  
w śmierdzących katakumbach  
dynamitowe męczeństwo

wszyscy pobiegli do okien  
rejtan sam jeden pozostał  
rozebrany na progu, błyszczący  
[cierpieniem]  
płacząc, że nikt nie chciał go  
[podeptać]

nikt nawet nie splunął  
nie opisali w gazetach  
nie ogłosili po świecie.  
jeno stary generał  
z drżącą szablą w garści  
krzyknął na lokaja  
co grzał się pod piecem:  
za mną — mój towarzysz  
ruszaj się mospanie  
przejdziem wisłę, przejdziem wartę  
przejdziem po rejtanie

a wokoło płonęły wici — wici  
ogień — ogień — wojna  
głód i modlitwa  
i marsylianka i warszawianka  
i wici — wici — wici —

## UCIECZKA Z SHINABARA

## I.

Gdy wzgórza się skończyły, pociąg przez dłuższy czas biegł wzdłuż wybrzeża, które było piaszczyste i puste. Widok nie był wcale ciekawy i prawie nie zwracałem na niego uwagi, ale mimo to sierżant Kikuchi dokładał wszelkich starań, abym nawet przypadkowo nie patrzył przez okno — i w tym celu starał się prowadzić ze mną rozmowę.

— Już wkrótce przyjedziemy do Shinabara — ciągle powtarzał. — Wiktor z pewnością będzie na stacji. Z rana telefonowałem do tamtejszej policji, aby go uprzedzono o pańskim przyjeździe. Cieszę się, że będzie pan mógł znowu rozmawiać po polsku.

Naprawdę jednak ta właśnie myśl martwiła go ogromnie. Gdy na początku lipca, wylądowałem w Odomari, głównym porcie japońskiego Sachalinu, Kikuchi już czekał na przystani jako mój tłumacz, sekretarz, przewodnik i nierozłączny towarzysz wszelkich dalszych podróży. Od tej pory rzeczywiście nie odstępował mnie ani na chwilę — i najbardziej się przejmował, gdy fotografowałem, zbyt długo wyglądałem z pociągu przez okno, i rozmawiałem po polsku z nielicznymi polskimi osadnikami. Tego języka bowiem nie rozumiał, a doświadczenie, nabyte podczas wieloletniej służby w żandarmerii, kazało mu węszyć w podobnych rozmowach ogromne niebezpieczeństwo dla japońskiego cesarstwa. Do zmartwień tych przyłączała się z pewnością świadomość własnej niedoskonałości, ponieważ uważając się za poliglotę, znającego kilka języków azjatyckich i europejskich, zapomniał nauczyć się po polsku.

— To okropna rzecz być poliglotą — stwierdził zupełnie szczerze na wstępie naszej znajomości. — Wszystkie słowa się mieszają, często nie wiem, po jakimu mówię. Moi koledzy, a nawet żona nie mogą mnie równieź wyraźnie rozumieć, chociaż rozmawiam z nimi po japońsku. Tyle słów obcych w mojej głowie, tyle słów obcych...

Pocieszałem go, jak mogłem, ale dopiero po paru tygodniach zacząłem lepiej rozumieć jego „cudzoziemską” mowę, która składała się ze słów angielskich, niemieckich, rosyjskich, chińskich i japońskich. Wiedziałem naturalnie, że szpieguje i śledzi mnie bez ustanku — mimo to nawet go polubiłem, ponieważ był na ogół usłużny i grzeczny, i chronił mnie przed zgrają policjantów i żandarmów, umundurowanych lub ubranych po cywilnemu, do obowiązków których należało stałe towarzyszenie mi w pewnej odległości. Z czasem stanęła między nami milcząca umowa — jeśli nie domagałem się spotkań z polskimi osadnikami, albo spotykając ich nie rozmawiałem z nimi wiele po polsku, to Kikuchi chętniej pozwalał mi fotografować i „węszyć” po okolicy. Z dwojga złego wybierał najwidoczniej to mniejsze.

Polacy przybywali na tę daleką, północną i mało znaną wyspę w ciągu XIX stulecia, nie dobrowolnie, ale przeważnie jako więźniowie polityczni, zesłani przez carski rząd rosyjski. Gdy po wojnie rosyjsko-japońskiej w 1905 roku, południowa część Sachalina dostała się pod panowanie japońskie otrzymując nową, dzwięczną nazwę: Karafuto — kilka polskich rodzin pozostało na niej zajmując się z powodzeniem gospodarstwem rolnym. Obok garstki Rosjan, stanowili oni jedyną kolonię cudzoziemską, otoczoną przez morze Japończyków, przybywających masowo z Południa. Wyspa bowiem nabierała w ciągu lat coraz większej strategicznej wartości, i władze japońskie coraz bardziej utrudniały dostęp do niej cudzoziemskim turystom i dziennikarzom. Ale moja energiczna interwencja u władz japońskich w Tokio była nadspodziewanie skuteczna — i w lecie 1939 roku otrzymałem pozwolenie na zwiedzenie Karafuto.

Tak się dziwnie złożyło, że o Wiktorze słyszałem jeszcze w Warszawie. W drukarni tygodnika, którego byłem współredaktorem, pracował młody zecer. Pewnego dnia zapytał mnie, czy prawdą jest, że wyjeżdżam do Japonii. Potwierdziłem. Wtedy prędko opowiedział mi dzieje swego życia, które zaczęło się przed laty w Charbinie. Ojciec jego pracował jako maszynista na Wschodniej Kolei Chińskiej, zanim umarł z powodu jakiegoś wypadku. W jakiś czas potem matka posłubiła innego człowieka i spośród czworga dzieci z pierwszego małżeństwa zatrzymała przy sobie jednego syna, zgadzając się, aby reszta została wywakuowana do Polski, gdzie zajęli się nią krewni. Młody zecer dał mi list z egzotycznym adresem i prosił, abym pozdrowił jego brata, którego nie widział prawie od 20 lat.

— W jaki sposób znalazł się on na Sachalinie? — zapytałem.

Okazało się, że po zajęciu Mandżurii przez Japończyków biali ludzie nie mieli w tym kraju większych szans — i musieli albo biedować, albo wyjeżdżać gdzieindziej. Wiktor zdecydował się na to ostatnie — z jakim skutkiem, i dlaczego na Sachalin — tego młody zecer nie umiał powiedzieć.

Kikuchi naturalnie znał dobrze Wiktora — i długo usiłował mnie przekonąć, że nie zasługuje on na zaszczyt mojej wizyty.

— Mieszka bardzo daleko — powtarzał wiele razy. — Trzeba jechać koleją na Północ, prawie 12 godzin. Kolej bardzo niewygodna, tylko trzecia klasa. I zawsze jedynie parę wagonów, bo właściwie chodzą tam wyłącznie pociągi towarowe. W wagonie jest stale tłok. Jeżdżą tam japońscy wieśniacy i robotnicy, bardzo brudni ludzie. Łatwo od nich zarazić się skórną chorobą. Poza tym jest lato, a wraz z tym plaga moskitów. Gryzą okropnie, łatwo o malarię. To nie dla pana. I po co? Żeby zabaczyć prostego chłopca?

Zapewniłem go, że właśnie to wszystko lubię, że nie boję się chorób skórnych, posiadam zapas chininy i siatkę na moskity. Byłem nawet tak natarczywy, że będąc w Toyohara, stolicy Karafuto, poszedłem do gubernatora i pokazałem mu list od władz tokijskich, który oznajmiał, że mogę wszystko oglądać, a nawet fotografować — z wyjątkiem obiektów wojskowych. Gubernator jednak początkowo równieź odradzał wycieczki powtarzając niemal dosłownie wszystkie argumenty, użyte poprzednio przez Kikuchi.

— Czyżby Shinabara była obiektem wojskowym? — zapytałem naiwnie.

To gubernatora zakłopotало i czym prędzej zmienił temat rozmowy zapraszając mnie na jeszcze jedną kolację z udziałem gejsz. Wyszedłem od niego nie wiedząc, czy moja interwencja poskutkowała. Nazajutrz rano jednak do mego pokoju w japońskim hotelu wbiegł uśmiechnięty Kikuchi triumfalnie potrząsając jakimś papierkiem. Gubernator — objaśnił — na jego wniosek z największą chęcią wystawił zezwolenie na wycieczkę na Północ.

Podróż rzeczywiście nie była przyjemna. Pociąg włókł się przeraźliwie i dwa wagony trzeciej klasy szczelnie wypełnił tłum japońskich wieśniaków i robotników. Nie było jednak ani tłoku, ani moskitów. Kikuchi — jak zwykle — tkwił u mego boku, a na szeregu sąsiednich ławek rozlokowała się reszta mojej „świty” częściowo udając przygodnych pasażerów, a częściowo przyznając się do swej roli. W ciągu wielu godzin mogłem oglądać przez okno jedynie ponure, czarne wzgórza, pokryte popiołem spalonego lasu. Wielki pożar szalał niedawno na przestrzeni kilkudziesięciu mil i pozostawił po sobie liczne kadłuby niedopalonych drzew. Kikuchi nie chciał mówić o tym wydarzeniu, natomiast ciągle nawracał w rozmowie do innego, bardziej interesującego tematu. Po co chcę zobaczyć Wiktora? Ciekawość pożerała małego żandarma-poliglota — i z jego poprzednich zapytań wywnioskowałem, że posądza mnie o próbę zorganizowania na Karafuto wywiadu.

— Nie — odpowiedziałem na jedną z licznych, uprzejmych sugestii Kikuchi — wcale nie wiozę Wiktorowi poleceń od szefa sztabu generalnego armii polskiej lub jakiegokolwiek innej. Wszyscy ci szefowie nawet nie wiedzą o jego istnieniu. Chcę natomiast napisać o nim artykuł do prasy, a poza tym zwiedzić jeszcze jedną część Sachalina. To jest już warte zachodu.

Kikuchi uśmiechał się pobłażliwie i nawet udawał, że mi wierzy. Pó-przednio już miałem okazję do wysłuchania jego oświadczenia na temat, jak bardzo chytry są biali ludzie, i ile japoński żandarm musi się napracować, aby dociec prawdy, którą oni zawsze usiłują skryć przed nim. Narazie przeto przestaliśmy mówić i znów powróciłem do okna. Pociąg oddalał się od wybrzeża i wzgórze, pokryte nareszcie zielonym, nie spalonym lasem, przesłoniły szarą, zimną płaszczyznę Ochockiego Morza. Kikuchi siedział zrezygnowany i nawet nie zareagował na moją kamerę, której obiektyw skierowałem w stronę jakiegoś urwiska. Ale w tej chwili pociąg został tak nagle zahamowany i tak prędko stanął, że omal nie wpadłem na siedzącą naprzeciw mnie Japonkę. Potem wagony ruszyły, ale tak powoli, jak gdyby pełżyły po wysokim, drewnianym, najwidoczniej prowizorycznym moście, przerzuconym nad szeroką rzeką o stromych brzegach. Zdawało się przez chwilę, że most się chwieje. Uwaga nasza jednak w tej chwili skierowała się na koniec wagonu, skąd dobiegała wrzawa wielu głosów. Ku memu zdumieniu usłyszałem zupełnie wyraźnie wypowiedziane po polsku słowa:

— Psiakrew, puść cholero jedna!

Wagon był bez przepierzeń i dlatego z łatwością zobaczyłem młodego, białego cudzoziemca, stojącego u drzwi wejściowych i otoczonego zgrają towarzyszących mu policjantów. Najwidoczniej chciał przecisnąć się przez nich, ale go nie puszczali i starali się wypchnąć na korytarz. Zmagania te były wysoce komiczne, ponieważ cudzoziemiec o dwie głowy górował nad otoczeniem i torował sobie drogę z ogromną siłą. Był to opalony na brąz brunet, o twarzy pociągłej, ubrany w granatową marynarkę, spod której była widoczna biała, rozpięta koszula. Policjanci zadawali mu jednocześnie jakieś pytania, na które odpowiadał po japońsku dorzucając co chwila różne niezbyt uprzejme komentarze w języku polskim.

— Wiktor-san — wykrzyknął zdumiony Kikuchi zapominając zupełnie o chwiejącym się moście. Następnie powiedział coś po japońsku do policjantów, którzy niezwłocznie się rozstąpili i zaczęli najbardziej przyjaźnie się uśmiechać.

— Oni głupi ludzie — wyjaśnił Kikuchi. — Oni nie znają Wiktora i nie chcą go dopuścić do pana. Oni myśleli, że to kto inny. Bardzo przepraszam, bardzo przepraszam...

Poszedłem na spotkanie. Wiktor miał mocną dłoń robotnika — i uścisk był tak silny, że aż bolesny. Kikuchi słodko się uśmiechając zwrócił się niezwłocznie do Wiktora z zapytaniami. Skąd, dlaczego i w jaki sposób wziął się on w pociąg, który nie dojechał jeszcze do Shinabara? Ale sprawa była prosta. Sumienna policja japońska rzeczywiście powiadomiła Wiktora z rana o moim rychłym przyjeździe — i to tak go podekscytowało, że nie mógł wytrwać w czekaniu. Nigdy do niego nikt nie przyjeżdżał, a w ciągu ostatnich paru lat widział jedynie kilku białych ludzi „ze świata”, przeważnie rosyjskich kupców z Charbina, skupujących skóry srebrnych lisów. I zamiast czekać na stacji poszedł na moje spotkanie. Wiedział, że pociągi zatrzymują się zawsze w odległości około 5 mil od Shinabara przy prowizorycznym, drewnianym moście — i skorzystał z tego, aby dostać się do wagonu. To było wszystko. Ale grupa japońskich policjantów i żandarmów z Kikuchi na czele długo jeszcze nie mogła się uspokoić i stawiała różne, podchwytliwe pytania. Kto mu powiedział, że pociągi się zatrzymują przy moście? Indagacja trwała niesłychanie



monotonnie i skończyła się bezowocnie dopiero w pół godziny później, gdy pociąg dowlókl się wreszcie do Shinabara.

## II.

Wieczorem Kikuchi zrezygnował, pozostawił mnie w towarzystwie Wiktora, i poszedł — wraz z paru innymi policjantami — na kolację z udziałem gejsz. Początkowo nas nie odstępował — i pokazując mi miasto, ciągle nam przeszkadzał w rozmowie. Tak było całe popołudnie, aż wreszcie poczuł, że traci twarz, ponieważ zwracaliśmy na niego coraz mniej uwagi. Strata twarzy w Shinabara musiała być szczególnie przykra, gdyż kontrastowała z ogólnym szacunkiem, który objawiali wszyscy mieszkańcy miasteczka spotykając na ulicy małego, ubranego po cywilnemu sierżanta żandarmerii. Właścicielka japońskiego hotelu wybiła przed nim nieskończoną ilość pokłonów, obdarzając mnie zaledwie połową podobnych oznak hołdu, mimo że byłem głównym gościem. Kikuchi długo z nią rozmawiał — i zapewne na skutek jego zleceń, wkroczyła ona w parę godzin później do mego pokoju. Czy szanowny gość życzy sobie na wieczór towarzystwo najpiękniejszych miejscowych gejsz? „Biała Konwalia” i „Kwiat Lotosu” są do dyspozycji — razem lub osobno. Dziewczyny czekały w przedpokoju — rzeczywiście były młode i dość przystojne, ale na nieszczęście ciągle się uśmiechały. „Biała Konwalia” miała wszystkie zęby złote, a „Kwiat Lotosu” czarował własnym, lecz — jak często w Japonii — mocno zepsutym uzębieniem. W tych warunkach trudno nawet było się wahać — podziękowałem zaślaniając się zmęczeniem. Kikuchi zdał sobie wreszcie sprawę, że jego plan się nie udał i że wieczór spędzę razem z Wiktorem. I starając się go pocieszyć zaproponowałem, aby wraz z kolegami ucztował w towarzystwie gejsz „tak jak gdybym był z nimi”.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Towarzystwo gejsz jest bardzo kosztowne i nawet wysoki urzędnik japoński nie zawsze może sobie na nie pozwolić. Ale Kikuchi miał fundusz dyspozycyjny, z którego pokrywał swoje wydatki i swoich kolegów, jeśli śledzenie mnie zmuszało ich do towarzyszenia mi do restauracji. Zawsze szukali tej okazji — i moja zachęta została przyjęta z entuzjazmem. Nie wątpiłem zresztą, że jakiś „anioł stróż” czuwał nad nami z daleka, ale wreszcie mogłem spokojnie wyciągnąć się na macie w moim hotelowym pokoju, i zaprosić Wiktora, aby uczynił to samo. Byliśmy po raz pierwszy sami. Wręczyłem mu przeto list od jego brata, który zaczął czytać z widocznym wzruszeniem.

Gdy to czynił, obserwowałem go w zmroku gasnącego, letniego dnia. Wiktor był młody, nie przekroczył jeszcze trzydziestki, a mimo to na jego skroniach zjawily się już siwe włosy, które dziwnie kontrastowały z oczyma, mającymi spojrzenie dziecka. Patrząc na niego uświadamiałem sobie, że od wielu lat ciężko, fizycznie pracował — i ta praca i bieda, z pewnością już dawno stępiły jego wrażliwość. Ale w dniu tak niezwyklej wizyty „ze świata” wyzywał się wszelkich cech człowieka zahartowanego i — zdawało się — że może rozplakać się lada chwila w przypiływie jeszcze jednej fali silnego wzruszenia. Od chwili przyjazdu do Shinabara ciągle byłem pod tym wrażeniem, a szczególnie wtedy, gdy ze stacji Wiktor zaprowadził nas wszystkich do swej „rezydencji”.

Mieszkanie składało się z dwóch niskich, ponurych pokoiów, których jedyne umeblowanie stanowił ogromny stół i mała szafka, stojąca w kącie. W jednym z pokoiów na ścianie były przybite: obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, duża ilustracja z jakiegoś polskiego pisma, przedstawiająca Papieża, Piusa XI, i wyblakła fotografia starszej kobiety. „To matka” — objaśnił. Znaczoną część drugiego pokoju wypełniał olbrzymi piec, służący do wypieku chleba. To było wszystko. Wiktor bezradnie rozglądał się dookoła — i zarumieniony poprosił mnie, abym usiadł na

stole, ponieważ nie miał w mieszkaniu żadnego krzesła. Nie było również łóżka. Spał bowiem na stole — stanowił on także główną część jego warsztatu pracy, gdyż na nim przygotowywał ciasto i robił chleby, które następnie wypiekał w piecu.

Biedny Wiktor! Nie znałem jego ambicji, ale widoczne było, że nie osiągnął nawet małej części tego, o czym kiedykolwiek marzył. Po co więc przyjechał do tej zakazanej japońskiej „dziury” i tkwił w niej z uporem, godnym podziwu? I jakby czując, że to pytanie wisi w powietrzu, Wiktor zaczął mówić o starzejącej się, bezradnej matce w Charbinie, która znów owdowiała i wraz z dwiema córkami z drugiego małżeństwa utrzymywała się jedynie z pieniędzy, przesyłanych z Karafuto.

Poświęcił się dla niej. Dla niej właśnie stał się piekarzem, z wykształcenia bowiem był szoferem i mechanikiem. Te stare dzieje wciąż żyły w jego umyśle z siłą wydarzeń dnia wczorajszego. Przed 6 laty — nadaremnie starając się o pracę w Charbinie — dowiedział się od znajomych, że jeden z zamożniejszych polskich osadników na Karafuto szuka już od dłuższego czasu odpowiedniego pomocnika. Oferta była pożądana i lepsza od możliwości w Szanghaju, dokąd przeważnie emigrowali biali ludzie z japońskiej Mandżurii. Wiktor dotarł przeto po dłuższej podróży do Toyohara — i w ciągu następnych trzech lat robił wszystko: rąbał las, woził drzewo, hodował srebrne lisy, uprawiał ziemię i głównie piekł chleb. Japończycy na ogół nie jedzą chleba, głównym ich posiłkiem jest ryż — w takim stopniu, że w modlitwie Pańskiej, przełożonej na japoński, figuruje on jako „ryż powszechny”. Ale warunki klimatyczne północnej wyspy zmuszają do zmiany *menu* — i władze Karafuto od wielu lat propagowały korzyści, wynikające z jedzenia pieczywa. Okazało się wtedy, że na miejscu potrzebą wypiekać chleb jedynie Polacy lub „biali Rosjanie” — i dzięki temu opanowali oni tę gałąź „produkcji”, która powoli się rozwijała, chociaż z powodu konserwatyzmu mas japońskich była wciąż ograniczona. I już w parę miesięcy po przybyciu do Toyohara — Wiktor poznał wszelkie sekrety sztuki piekarskiej.

Nigdy właściwie nie dowiedziałem się dokładnie, dlaczego Wiktor rozstał się ze swoim chlebobdawcą, który sprowadził go na Karafuto. Niektórzy miejscowi Polacy zaręczali, że stary osadnik pewnej nocy zastał nieoczekiwanie swego pomocnika w łóżku swojej młodej żony, i z tego powodu go wyrzucił. Inni jednak, którym z pewnych powodów bardziej wierzyłem, twierdzili, że to nieprawda, i że właśnie młoda żona narzucała się przybyszowi z Charbina, a zawiedziona w uczuciach oskarżyła go fałszywie przed mężem. W każdym razie rozstanie było połączone z wielką awanturą, a nawet bijatyką — po czym Wiktor znalazł się na ulicy, bez pracy. I wtedy właśnie w jego życie wkroczył Kikuchi, którego zadaniem była „opieka” nad wszystkimi cudzoziemcami, mieszkającymi na wyspie.

W Shinabara potrzebny był piekarz — i wszechwładny sierżant żandarmerii zaproponował tę „misję” Wiktorowi. Miasteczko rozwijało się, w okolicy pracowały dwa duże tartaki i odkrywały się wciąż nowe kopalnie węgla — spora ilość mieszkańców skłonna była do jedzenia chleba, ale nie mogła go dostać na miejscu. Wiktor zorganizował własne przedsiębiorstwo wkładając w nie wszystkie swoje skromne oszczędności. Powodzenie jednak trwało zaledwie rok. Najpierw przyszła wojna w Chinach w 1937 roku, pociągająca ze sobą na Karafuto różne zaostżenia w stosunku do cudzoziemców, a potem — wciąż rosnąca zachłanność Kikuchi, który służąc wiernie boskiemu cesarzowi nie zapominał o własnych dochodach.

Japoński żandarm działał z premedytacją — i Wiktor co jakiś czas musiał mu wręczać jako *omiyage*, prezent: białą, niezaadresowaną kopertę, przewiązaną czerwoną wstążką, zawierającą pokaźną sumę pieniężną, jako „upominek” dla jego żony i dzieci. Czasem upominek był nie wystarczający i wtedy — przeważnie na drugi dzień — Kikuchi ceremonialnie

zwracał tę samą kopertę wraz z jej zawartością, uprzejmie zaznaczając, że jest to z jego strony prezent dla „szanownej matki, mieszkającej w Charbinie”. Wiktor wiedział, co to znaczy: podwajał łąpówkę i ponownie ją wręczał, po czym uśmiechnięty żandarm zniknął na parę lub kilka tygodni nie starając się już grać dalej komedii rewanżu. Porywała mnie pasją, gdy słuchałem tego wszystkiego. Jak mógł Wiktor zgodzić się na coś podobnego? Dlaczego nie protestował? I w ogóle dlaczego nie rzucił tego przekłętęgo Karafuto?

Wiktora mój wybuch niepomierne zdziwił. Czyżbym nie znał potęgę japońskiej policji? Oczywiście próbował przeciwstawić się — i proszę, co wynikło? Ze strony lokalnej policji, która zawsze słuchała rozkazów Kikuchi, szybko następowały represje: tygodniami nie nadchodziła mąka, pieczywo było konfiskowane pod pozorem sanitarnej kontroli, i już parokrotnie samego piekarza zamykano w areszcie pod zarzutem szpiegostwa.

— Naturalnie, że w areszcie biją — odpowiedział z pewnego rodzaju dumą na moje zapytanie. — Nieraz nawet mocno — i zawsze się pytają, co wiem o lotniskach, które są budowane na północ od Shinabara. Są to spore lotniska z podziemnymi hangarami, wyłobionymi w zboczu góry. Naturalnie, że wiem o nich, bo całe miasteczko o tym mówi. Ale niezależnie od tego, co im powiem, wypuszczają za parę dni na wolność, zabraniając gdziekolwiek wyjeżdżać i każą pracować. Kikuchi znów się pojawia, uśmiechnięty, pyta o zdrowie i wyciąga rękę po kopertę...

Zadne protesty nie pomagały, a ambasada polska w Tokio w ogóle nie reagowała na listy Wiktora. Z pewnością ich nie dostawała, gdyż zatrzymywał je u siebie Kikuchi, który nie tylko „opiekował” się cudzoziemcami, ale także sprawował kontrolę nad ich korespondencją. Wiktor pisał do ambasady wiele razy, ponieważ chciał wyjechać do Polski. Od dawna marzył o tym, ale nie wiedział jak wyrwać się z Karafuto, jak znaleźć pieniądze na koszty tak długiej i dalekiej podróży? Z Europy przychodziły ostatnio coraz bardziej alarmujące wiadomości — i to jeszcze bardziej podniecało Wiktora. Czy myślę, że jako szofer-mechanik byłby chętnie przyjęty do armii polskiej, gdyby się znalazł w kraju? Myślałem, że tak — i wtedy Wiktor zaczął prawie dramatycznie rozpaczkać. Miałby już pieniądze na podróż do Polski, gdyby nie to, że stracił koncesję na stacji. Koncesja ta głównie stanowiła o jego zarobkach.

Dlaczego stracił? Wyjaśnienie było proste: Wiktor miał od czasu do czasu na stacji zatargi z przejeżdżającymi żołnierzami, którzy stale kupowali chleb, ale nie zawsze chcieli płacić. Pewnego dnia — gdzieś przed rokiem — rzucił im w twarz te parę groszy, które mu dali za pieczywo, warte daleko więcej. Oburzeni wojownicy okrążyli go wtedy i zaczęli bić, co zresztą dla nich skończyło się fatalnie. Wiktor był silny, umiał boksować się i znał *judo* — w rezultacie po kilku sekundach pięciu żołnierzy leżało jęcząc na peronie. W tej samej chwili wojskowy pociąg ruszył — i pobici, poderwani rozkazem swego podoficera, który nie zorientował się w sytuacji, w biegu wskoczyli do wagonu, wygrązając pięściami w bezsilnej złości zwycięskiemu Polakowi. Wypadek ten naturalnie został zanotowany przez kolejową policję — i Kikuchi najpierw wymusił od Wiktora „prezent”, a potem — wyrażając swoje głębokie współczucie — odebrał mu koncesję.

— Co miałem robić — westchnął Wiktor. — Na stacji sprzedaje teraz chleb niejaki Suzuki, któremu muszę dostarczać go prawie po cenie własnej. Gdy nie chcę, to policja grozi, że wsadzi mnie na dobre do więzienia — wciąż za tę bijatykę z żołnierzami. Stanowczo nie pozwalają mi wyjechać, mówią, że wiem za dużo o okolicy, muszę więc pozostać tutaj na zawsze. Nie wiem, co mam robić. Myślałem, że może zdołam jakoś uciec, ale przed pół rokiem przyjechała tutaj jedna dziewczyna. Przykro mi ją samą zostawić. Proszę, niech pan pójdzie ze mną, aby się z nią zapoznać. Na pewno ją pan polubi. I może w Tokio zdoła pan coś zrobić, aby te żółte małpy zezwoliły nam razem wyjechać z Karafuto.

Ta prośba widocznie długo w nim nurtowała — i wyrzucił ją pośpiesznie, w przekonaniu, że odmówię, pogniewam się lub w ogóle nie zechcę go słuchać — i on straci ostatnią, nadarzającą się okazję. Musiałem parę razy go zapewnić, że sprawa nie jest stracona i że w Tokio zdam relację o wszystkim polskiej ambasadzie i sam będę interweniował. Co za dziewczynę jednak znalazł on w Shinabara? Czy w ogóle może być tutaj coś dla niego odpowiedniego? Ale na to Wiktor uśmiechnął się dumnie.

— Proszę bardzo — odpowiedział. — Pan sam zobaczy i osądzi. Chodźmy.

Był już późny wieczór — i z ciemnego pokoju wyszliśmy do pustego hotelowego przedsionka, aby nałożyć buty. Za stylową bramą hotelu leżało miasteczko, zbudowane według zwykłego japońskiego standartu — i dalej wzdłuż głównej, jasno oświetlonej ulicy — liczne bary wrzawą głosów i kaskadą gramofonowych melodii zachęcały do odwiedzin. Wiktor wskazał na jeden z nich, który prezentował się na zewnątrz dość okazale i wabił swą nazwą, złożoną łacińskimi literami z elektrycznych lampek: BAR — SAROON — MOURIN ROUGE. Japończycy, jak wiadomo, nie wymawiają „L” i zastępują ten dźwięk literą „R” — błąd ten jest tak częsty, że przestaje zwracać uwagę. W BAR — SAROON — MOURIN ROUGE patefon grał przeraźliwie głośno „Alexander Ragtime Band” i w licznych przegródkach Japończycy pili, śmieli się, krzyczeli i flirtowali z usługującymi dziewczynami. Kłęby tytoniowego dymu unosiły się na sali, która z tego powodu była mroczna mimo płonących, licznych lamp.

Dwie japońskie dziewczyny, ubrane w kimona, podbiegły do nas i przywitały Wiktora, jak dobrego znajomego. Wskazały nam stolik za dużym parawanem, przyniosły piwo i usiadły obok, śmiejąc się i mówiąc coś po japońsku. Wiktor niecierpliwił się: posyłał wciąż jedną lub drugą z jakimiś poleceniami do sąsiedniego pokoju. Wreszcie rozpromienił się. W drzwiach zjawiło się kilka nowych kelnerów, ubranych po europejsku — i jedna z nich prędko podbiegła do niego.

Początkowo myślałem, że jest to Japonka, ponieważ — mimo ubrania — wszystko w jej ruchach, głosie, mowie i zachowaniu się było japońskie. Gdy jednak przyjrzałem się jej lepiej, zacząłem wątpić — miała wprawdzie twarz, promieniejącą wielką południową urodą, ale ciemne, kasztanowe włosy, spływające łagodną falą na plecy, świadczyły o tym, że jest albo „połówką”, albo białą dziewczyną. Wiktor był w niej zapatrzony.

— To jest Mary — cicho powiedział.

Dziewczyna uśmiechnęła się, najpierw skłoniła się nisko na sposób japoński, potem podała obu nam rękę i wreszcie usiadła obok na kanapie. Zwracając się do mnie, zaczęła mówić po angielsku tak bardzo powoli, jak gdyby przypominała zapomniane słowa. Pytania jej były banalne. Jak mi się podoba miasto? Czy długo tutaj zostaję? Ale obca mowa prędko ją zmęczyła lub zniechęciła — i wnet przeszła na japoński pozostawiając Wiktorowi rolę tłumacza.

Wiktor patrzył na mnie przez dłuższą chwilę triumfująco. Nie—dziewczyna nie ma w sobie ani jednej kropli japońskiej krwi — jej ojcem bowiem był Irlandczyk, obywatel amerykański, a matką: Hiszpanka. Po minucie — z krótkich, urywanych słów Wiktora — tragedia dziewczyny zarysowała się zupełnie wyraźnie. Najpierw w Kobe zmarł jej o ciec, po czym matka poślubiła Japończyka, który zaadoptował swą pasierbicę. Z kolei śmierć, utajona w suchotach, prędko dosięgła nowo-pobrąną, japońsko-hiszpańską małżeńską parę — i osieroconą, małą Mary zajęła się japońska, na ogół biedna rodzina jej ojczyzna. Nowe otoczenie wchłonęło prędko swój nabytek i postarało się upodobnić go do siebie. Mary wędrowała z miasta do miasta, pracowała w restauracjach, usługiwała w hotelach — stała się japońską dziewczyną z mglistym wspomnieniem innego, cudzoziemskiego dzieciństwa. I los japońskiej dziewczyny zaprowadził ją do baru

w Toyohara, skąd — transakcja między właścicielkami — przeniosła ją do Shinabara i ulokowała, jako główną atrakcję w BAR — SAROON — MOURIN ROUGE.

Gdzieś przed półrokiem pewnego wieczora Wiktor zaszedł do baru z jakimś japońskim przyjacielem — i do niego nieoczekiwanie podeszła nowa kelnerka: biała, piękna dziewczyna. Spotkanie to stanowiło jeszcze jedną możliwość spośród nieskończonej ilości tych, w które obfituje ta cudna, fantastyczna przygoda, nazywana życiem. I tak, jak naturalny był przypadek, który dopomógł im się poznać, wszystko rozwijało się dalej według normalnych, niemal szablonowych reguł. Byłoby nawet dziwne, gdyby ich nie ogarnęła miłość i gdyby później nie zaczęły się na tej drodze piętrzyć liczne trudności. Mary bowiem nie była zupełnie wolna — nie miała wprawdzie ani męża, ani kochanka, ale była zależna od „madame”, właścicielki baru, która nie zamierzała jej się pozbywać bez odpowiedniego, dość wysokiego odszkodowania. W japońskich barach bowiem kelnerki spełniają podwójną rolę: dam do towarzystwa i służby — ich dobór decyduje o popularności lokalu. Mary poza tym — jak wiele innych japońskich dziewcząt — „należała” do swojej „madame” i nie mogła jej opuścić bez spłacenia długów, które wynikały z należności za wychowanie, utrzymanie i ubranie. Ten system był broniony przez japońską tradycję i prawo — i bez zezwolenia swej właścicielki dziewczyna nie mogła odejść z baru, a tym bardziej wyjść za mąż. W ten sposób na drodze zamiarów Wiktora istniała ogromna przeszkoda — i świadomość, że nie mając dostatecznej ilości pieniędzy, nie może jej zwalczyć, napawała go bezsilną wściekłością i głęboką rozpaczą.

Rozumiałem dobrze tę narastającą tragedię jego uczuć, ale była ona niepotrównanie mniejsza od dramatu, który zaważył nad całym życiem białej dziewczyny, przerobionej na Japonkę. Wydawało mi się to tak potworne, że prawie niemożliwe — i dopiero widok siedzącej obok Mary świadczył o prawdziwości zaszłych wydarzeń. W barach tokijskich spotykałem rosyjskie dziewczyny z Charbina — ale w danym wypadku zawód Mary był nawet sprawą obojętną, wobec zamachu, jaki uczyniła na nią obca, żółta rasa. Czy miłość Wiktora potrafi z niej uczynić z powrotem białą dziewczynę? I to właśnie pytanie, a nie opór „madame”, możliwy przynajmniej teoretycznie do przełamania, ciążył nad przyszłością i szczęściem tych obojga młodych ludzi.

Należało jednak dać im jakąś radę — i po dłuższej chwili zdawało mi się, że znalazłem wyjście z sytuacji. Pomysł był awanturniczy, nie zapewniał całkowicie sukcesu, ale nic lepszego nie mogłem wymyśleć. Długo i szczegółowo mówiłem o tym z Wiktorem przez dym, opary alkoholu, dźwięki hiszpańskiego tanga, krzyki pijanych Japończyków i śmiechy dziewcząt. Mary siedziała spokojna, zapatrzona w Viktora — czując z pewnością, że omawiamy jej przyszłość. I tak nas zastał Kikuchi, któremu wrodzona sumienność nie pozwalała przeciągać kolacji z gejszami, gdy nie widział dokładnie, co robimy. Obrzucił całą naszą grupę wzrokiem bazyliuszka, ale potem, jak zwykle, zaczął uśmiechać się.

— Bardzo przepraszam, bardzo przepraszam — powiedział zwracając się do mnie. — Szukałem pana w hotelu, ale powiedziano mi, że poszedł pan tutaj. Ładny lokal, nieprawda? I co za dziewczyny! Pozwalam sobie jednak uprzejmie poradzić panu udanie się już na spoczynek. Jest już późno, bardzo późno, a pan musi wstać jutro o 5-ej rano, ponieważ odjeżdżamy pociągiem, który odchodzi o 6-ej. Mam nadzieję, że omówił pan wszystkie sprawy z Wiktorem i dowiedział się od niego, jak dobrze powodzi mu się w tym mieście pod opieką cesarskiej policji i zandarmerii. Może pan być pod tym względem zupełnie spokojny. Czuwam nad tym, aby mu się nie stała żadna krzywda. Najpokorniej proszę, aby nie zapomniał pan o tym napisać w swoim szanownym artykule.

Mniej więcej w dwa miesiące później, pewnego wrześniowego wieczora ktoś zapukał do mego pokoju w Hotelu Imperial w Tokio. Otworzyłem drzwi — i zobaczyłem na progu kłaniającego, uśmiechniętego Kikuchi. Wizyta ta była zupełnie nieoczekiwana i niezapowiedziana, ale sierżant żandarmerii widząc moje zdumienie radośnie oznajmił:

— Przywiozłem Wiktora.

Ze zmroku korytarza wyłoniła się wtenczas wysoka postać Wiktora, który śmiał się wyjaśniając niespodziankę swego przyjazdu. Ambasada polska interweniowała naturalnie w jego sprawie, a poza tym ja sam odwiedziłem szereg wpływowych japońskich dygnitarzy w Tokio tłumacząc im niewłaściwość zatrzymywania młodego Polaka na Karafuto. Wszyscy zapewniali mnie, że to jest niemożliwe, że z pewnością zaszła jakaś karygodna pomyłka i że uczynią wszystko, co jest w ich mocy, aby ją naprawić, ale potem jakoś nic nie następowało. W Europie tymczasem wybuchła wojna — Polska została zalana masą wojsk niemieckich, a następnie sowieckich, zgodnie ze sobą wtedy współpracujących. Trudno mi było myśleć w takich warunkach o Wiktorze, zwłaszcza że spadły na mnie nowe obowiązki, wynikające ze zmienionej sytuacji politycznej. Tym bardziej więc ucieszyłem się, gdy zobaczyłem go w swoim pokoju.

Kikuchi następnie — pijąc herbatę — w rzeczowy sposób wytłumaczył mi warunki „zwolnienia” Wiktora. W Toyochara młody Polak podpisał zobowiązanie, że bez pozwolenia cesarskiej żandarmerii nie opuści Japonii i że w Tokio będzie pracował jako piekarz w polskiej ambasadzie. Pod tym bowiem pretekstem ambasada interweniowała w jego sprawie — i obecnie władze japońskie były zdecydowane trzymać ją za słowo. Kikuchi poza tym wyjaśnił, że Japonia ostatnio zadeklarowała swoją neutralność w wojnie, która toczy się w Europie — i wobec tego nie życzy sobie, aby Wiktor zgłaszał się na ochotnika do jakiegokolwiek walczącej armii. Sierżant żandarmerii wypowiedział to wszystko z powagą premiera, rozmawiającego z ambasadorem obcego państwa — i dopiero potem, wśród zwykłych uśmiechów i grzecznych ukłonów, opuścił nareszcie mój pokój.

— Co robi Mary? — zapytałem Wiktora.

Myślałem o tej dziewczynie — od czasu jej poznania — z dużą sympatią, ale miałem nadzieję, że uczucia Wiktora tymczasem uległy zmianie i że przestała ona komplikować jego życie. Okazało się, że się myliłem. Wiktor rozglądął się dookoła chcąc upewnić się, że nikt nas nie podслуhuje — i zaczął mówić szeptem:

— Uczyni, co pan wtedy poradził w tym barze w Shinabara. Rozmawialiśmy wiele na ten temat po pańskim wyjeździe i doszliśmy do wniosku, że pański plan jest najlepszy...

Mój plan? Byłem tym zupełnie zaskoczony, gdyż w nawale ostatnich wydarzeń prawie zapomniałem, że doradzałem Mary ucieczkę z Shinabara. Plan był pomyślany raczej jako scenariusz, do którego realizacji nigdy nie dojdzie — i gdy w hałaśliwym barze tłumaczyłem Wiktorowi, co dziewczyna powinna robić, jeśli on zdoła wyjechać z miasteczka w legalny sposób, czyniłem to raczej w celu uspokojenia go i zachęcenia do wyjazdu bez niej. Dla niego jednak była to sprawa pierwszorzędnej wartości, — i obecnie musiałem się pogodzić z tym, że stałem się udziałowcem w spisku, mającym na celu nie tylko wprowadzenie w błąd cesarskiej japońskiej policji, ale także prowadzącym do pomniejszenia stanu posiadania nieznanej mi „madame”, właścicielki — BAR-SAROON — MOURIN ROUGE o najładniejszą kelnerkę.

Sprawa mogła przybrać poważny obrót i dlatego musiałem ustalić plan dalszego działania prosząc o pomoc moich przyjaciół. Przyjaciele, przeważnie dziennikarze różnych narodowości, z którymi przy tej okazji wypiliśmy niezliczoną ilość cocktailów w tokijskim „American Club”, bardzo

mi współczuli, ale nie umieli początkowo nic doradzić. Wszyscy zgadzali się w jednym — z Japonii nie można uciec. Jak zresztą uciec z wyspy, pilnowanej przez tysiące jawnych i tajnych agentów policji, żandarmerii i kilku innych miejscowych wywiadów? Przez pewien czas zapowiadało się na to, że jeśli nawet Mary dotrze do Tokio, to może zobaczy się z Wiktorem, ale w parę dni później pod konwojem powędruje z powrotem do Shinabara, o ile nie będzie zamknięta w więzieniu. Wiktora szanse na wyjazd do Europy były również właściwie żadne. Nadomiar złego Kjkuchi ciągle przebywał w Tokio — na urlopie wypoczynkowym, jak mi oświadczył — i stale zaszczycił Wiktora i mnie swoimi odwiedzinami. Widoczne było, że coś węszył.

Robiłem naturalnie, co mogłem. Przede wszystkim musiałem wreszcie powiedzieć Alice, że będąc w Shinabara wręczyłem Mary jej adres. Do Alice zresztą żywiłem pełne zaufanie — i miałem podstawy do sądzenia, że nigdy mnie w tym nie zawiedzie.

— Naturalnie — odpowiedziała na moje wyjaśnienie, — chętnie przechowam tę dziewczynę w moim domu. Matka powie sąsiadom, że jest to kuzynka, która przyjechała z prowincji. Zresztą będziemy się starali w ogóle jej nikomu nie pokazywać. W hotelu z pewnością zainteresowałaby się nią policja.

Ta mała Japonka, urodzona i wychowana w Stanach Zjednoczonych, była od dłuższego czasu moją sekretarką i nigdy nie skrywała przede mną faktu, że serdecznie pogardza swoimi rodakami. Szczególnie nienawidziła policji. Marzyła zawsze o tym, aby zebrać nieco pieniędzy i wrócić do Los Angeles, które było jej rodzinnym miastem. W Tokio jednak trzymała ją matka — stara, owdowiała Japonka. Z pewnością była to dobra kobieta, ale nie lubiła obcych krajów i pragnęła resztę życia spędzić na swojej ziemi. W innych sprawach jednak ulegała zawsze swej zamerykanizowanej córce.

Uległa również tym razem. Mary zjawiła się w Tokio w niecałe dwa tygodnie po przyjeździe Wiktora i zgłosiła się od razu pod wskazanym adresem. Alice była pełna podziwu dla jej opanowania i odwagi — i wcześniej niż zwykle przysłała podekscytowana do mego biura, aby opowiedzieć o tym, jak ułożyły się sprawy w jej domu.

— Dziewczyna wygląda zupełnie tak, jak typowa Japonka z dobrej rodziny. Przyjechała do nas taksówką ze stacji Ueno — spokojnie, tak, jak gdyby to była zwykła wizyta. Zdaje się, że nikt na naszej ulicy nie zwrócił na nią uwagi.

— Jak się udało ucieczka? — zapytałem.

— Tak, jak pan jej doradził — odpowiedziała. — Mary udawała w ciągu paru dni chorą. „Madame” pozwoliła jej pozostać w pokoju i nie iść do baru. Wieczorem, gdy była sama, ubrała się w kimono — miała już poprzednio zrobione tradycyjne japońskie uczesanie i włosy polakierowane na czarno. Upudrowała się białym, ryżowym pudrem — po tych wszystkich zabiegach zatraciła jakiegokolwiek cechy swego cudzoziemskiego pochodzenia. Wyszła z domu tylnymi drzwiami, tak, że nikt jej nie zobaczył. Nad brzegiem rzeki ułożyła specjalnie zabrane ubranie i przypięta do niego kartkę z napisem, że popelnia samobójstwo rzucając się do wody. Później poszła ścieżką do tego mostu, przed którym zatrzymują się wszystkie pociągi. I tam właśnie było najtrudniej. Wiele napracowała się zanim zdołała się wdrapać do wagonu nocnego pociągu. Było za wysoko. Do Toyohara dojechała nad ranem, kupiła tam bilet do Tokio — i tak przybyła tutaj. Parę razy policja pytała ją o cel podróży, ale wyklamała się umierającą ciotką. Mówi zresztą po japońsku lepiej ode mnie.

W parę dni później w hallu Hotelu Imperial podszedł do mnie młody Kanadyjczyk, który pracował w pewnym okrętowym przedsiębiorstwie w Yokohamie. Znalіśmy się raczej przelotnie, toteż byłem zdziwiony jego zaproszeniem na „drinka”.

— Bob mi mówił o pańskich kłopotach — powiedział, gdy zeszlśmy do pustego baru. Bob był amerykańskim dziennikarzem i moim serdecznym przyjacielem. Wiedziałem, że przyjaźni się również z Kanadyjczykiem.

— Czy może pan zrobić cokolwiek dla młodej pary? — zapytałem go prosto z mostu.

— Oczywiście — potwierdził. — Dlatego przyszedłem do pana. Za tydzień przybędzie do Yokohamy z Vancouveru jeden z naszych wielkich statków pasażerskich typu „Empress”, który popłynie następnie bezpośrednio do Szanghaju. Pasażerów wolno odprowadzać na przystań, a nawet na statek. Jeśli w odpowiednim przebraniu dostarczy pan swoją parę na okręt, to może ona na nim „przypadkowo” pozostać i popłynąć do Szanghaju. Z kapitanem załatwię tę sprawę. Jest to morowy chłop i nic sobie nie robi z Japończyków. Zresztą nic mu nie mogą zrobić, gdy znajdzie się poza obrębem ich terytorialnych wód. A poza tym nie dowiedzą się oni nigdy o całej sprawie.

Dalszą rozmowę przerwał nam Kikuchi, który nagle, niemal bezszelestnie zjawił się u naszego stołu.

— Szalenie przepraszam, że przeszkadzam — powiedział. — Ale przyszedłem, aby powiadomić pana o przykrej nowinie. Z Shinabara nadeszła wiadomość, że Mary z rozpaczą po wyjeździe Wiktora — popełniła samobójstwo. Wskoczyła do wody. Wielka szkoda, bardzo wielka szkoda...

Mówiąc to — zgodnie z japońskim zwyczajem — uśmiechał się tak płomiennie, jak gdyby opowiadał najweselszy dowcip.

#### IV.

W tydzień później wszystkie moje kłopoty zakończyły się szczęśliwie. W domu Boba ubrano Wiktora jako młodego pastora, uczesano inaczej jego włosy i włożono mu okulary. Naturalnie do tego domu dotarł on po długim krążeniu po mieście, nagłym przesiadaniu się z tramwaju do taksówki, z taksówki do autobusu, z autobusu do podziemnej kolejki. W ten sposób pozostawił gdzieś za sobą swego stałego „anioła stróża”. Do domu Boba wszedł tylnymi drzwiami i wyszedł — w nowej postaci — frontowymi. Spokojnie później pojechał autobusem na dworzec, skąd elektryczny pociąg zawiózł go do Yokohamy. Na przystani wraz z tłumem odprowadzających dostał się na stojącą „Empress” — i potem z pewnością nie widział go już żaden z japońskich agentów.

Więcej zachodów było z Mary. Na dwa dni przed odjazdem statku należało ją przenieść do innego domu, gdyż Alice doszła do przekonania, że zaczęto ją śledzić. Na szczęście uciekinierką zaopiekowały się chętnie kuzynki Kanadyjczyka, które mieszkały w willi na przedmieściu Tokio. Zmyły one lakier z jej włosów, a następnie je utleniły. Po tym ubrały ją w świetnie skrojony kostium, mówiąc swej japońskiej służbie — nieświadomej zaszłych przemian — o przyjeździe znajomej z Kobe. Tłumaczenie nie wzbudziło podejrzeń i również bez podejrzeń zawiozły one dziewczynę na okręt. Do willi powróciły same — i powiadomiły służbę, że znajoma odjechała do Kobe. Policja której japońska służba dokładnie raportuje zachowanie się białych chlebobawców, na szczęście w tym wypadku nie zainteresowała się ostatnim towarzyskim kontaktem dwóch Kanadyjek.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1939 roku gdy znowu doznałem „zaszczytu” wizyty Kikuchi. W moim hotelowym pokoju paliło się światło, gdyż zapadł wczesny, zimowy wieczór — i prosząc sierżanta żandarmerii aby usiadł na wygodnym fotelu zaproponowałem mu cocktail lub herbatę. Wyraziłem również etykietalną radość z powodu jego nowej wizyty w Tokio. Czyżby jeszcze trwał wypoczynkowy urlop? Byłem zupełnie spokojny — nic nie groziło mi już z jego strony, a moi przyjaciele byli daleko. Otrzymałem właśnie wiadomość, że Wiktor w Szanghaju, poślubił Mary i przy



pomocy władz polskich lada dzień miał wyjechać wraz z nią do Francji. Zamierzał wstąpić tam — jak pisał mi w liście, przesłanym dyplomatyczną pocztą — do polskiego wojska. Co więcej — zdołał sprowadzić do Szanghaju swoją matkę z Charbina i zapewnić jej łatwą, popłatną pracę. Paru zamożnych Polaków, stale mieszkających w wielkim chińskim porcie, dowiadując się o romantycznej i awanturniczej ucieczce młodej pary z Japonii — przysłało jej z największą pomocą.

Kikuchi — zupełnie nieoczekiwanie — szorstko odpowiedział, że nie chce ani herbaty, ani cocktailu. Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na to, że był pochmurny i zły — takim nigdy go jeszcze nie widziałem. Po raz pierwszy od początku naszej znajomości wcale się nie uśmiechał. Zapytałem go uprzejmie, jak się czuje — i wtedy podniesionym głosem zaczął bardzo szybko mówić. Widocznie był zdenerwowany — i z tego powodu tak mieszał wszelkie cudzoziemskie wyrazy, że z największym trudem mogłem go zrozumieć.

— Mary nie utonęła, ale uciekła. Wiktor także uciekł. To nieprawda, co zakumunikowała wasza ambasada stołecznej policji, że chłopak wyszedł na miasto i nie wrócił. Ambasada wiedziała i pan również, że wraz ze swoją dziewczyną w niewyjaśniony sposób dostał się on — bez pozwolenia lub wiedzy władz japońskich — do Szanghaju. Dzisiaj rano wyjechał on z nią do Saigonu na francuskim statku *Mont-Valerien*. Jeszcze rano miałem nadzieję, że zdołamy ich dostać w nasze ręce, ale niestety trzymali się oni z dala od szanghajskiej japońskiej koncesji. Obecnie ich już nie dostaniemy...

Mówił coraz głośniejsze, aż zaczął krzyczeć. Miał twarz czerwoną z furii — tak czerwoną, jak może mieć tylko Japończyk — i podnosząc się z fotela zaczął gestykulować przed moją twarzą.

— Nienawidzę pana! Nienawidzę! To wszystko pańska robota. Licho przyniosło pana na Karafuto. Od tej pory zaczęły się moje nieszczęścia. Przez pana straciłem twarz — moi przełożeni pogardzają mną, moi podwładni śmieją się obecnie ze mnie. Czuję, że coś będzie. Pilnowałem Wiktora, tygodniami siedziałem w Tokio. A tymczasem jest on na szerokim świecie, ze skradzioną dziewczyną i z wiadomościami o lotniskach i fortyfikacjach na Karafuto. Co więcej — jedzie do armii, która walczy z naszymi przyjaciółmi, Niemcami. O jak żałuję, że nic nie mogę panu zrobić! Niestety — pan był ostrożny, zbyt ostrożny. Zawsze nienawidziłem białych ludzi, a teraz nienawidzę ich jeszcze bardziej. Te wasze przekłete narzeczta utrudniają mi porozumiewanie się z ludźmi. Jakże marzę o chwili, gdy będziecie zniszczeni zupełnie, upokorzeni, wyrzuceni z Azji. Jesteście zło — i to zło Japonia pewnego dnia skruszy.

Ten niepohamowany wybuch najpierw mnie zdziwił, a później zdenerwował. Chciałem nawet dosądnie mu odpowiedzieć — że jest draniem, że wiem, jak gnębi i szantażuje na Karafuto nielicznych cudzoziemców, i jak perfidnie eksploatował Wiktora. Ale na szczęście na czas się opanowałem. Należało zachować twarz do końca. Wstałem jedynie z krzesła i spokojnie nacisnąłem dzwonek. Kikuchi miotał się i wygrażał w dalszym ciągu, gdy rozległo się pukanie.

— Proszę — powiedziałem głośno.

Drzwi się otworzyły i wszedł japoński służący.

— Szanowny gentleman źle się czuje — powiedziałem wskazując na Kikuchi. — Proszę odprowadzić szanownego gentlemana do wyjścia i wsadzić go do hotelowej taksówki. Taksówkę proszę zaliczyć na mój rachunek.

## V.

Było już dość ciemno i padał deszcz, gdy wyszedłem z biura i skręciłem na Piccadilly. Zaczynał się właśnie *black-out*, który w listopadzie 1944 roku nosił w Londynie oficjalną nazwę *dim-out*, chociaż ulica była nadal

ponura i niegościnna. Gdy przy *Green Park Tube Station* kupowałem wieczorną gazetę, usłyszałem nagle wypowiedziane moje nazwisko. Obróciłem się i zobaczyłem wysokiego sierżanta lotnictwa, który wyciągnął do mnie rękę. Staliśmy tak blisko, że mogłem wyraźnie widzieć jego twarz, ale nie mogłem zdecydować, do kogo ona należy.

— Pan się pewnie myli — powiedziałem po polsku widząc naszywkę „Poland” na ramieniu sierżanta.

— Nie myślę się wcale. Czy pan mnie nie poznaje? Pięć lat temu ostatnio widzieliśmy się w Tokio. Jestem Wiktor.

Wiktor? Byłem zupełnie zaskoczony tym nieoczekiwanym spotkaniem. Podczas minionych lat myślałem czasem o nim i o Mary, ale nie mogłem się dokładnie dowiedzieć, co z nimi się stało. Dopiero dziwny traf — tak ważny i potężny czynnik w ludzkim życiu — nagle „zetknął” nas w zmroku listopadowego, beznadziejnego londyńskiego dnia przed stacją podziemnej kolejki. W samym spotkaniu nie było nic nadzwyczajnego, ale w tym, że ono się zdarzyło, tkwił jeden z tak częstych cudów, których nikt nigdy nie wytłumaczy.

Miałem nieco wolnego czasu i zaprosiłem Wiktora na „drinka” do jednego z pobliskich barów. Przyglądałem mu się uważnie w pełnym świetle lokalu. Zmienił się bardzo przez te lata, postarzał się, miał więcej siwych włosów na skroniach, a przez twarz przebiegała blizna, która nawet nie szpeciła, ale nadawała mu wojowniczy wygląd. Na mundurze nosił wstążeczki kilku odznaczeń. O wszystkim opowiadał dokładnie i po kolei.

W Saigonie spędził z żoną parę miesięcy czekając na okręt do Marsylii. Wysiedli jednak w Suezie, gdyż tam doszła ich wiadomość o kapitulacji Francji. Stamtąd dostał się do Palestyny, gdzie zaciągnął się do „Karpackiej Brygady”. Właśnie to „Virtuti Militari” dostał za Tobruk. Co zrobił? Właściwie nic nadzwyczajnego — ze swego działka przeciwpancernego rozstrzelał parę niemieckich czołgów, gdy reszta jego towarzyszy została wybita. Nie — chleba już nigdy nie piekł od czasu wyjazdu z Japonii. Wrócił do starego zawodu — i najeździł się czołgami po Libii. Później to go znudziło — no i zdołał dostać się do lotnictwa. Przeszkolenie przeszedł w Kanadzie — wspaniały kraj i nadzwyczajni ludzie! Od przeszło roku lata w polskiej eskadrze, stacjonowanej w Anglii. Ten podwójny „Krzyż Walecznych” i „D.F.M.” — to za zestrzelenie niemieckich samolotów. A blizna? Trudno musiał przecież raz się wywalić z samolotem, ale było to we Francji i Niemcy nie zdołali wziąć go do niewoli. Obrażenia na szczęście były lekkie — przez Hiszpanię i Gibraltar dostał się z powrotem do Anglii.

— Gdzie jest Mary? — przerwałem ciekawe opowiadanie o sprawach wojennych.

— Przed dwoma laty wstąpiła do „Pestek” na Środkowym Wschodzie. Pozbyła się wszelkich japońskich naleciałości. Niezłe nawet mówi po polsku. Od dłuższego czasu staram się, aby ją tutaj przeniesiono, ale dopiero onegdaj powiedziano mi, że to dojdzie do skutku. Przyjedzie najbliższym transportem. Przyjdziemy naturalnie razem do pana z wizytą. Nie pozna jej pan z pewnością. Ale zdaje się, że niedługo będziemy w tej Anglii razem.

Zaproponowałem mu jeszcze jedną *sherry*, ale uparł się, że tym razem kolej jest na niego.

— Dlaczego nie możecie być razem w Anglii? — zapytałem go, gdy podano nam nowe „drinki”.

— Taki już jest los — westchnął. — W Kanadzie powiedziałem, że znam japoński Sachalin i rozmieszczenie na nim niektórych japońskich lotnisk. To wszystko notowali panowie z kanadyjskiego i amerykańskiego wywiadu. Teraz przyszedł list od Amerykanów do naszego dowództwa, w którym proszą, aby mnie wypożyczono do lotnictwa amerykańskiego, operującego na północnym Pacyfiku. Za dwa-trzy miesiące pojedę do Ameryki.

— Mógł się pan nie zgodzić — wtrąciłem.

— Naturalnie — odpowiedział z ożywieniem — ale wolałem przyjąć propozycję. Dowództwo powiedziało, że mogę wybierać, a więc odpowiednio wybrałem. Polska wypowiedziała przecież wojnę Japonii. Poza tym sądzę, że przydam się Amerykanom i że pozwolą mi polecieć nad Karafuto i zbombardować wielkie japońskie lotnisko koło Shinabara. W ten sposób skwituję również moje porachunki z Kikuchi.

— Nie skwituje pan z nim żadnych porachunków — powiedziałem. Przyszła bowiem obecnie na mnie kolej podzielenia się z nim wiadomościami. — Gdy przed dwoma laty płynąłem z Dalekiego Wschodu do Anglii na okręcie ewakuacyjnym, poznałem kilka osób, które siedziały w Szanghaju w osławionym japońskim więzieniu *Bridge House*. Wśród personelu strażniczego znajdował się tam mały sierżant żandarmerii, który wstawił się dręczeniem więźniów — nienawidził szczególnie białych — bił ich i poniżał przy każdej okazji. Stale chwalił się swoim wykształceniem, a szczególnie tym, że włada kilkoma europejskimi językami. Z tego powodu asystował przy badaniach śledczych jako tłumacz. Tłumaczył zresztą kiepsko, a gdy mówił po angielsku trudno było go zrozumieć. Dwum uwiezionym Anglikom powiedział nawet, że poprzednio przebywał na Karafuto. Anglicy ci pamiętają, że nazywał się on Kikuchi.

— A więc ten drań jest obecnie w Szanghaju — przerwał Wiktor.

— Raczej był — poprawiłem. — Pewnego dnia wyszedł na miasto i więcej nie wrócił do *Bridge House*. Nowi chińscy więźniowie, przybywający do ogólnych cel — powiedzieli białym, że sierżant żandarmerii został „zlikwidowany”. Tak zlikwidowany, jak to Chińczycy robią z niektórymi Japończykami w Szanghaju. Gdy Kikuchi przechodził przez *Garden Bridge* nad *Soochow Creeck* jeden Chińczyk wbił mu nóż w plecy, a dwóch innych podniosło go i przerzuciło przez poręcz do rzeki. Działo się to w biały dzień, w chińskim tłumie, o niecałe pięćdziesiąt kroków od japońskiego posterunku. Ale prawie nikt nie zwrócił na to uwagi i sprawy nie zostali ujęci. Dopiero znacznie później japońscy żołnierze spozrzegli ciało, leżące pod mostem na mieliznie. Wszczęli alarm i pobiegli z pomocą. Ale Kikuchi już nie żył...

STEFAN THEMERSON

## Z ENCYKLOPEDII WIECZORÓW RODZINNYCH...\*

BOYA-ŻELEŃSKIEGO nie „Słówka” a SŁOWA były tym co doprowadzało pewne środowiska w Polsce do białej gorączki. Gdyby Boy Essay'e swoje pisał słowem górnym, napompowanym metafizyką, gdyby je był pisał słowem tak zakorzenionym w polskiej publicystyce, a wywodzącym się z niemieckich szkół filozoficznych i z niemieckiego romantyzmu, miałby, sądzę, 10 razy mniej nieprzyjaciół. Być może jednak, że i przyjaciół 9/10-tych by stracił.

Nie mogę się tu oprzeć pokusie zacytowania paru zdań ze strony 246-tej „SI LE GRAIN NÈ MEURT” André Gide'a:

„Gdy otwieram dziś moje *Cahiers d'André Walter*, ich ton doprowadza mnie do rozpacz. Przepadałem w owym czasie za słowami, które pozostawiały wyobraźni zupełną wolność, słowami takimi, jak *niepewny, nieskończony, niewypowiedziany* — wzywałem je na pomoc, tak jak Albert przywoływał mgły, aby w nich ukryć te części swego modelu, które mu narysować było trudno. Słowa tego rodzaju, których pełno w języku niemieckim, nadawały mu w mych oczach charakter

\* Porównaj: Kartki wyrywane z Encyklopedii Wieczorów Rodziny czyli ze złotego skarbca wiedzy wszelakiej w porządku alfabetycznym ułożonego w Zeszycie 7, Tomu III „NOWEJ POLSKI”.

szczególnie poetycki. Dopiero o wiele później zrozumiałem, że właściwy charakter języka francuskiego polega na dążeniu do precyzji”.

Gdy Boy otwierał codzienne gazety ich ton musiał doprowadzać go do rozpaczy. Wiedział, jakie „części modelu” zasłonić mają te „mgły”, zawarte w słowach ogłuszająco za dużych. I wiedział, że najważniejszą potrzebą języka polskiego jest dążenie do precyzji.

*„Nie ma zdania, nie ma opisu, nie ma rozumowania, w których słowa czas i przestrzeń nie mogłyby być z powodzeniem zastąpione przez inne terminy, za każdym razem bardziej ściśle.*

*„Czas, przestrzeń, nieskończoność są słowami niewygodnymi. Każde zdanie, które się precyzuje, porzuca je.* (Paul Valéry: ANALECTA.)

#### CHARAKTERYSTYKA POSTACI

„Budowę miał krzepką, był szczupły, twarz miał chudą. Jadał sieka-  
„ninę co wieczór, soczewicę zaś w piątki. ...Niezrównoważone warunki  
„ekonomiczne, powstałe wskutek napływu pieniądza... i niechęci pewnych  
„klas do pracy, spowodowały inflację.. ... klasa średnia — a zdarzyło się  
„że była nią szlachta w..., w owym czasie — znalazła się nagle zubożona...  
„(pochodził on właśnie) ze zubożałej szlachty, starała się jednak, powodo-  
„wany swą dumą rodową, utrzymać pozory. ...był dumny, drobiazgowy,  
„bez grosza, chciwy Pan, starannie dłubiący w zębach, aby wyglądać jak  
„człowiek, który sobie dobrze podjadł. ...rycerskie ... specjalnie fascyno-  
„wały go, ponieważ przodkowie jego podbili kiedyś ..., i napełnili  
„rozwłosem swego oręcza historię. (Na samą myśl o tym) krew jego  
„krąży szybciej, duma pęcznieje, i ograniczone warunki bytowania, w ja-  
„kich żyje, zaczynają go niecierpliwic. Podniecenie działa tak na jego  
„wyobraźnię, że czuje on w sobie ducha przodków, zmagającego do przed-  
„sięwzięcia czynów, które są bałamutne. Z własnej woli zaczyna, w praw-  
„dziwym, realnym życiu, przeżywać swoje życie, wylęgnięte w fantazji...  
„Nic, cokolwiek by to było, nie przekona go o tym, że silniejszy jest ten  
„jego wieczny i okrutny przeciwnik, któremu na imię — rzeczywistość.  
„Złudzenie powiada mu, że jego moc powinna przeważyć, i wyobraźnia  
„prowadzi go do osiągnięcia tych zwycięstw, które mają miejsce w snach  
„jego jedynie. Halucynacje posiadały go tak mocno, że nie ma faktu,  
„który by zmógł jego wizyjne wyobrażenia, o których przekonany jest,  
„że je widzi naprawdę... ...żyje w wymiarach izolowanych od świata  
„obiektywnego zasłona iluzji, której nie może odkryć. Ta kopia praw-  
„dziwego świata, w nim samym jedynie istniejąca, dla niego jest praw-  
„dziwa; ... raz po raz pęka ona w zetknięciu z rzeczywistością, a (on) wy-  
„trzymuje to uderzenie nie lepiej niż ciało spuszczone z wysoka w dół,  
„na twardą, obojętną ziemię. Za każdym razem jednak wiara jego zmart-  
„wychwstaje na nowo i pozwala mu znów wycofać się z ... poziomu  
„egzystencji, w nowy własny jego świat. Ponawianie tych zderzeń po-  
„woduje jednak to tylko, że owa zasłona iluzji zgruchotana zostaje na  
„nowo. Tak więc, idąc od zderzenia do zderzenia, cierpi on nie tylko  
„niepowodzenia, ale i to że jego świat się rozpada. ...A przecież rozum  
„jego był pełen mądrości, był uważny, ostrożny, poczciwy i doświad-  
„czony. Popęłił jedno szaleństwo jedynie — usiłował wskrzesić życie  
„wieku minionego — i to jedno zniszczyło doszczętnie równowagę jego  
„późniejszego bytu. Cały jego zdrowy rozsądek nie wystarczył, by urato-  
„wać go od następstw tego omamniającego szaleństwa... Realne warunki  
„bytu doprowadzają go w końcu do kompletnej ruiny. Świat nie ma miejsca  
„dla niego, ani dla jego ambicji, ani dla życia, które sobie był wyobraził.

W ciągu ostatnich 400 lat nie było chyba, w Europie przynajmniej, ani jednego pokolenia, pozbawionego takich postaci, do których powyższa charakterystyka nie pasowałaby znakomicie. I dziś chciałoby się zawołać: Przecież to chodzi o panów tego i tego i owego! A cytaty powyższe dotyczą przecież w XVI wieku żyjącego El ingenioso hidalgo Don Quijote

de la Mancha (a wzięte są z książki „*El Greco and Cervantes*”, Hansa Rosenkranza).

N.B.: W cytatach powyższych wykropkowane zostały pewne słowa, które wydały mi się nie ważne dla zrozumienia treści. Bo czyż istotnym jest, że chodziło np. o *pierwszą* inflację w nowoczesnej historii pieniądza, a nie o dziesiątą; o zubożenie szlachty w *Hiszpanii*, a nie np. w Portugalii; o to że się nazywał *Don Quijote* a nie *Quin Esq.*, albo *Koziebrzycki JW.*; czy istotne jest, że czytał *powieści* rycerskie a nie artykuły; że przodkowie jego pobili kiedyś *Maurów* a nie *Chińczyków*; że „za każdym razem na nowo zmartwychwstała wiara pozwala mu wycofać się z poziomu egzystencji *Sancho Panzy*” a nie *Kubusia Fatalisty*, czy *Johna Smitha*, czy *Jana Kowalszczaka*?

DON QUIJOTE:

pan, który w obronie głodnych wdów i sierot walczył z przyrządami do mielenia mąki.

Dlaczego czujemy do niego sympatię?

Dlatego, że „żył” w XVI wieku i nie może nam już dziś zaszkodzić.

Co robiłby Don Quijote w XVII wieku?

W obronie głodnych wdów i sierot walczyłby z przyrządami do mielenia mąki.

Co robiłby Don Quijote w XVIII wieku?

W obronie głodnych wdów i sierot walczyłby z przyrządami do mielenia mąki.

Co robiłby Don Quijote w XIX wieku?

W obronie głodnych wdów i sierot walczyłby z przyrządami do mielenia mąki.

Co robiłby Don Quijote w XX wieku?

W obronie głodnych wdów i sierot walczyłby z przyrządami do mielenia mąki.

Czy czulibyśmy do niego sympatię gdyby żył dzisiaj?

Nie.

Dlaczego?

Ponieważ szkoda, jaką wyrządziłby przyrządom do mielenia mąki bolałaby nas tak mocno, że zagłuszyłaby sentyment, jaki mamy do niego za jego dobre chęci stawania w obronie głodnych wdów i sierot.

Co masz na myśli, mówiąc: przyrządy do mielenia mąki — ?

Mam na myśli wiatraki, młyny wodne, młyny parowe, młyny elektryczne.

Czy tylko to?

Nie; mam na myśli jeszcze urządzenia do rozdzielania mąki.

Co masz na myśli, mówiąc: głodne wdowy i sieroty — ?

Mam na myśli: kobiety, które straciły mężów, oraz dzieci poniżej lat 17, które straciły ojca, matkę, albo oboje rodziców.

Czy tylko?

Nie; mam na myśli jeszcze tych wszystkich, których życie od otrzymania racji mąki zależy.

Co masz na myśli, mówiąc: Don Quijote — pan, który w obronie głodnych wdów i sierot walczył z przyrządami do mielenia mąki — ?

Mam na myśli to, co właśnie powiedziałem.

HONOR

Honor jest po Bogu i przed Ojczyzną.

To znaczy: ojczyznę poświęcić można wtedy, kiedy wymaga tego od nas honor; i honor poświęcić można wtedy, kiedy wymaga tego od nas Bóg.

Święci chrześcijańscy nieraz poświęcali swój honor chwale Boga.

Wojownicy i mężowie stanu nieraz poświęcali ojczyznę sprawie swego honoru.

Inżynierowie wiedzą, co to jest: GRANICA WYTRZYMAŁOŚCI MATERIAŁU. Kula żelazna, poddawana ciśnieniu tyłu i tyłu atmosfer, w pewnym momencie spłaszcza się i przestaje być kulą. Piękne I stalowe, poddane siłom rozciągającym, w pewnym momencie zwęża się gdzieś blisko środka, z wielkim hukem pęka i przestaje być pięknym I.

Cena, jakiej żądać od nas może Bóg ma także swoje granice, przez świętych osiągnane niekiedy (nie jest bynajmniej pożądane byśmy osiągnęli je w s z y s c y, jeśli cywilizacja nasza nie ma pójść w diabły), — ale nie przekraczane nigdy, bo Bóg przestałby być Bogiem.

Cena, jakiej żądać od nas może Honor, także ma swoje granice, których przekroczyć nie można, bo Honor przestałby być Honorem.

*CZŁOWIEK ZADOWOLONY Z SIEBIE*: Dla honoru poświęcić jest warto wszystko!

*CZŁOWIEK SMUTNY*: Co to jest, to — „wszystko”?

*CZŁOWIEK ZADOWOLONY Z SIEBIE*: Życie!

*CZŁOWIEK SMUTNY*: Życie... ale CZY J E życie? Życie własne, czy życie Iphigenii i Isaaka?

Nie lubiłbym i nie szanował Boga, który by mi córkę moją Iphigenię zabić —, albo syna mego Isaaka na ołtarzu poświęcić kazał.

Nie lubiłbym i nie szanował honoru, który by mi za siebie dziesiątkami tysięcy umierających Iphigenij i Isaaków kazał płacić.

Bóg, opłacony życiem córki Agamemnona i syna Abrahama, *przestałby być Bogiem*. Wie o tym Diana i w ostatniej chwili podstawiła na miejsce Iphigenii — Ianię. Wie o tym Jehowa i w ostatniej chwili posyła anioła swojego. Bogowie wiedzą, co to jest: GRANICA WYTRZYMAŁOŚCI MATERIAŁÓW. Honor — nie wie.

I Honor, w pysznym płaszczu z purpury i szkarłatów haftowanych złotem i srebrem, spacerujący sam jeden po bezludziu wymarłych za jego sprawą miast i wsi, — *ALBO* spłaszczyć się musi jak żelazna kula, czy pęknąć z hukem jak piękne stalowe I — i *przestać być Honorem*. *ALBO TEŻ KTOŚ Z NAS OSZALAŁ*.

#### OBIEKTYWIZM

Śmieszne są argumenty: obiektywizm jest nieosiągalny, obiektywizm jest zawsze s u b i e k t y w n i e zdobyty przez kogoś, obiektywizm jest niemożliwy.

Z równym powodzeniem moglibyśmy rzec:

Nie wolno nam zjeść kawałka chleba, który leży przed nami, ponieważ wymyślone przez panią Ćwierciakiewiczową menu z 17 dań jest dla nas nieosiągalne.

Nie wolno nam zdobyć się na normalny, ludzki obiektywizm, ponieważ wymyślony przez kogoś Obiektywizm Absolutny jest dla nas nieosiągalny.

W amerykańskim filmie z cyklu MARCH OF TIME, poświęconym zagadnieniom różnic rasowych i religijnych, jakiś cywilny pan przemawiał do 10.000 amerykańskich żołnierzy. Prosił ich, żeby zapamiętali sobie szereg z a s a d. Zapamiętałem dwie z nich:

\*1. NIE GENERALIZUJ.

\*2. NIE PORÓWNYWUJ NAJGORSZYCH CECH GRUPY PRZECIWNIEJ Z NAJLEPSZYMI CECHAMI GRUPY DO KTÓREJ NALEŻYSZ.

#### PRZYJACIÓŁ POLSKI PRZYJACIELE POLACY

„Przez śmierć James Joyca świat stracił niepowszedniego artystę, a Francja wiernego przyjaciela i gorącego wielbiciela”. (Stuart Gilbert, HORIZON, nr. 57, 1944.)

Francja zdanie powyższe może „zainkasować”. Nie tylko dlatego że James Joyce był jej przyjacielem. Za przyjaciela Francji uważał się także np. pan Abetz. Gdyby jednak kto spróbował powiedzieć: „...ze śmiercią Abetza Francja straciła wiernego przyjaciela i gorącego wielbiciela” — jedyne słowo, jakie usłyszałby z ust Francuza, byłoby słowem króla Ubu: „Merrrdre!”, co, w tłumaczeniu Boya-Żeleńskiego, znaczy: „Grrrówno!”.

Francuzi nie proszą, nie żebrzą o przyjaciół. „Inkasują” ich, i tych tylko, których cenią. Tak samo zresztą jak każdy normalny człowiek. Byłbym szczęśliwy, gdybym zyskał przyjaźń pana X., ale mógłbym być nieszczęśliwy gdyby pan Y. uważał się za mego przyjaciela, — świadczyłoby to bowiem, że coś jest ze mną nie w porządku. Byłbym szczęśliwy, gdyby np. pan Beveridge oświadczył się z przyjaźnią do Polski, ale byłbym nieszczęśliwy, gdyby to samo uczynił np. pan Charles Maurras. Świadczyłoby to bowiem, że coś jest z nami nie w porządku.

Podrywali się od stolików w klubie przy St. Honoré:

„Bonjour, Mon Cher Ministre!”

„Ach, tak, Mon Cher Ministre!”

„Ach, cóż za szczęście, Mon cher Ministre!” ...i, na stronie: „...z nim trzeba być dobrze...to prawdziwy Przyjaciel Polski...”

A mąszermministrem był wówczas pan, który by się nie ośmielił wrócić do domu piechotą, w obawie że go ulica paryska pozna i zawiesi na jednej z latarni.

„O, Madame la Marquise, pani piękne i subtelne opowiadanie o osobie wielkiej babki pani, zawsze jest tak pokrępiające dla serca Polaka, ponieważ przypomina mu, że te serdeczne więzy, które przetrwały tyle wieków entre la France et la Pologne i entre la Pologne et la France, są tak nierozzerwalne, jak dwie frazy preludium Szopena”.

A potem lokaj w białych pończochach obchodził kolejno gości, w wyciągniętych rękach trzymając platerową tacę.

A potem przyjaciele przyjaciół Polski siadali do swych samochodów i postanawiali nie dopuścić do francuskiego wydania sztuki Iwaszkiewicza: „Lato w Nohant”, ponieważ są tam pewne rzeczy, które mogłyby urazić Madame la Marquise i zamknąć przed nimi jej salony, co byłoby Wielką Szkodą Dla Ojczyzny.

A potem (o czym przyjaciele przyjaciół Polski nie wiedzieli) Mme la Marquise odbierała tacę od lokaja, liczyła złożone na niej przez gości franki i, zgarniając je do torby, mówiła do swych *prywatnych* przyjaciół: „Cóż chcecie, moi drodzy? To jest mój sposób zarabiania na życie. Jeśli im zależy na tym żeby słuchać o mojej babce — niech płacą”.

Angielscy „przyjaciele” Polski też mają swoich „przyjaciół”.

„I thank you very much indeed, sir, w imieniu moim i mego stowarzyszenia i mojej Ojczyzny, za wspaniały spicz, w którym pan nie zapomniał wspomnieć o moim Kraju, i jestem szczęśliwy, iż mogę dopisać imię tak czcigodnej postaci jak pańska, sir, do listy naszych przyjaciół”.

Wszystkich, za cenę choćby najtańszego słowa współczucia, gotowi są dopisać do „Listy Przyjaciół”. Nie bacząc na to, że przyjaźń 1-go schodzącego ze sceny Blimpa = nieufność stu tysięcy. I że temu samemu = niedźwiedzia przysługa 1-go MP, zarzniętego w opinii jego własnych wyborców. I że temu samemu = współczucie 1-go z tych jagniąt, o których, 300 lat PRZED przyjazdem Karola Marxa do tego kraju, Sir Thomas More powiedział:

„... your sheep that were wont to be so meek and tame, and so small caters,  
„now, as I hear say, be become so great devourers and so wild, that they eat up  
„and swallow the very men themselves”.

— a Philip Stubbes:

„... Is not he a greater theefe, that robbeth a man of his good name for ever,  
„that taketh a man's house over his head, before his years be expired, that wresteth

„from a man his goods, his lands and livings... than he that stealth a sheep, a cow, or an ox, for necessity's sake only, having not otherwise to relieve his need?”

— i à propos których, 1.200 lat PRZED Sir Thomasem Morem i PRZED Philipem Stubbesem, powiedziane było, że: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne...”

Dlaczego reakcyjniści brytyjscy ujmują się za Polską?

Czemu znajdują się Polacy, którzy stają w obronie reakcjonistów brytyjskich?

„Pense-t-on qu'après avoir vaincu les rois, détruis la féodalité, la démocratie reculera devant les bourgeois et les riches?” (Tocqueville).

Gdzie jest ta siła, która nas, z naszymi Ustawami o Reformach Rolnych, z naszymi projektami Odbudowy, z naszymi hasłami Sprawiedliwości Społecznej, pcha fatalnie w objęcia tych brytyjczyków, którzy są przeciwnikami Równości i Reform i Odbudowy u siebie?

#### PRZYSŁOWIA

od wszelkiego rodzaju SLOGANÓW, HASEŁ I AFORYZMÓW odróżniać należy jak najstaranniej.

Od *hasel, sloganów i aforyzmów* nie mądrzejemy. Możemy na nie pójść, możemy w nie uwierzyć, możemy według nich działać, możemy je wziąć sobie jako streszczenie naszych wiadomości, osiągniętych w inny sposób, i możemy je wziąć na wiarę, *na autorytet*.

*Hasła i Slogany*, — „W Jedności Siła”, „Swoj Do Swego Po Swoje”, „Pijcie Cacao Van Hootena”, „Cukier Krzepi”, — podane są jak *prawdy absolutne*, albo jak *przykazania boskie*, a nie są ani jednym ani drugim i tylko dlatego że operują uogólnieniami, zdarza się że są pozytywne lub że mówią prawdę, tak jak zegar, któremu sprężyna pękła o godzinie 12.15, mówi odtąd prawdę dwa razy na dobę, kwadrans po południu i kwadrans po północy. Niemniej zegar o pękniętej sprężynie jest przedmiotem niebezpiecznym.

*Aforyzmy* sformułowane są jak *prawa naukowe*, więcej jednak mówią nam o tym, kto je wypowiada, o jego mądrości, uczuciowości, sposobie widzenia świata, zainteresowaniach i t.d., niż o swoim własnym podmiocie.

„La femme, c'est le coeur de l'homme”,

„La femme est un diable très perfectionné”,

„La femme est une créature transitoire entre l'homme et l'ange”,

— mówią nie o kobiecie, a o nastrojach pp. Leroux, Victora Hugo i Balzaka.

Tak jak:

„La vie est une fleur...”

„La vie est une garde...”

„La vie est un sommeil...”

— nie o życiu nam mówią a o panach Hugo, Charlet, La Bruyère.

Moglibyśmy powiedzieć odwrotnie:

„Kobieta jest mężczyzną serca”,

„Kobieta jest aniołem bardzo udoskonalonym”,

„Kobieta jest tworem przejściowym pomiędzy człowiekiem i diabłem”,  
i też byłoby dobrze.

Moglibyśmy powiedzieć:

„Życie jest korzeniem...”

„Życie jest ucieczką...”

„Życie jest jawą...”

— moglibyśmy dodać jeszcze to wszystko, co napisali o życiu twórcy różnych t.zw. systemów filozoficznych, i będziemy o nim wiedzieli mniej niż pierwszy wykształcony biolog. Zegar, który chodzi, ale swoimi własnymi drogami, jest także przedmiotem niebezpiecznym.



*Przysłowia* nie udają prawd absolutnych ani definicji naukowych. Przysłowia stwierdzają fakty. Mówią ściśle, precyzyjnie i jednoznacznie o KOTLE i o GARNKU, a my sobie już dalej *metaforyzujemy* na naszą własną odpowiedzialność. Kto Zabłocki a co mydło, kto Filip a co kopnie, kto kocioł a kto garnek, co rzemyczek a co koniczek. Przysłowia gardzą słowami zawieszonymi we mgle.

STEFAN ŁĘCZYC

## LUTNIA PUSZKINA

Czytelnik zdany na lekturę wierszy w przekładzie traci, jak wiadomo, wiele z odrębności właściwych jakiemuś językowi, z elementów, które nie poddają się przekładowi, a które stanowią często niezastąpiony urok rymowanego słowa. Urok ten zawarty w niewyraźalnych wibracjach, skojarzeniach, w inkrustacjach poetyckiego zdobnictwa lub w subtelnych podszyciach motywu, bywa niejednokrotnie najbardziej charakterystyczną cechą poety. Z drugiej jednak strony, odarte z tych „piękności” wiersze ujawniają nieprzysłonięty maszyn poetyckiego tworzywa, jego pion czy motyw przewodni, zubożały niewątpliwie, tym niemniej autentyczny i bardziej niż w oryginale wyraźny.

Z tych doświadczeń wyniesiony obraz rosyjskiej poezji odkrywa pewien zasadniczy rys, wspólny wszystkim prawie poetom tego kraju, od anonimowych pieśńców stepów nadwołżańskich do Majakowskiego czy Pasternaka włącznie. Mam na myśli wyjątkowego rodzaju swobodę wewnętrzną, szeroki oddech pierwotności, jakby uwarunkowany pospolitością wzruszeń i obserwacji, których niepodrobiona świeżość wskazuje na żywą łączność tej poezji z ziemią i klimatem Rosji. Ze społecznego punktu widzenia jest to postawa bosiaka, ulicznika, z niewymuszoną pieśnią na ustach nazywającego rzeczy i sprawy po imieniu. Całe to „prostactwo” przenika silne napięcie wewnętrzne, rzewność przejmująca, które łącznie z nutą chłopskiego rezonerstwa i satanistyczną groteską dają w sumie jakąś odrębną mistyfikację o silnym zgęszczeniu barw i dźwięków. W naszych czasach klasycznym uosobieniem tego poetyckiego wyrazu, zarówno w życiu jak i w twórczości, był Jesienin. Ale tak samo niedwuznaczne są te akcenty u „salonowca” Siewierianina a u nieambitnego piosenkarza, jak Wertyński, są one świadomie banalizowane.

Tak samo wyraźnie słyszy się je i dostrzega u Puszkina. Mistrzowski przekład Tuwima i dokonany przez niego wybór utworów rosyjskiego poety, pozwalają nieznającemu języka rosyjskiego na dokładniejszą orientację w rozmiarach poetyckiego kunsztu i w twórczym zasięgu pieśniarza „z tej cudownej strony, gdzie mąż jest groźny i kosmaty”.

Czytając po raz nie wiadomo który „Lutnię Puszkina”, uderzyło mnie tym razem zastanawiające podobieństwo, jednaka niemal rola społeczna, ożywiająca poezję polską i rosyjską, mimo że tendencje ich są i były w obu krajach różne.

Z przyczyn, które wywodzą się od wielowiekowej problematyki polskiego życia politycznego, najpierwszym tematem naszego wierszopisa jest ojczyzna i sprawy publiczne. Nie ma w polskiej poezji ani jednego chyba ważniejszego nazwiska, którego twórczość nie ogarniałaby w mniejszym lub większym stopniu politycznej rzeczywistości kraju. Aż do uprzykrzenia niekiedy powtarzają się w poezji polskiej głosy naprawiaczy entuzjastycznych chwalców lub pokutników Rzeczypospolitej. Sarmata, uprawiający poetyckie rzemiosło, to przede wszystkim obywatel państwa,

który dla wyrażenia swych poglądów politycznych czy społecznych uderza męską, często żołnierską ręką, w struny na podniosły ton nastrojonej lutni.

Tak też i Rosja i jej państwowe interesy są najczęściej przedmiotem poetyckiej eksploatacji tamtejszych pieśniarzy. Struktura społeczna carskiej Rosji prowokowała co szlachetniejsze pióro do publicznego oskarżenia systemu, tak jak jej rozmach i rozrost budziły słowa zachwytu. I ten rozdźwięk, wynikający z ukochania snów o rosyjskiej potędze, w parze z hańbą knuta i nahajki, znajduje głęboki wyraz w poezji tego kraju i jest bodajże jej dominantą. Samozwancy głos poety przepojony jest troską i tęsknotą „wielkiego niemowy”.

Rymopis polski — najczęściej dworzanin, dostojnik kościelny, dygnitarz lub pan na włościach — mówiący o sprawach publicznych, to osoba kompetentna; ktoś, komu interesy państwa są niezmiernie bliskie, jako że pokrywają się one z „prywatą”. Wiersz zawiera niejednokrotnie rymowane dezyderaty klasy społecznej, „którą Polska stoi”. Nic więc co dotyczy spraw państwa nie jest i nie może być obce sarmackiemu wierszoklecie. Po upadku Rzeczypospolitej ten stan rzeczy ulega oczywiście stopniowej zmianie, po dzień dzisiejszy jednak klasa, która najsilniej zaciążyła na gatunku polskiego wiersza, piśmiennictwa polskiego w ogóle, to dawna szlachta.

Inaczej w Rosji. Niezależnie od warstwy społecznej z jakiej wywodzi się poeta, zawsze między nim a państwem jest dystans, przestrzeń, na której przełamuje się głos piewcy. Niewątpliwy rezultat carskiego despotyzmu, izolacji, w jakiej żyła rządząca ongi sfera, nie troszcząca się o losy ludu. Toteż wszystko co na temat swojego kraju mówi poeta rosyjski zdradza jakieś bolesne rozdarcie, krzywdzące odrzucenie, w szczególniejszych momentach zaś przypomina rzewne zachwyty dziecka ludu, które olśnione blaskiem mocarstwa, zanurza się w marzeniach o chwale i wspaniałości rosyjskiej potęgi. Jego skargi i żale, to albo głuchy brzęk targanych łańcuchów niewoli albo skomlenie o łaskę. Jego rady czy reformistyczne projekty, to pobożne życzenia, często dławione administracyjną praktyką państwa. Stąd ciemny, beznadziejny kamerton rosyjskiej lutni narodowej, stąd gniewny, rewolucyjny protest jej najdoskonalszych dźwięków.

Ponadto język polskiego poety jest uroczysty, wyszukany; wiersz przy całej swej swobodzie i naturalności, bardzo na efekt obliczony, szumny bardzo i pyszny. Rymopis nasz prawuje się publicznie mową hetmańską, mową skrząco czyszczoną od widel i gnoju. Lutnia polska przywodzi na myśl pielęgnowane ogrody, kolumny pałacowe oraz ciężkie od portretów i zbroi komnaty rycerskie.

Język rosyjskiego wiersza zaś jest językiem ludowym; słowo roboczego dnia — pospolite i sprośne; mowa chłopów i żołnierzy — niezwykle obrazowa i trafna. Bije od niej oddech niezmiernych obszarów Rosji, odzywa się przeciągłe zawrodoenie wichrów i widnieją dymne izby o wieczornej porze, z tłącym się kagankiem pod ciemnymi obliczami ikon.

Poezja rosyjska zatem jest z natury rewolucyjna, dynamiczna, idąca od dołów; polska natomiast — nawet w buntowniczych lamentach romantyków — konserwatywna, skłonna do pozy i medytacji.

Kto wie czy i w jakim stopniu wyłuszczone tu różnice natury literackiej, świadczące przecieź o srukuralnej odrębności sąsiedzkich narodów, tłumaczą „tę naszą starą waśń”, o której, w bardzo dziś aktualnym wierszu, mówi Puszkina:

„Już wieki oba te plemiona  
Wzajemnym gniewem czoła chmurzą,  
Nie raz to ich to nasza strona  
Musiała ugiąć się przed burzą”.

I oto poddając się rytmicznym dźwiękom Puszkiniowych strof myślę o tym, na czym polega ich niezniszczalny urok, w czym sekret ich zniewalającej mocy, która sprawia, że czyta się te wiersze tak, jakby je pisał poeta współcześnie z nami żyjący. Niezawodna technika Puszkina, jego porównująca sztuka poetycka, nie wyjaśniają tej władczej siły z jaką bierze on nas w jasyr; jest coś poza techniką, poza czarującą łatwością operowania wierszem, czemu ta umiejętność tylko znakomicie służy.

Ale co?

Sądzę, że aktywna postawa wobec życia, wobec konkretnych, aktualnych spraw czasów, w jakich wypadło poecie żyć, użycza jego strofom tchnienia powagi i wielkości, która nas porusza. To jest ta ranga, ten przez los poruczony wysoki urząd społeczny, jaki sprawuje poeta, w myśl słusznej tezy Tołstoja, że „pisać znaczy sądzić”. I choćbyśmy nie wiem jakie przytaczali argumenty o konieczności maksymalnego oczyszczenia poezji z elementów pozamysłowych, tylko jej rola budzenia porywów jest i pozostanie nieśmiertelną.

Twórczość Puszkina utrwala w przekonaniu, że dydaktyzm, który uchodzi za element wybitnie niepoetycki, jest materiałem niezwykle wdzięcznym, o rzadkich właściwościach emocjonalnych. Wymaga on szczególnego temperamentu pisarskiego oraz takich talentów, których chłonność przechyla się w stronę konkretnych wydarzeń życia — jego dynamizmu, spiętrzeń, katastrofalnej permanencji. Podejrzewam, że cała rewolucyjność czy rewelacyjność takich teorii jak „czysta forma”, tłumaczy się po prostu ucieczką przed najtrudniejszym ale i szczytnym zadaniem, do jakiego obowiązuje poetycka praca. Nikt od poezji nie wymaga dziś odpowiedzi na filozoficzne lub moralne zagadki ale nieomylny instykt zbiorowości oczekuje od niej przetworzenia, twórczej kondensacji, codziennych zdarzeń, którym jedna ona zdolna jest dać i bohaterskie imię i wydarty sercom tragiczny akcent wszystkiego co żyje przez nas i w nas. Nie są to wcale zadania prozy, literatury, która sztuką narracji, anegdota, fabularną intrygą rozkłada życie na anatomiczne człony, by je złożyć od nowa, zgodnie z twórczym zamysłem. Wiersz jest salwą egzekucyjną, błyskiem noża, zielonym krwotokiem wiosny lub gwiazdą zadumą — wywołany nieuniknionym konfliktem człowieka z gromadą, przyrodą, z życiem. Proza to artystyczne opracowanie idei, poezja — afektu.

Słonimski, zdaje się, wyraził kiedyś pogląd, że Mickiewicz jest człowiekiem intelektualnie najdojrzalszym, najpełniejszym w naszej poezji i że stąd m.i. płynie nie tylko jego wielkość jako artysty, ale uzasadnione prawo mówienia w imieniu całej ongi ujarzmionej Polski. I rodzaj poezji Puszkina — mądrej, energicznej, szlachetnej — jest zarówno źródłem jego artystycznego uroku jak i moralną legitymacją jego „społecznego” tenoru. „To rozkosz jedyna” czytać dziś wiersze genialnego poety, który w najdoskonalszych strofach opowiada się za wolnością, za prawdą, za braterstwem ludów:

„I naród w sercu mnie po wieczny czas utwierdzi  
Za to, zem lutnią w swój nielitościwy wiek  
Wysławiać wolność śmiał i wzywał miłosierdzia  
I szlachetności uczuć strzegł”.

Nikt nam sensu naszej potwornej rzeczywistości nie wytłumaczy a już najmniej poezja. Ale zniszczone relikwia naszej wiary, pohańbiona twarz dzisiejszego człowieka, niebo w ogniach karzących objawień — czekają tragicznego przysięwku poety; słów na miarę naszego losu.

W jednym z przerażających reportaży o hitlerowskiej Europie, opowiada Koestler, jak to natłoczeni w wagonach kolejowych Żydzi, wożeni do komór gazowych, na krótko przed śmiercią, śpiewali; stare, śmieszne

w swej naiwności, ludowe pieśni żydowskie. I nie przestawali śpiewać nawet ci, których mdlił już smród gazu i trupi zaduch. Tak nieodłączna od ludzkiego życia jest potrzeba pieśni.

Dla modlącego się nie jest rzeczą obojętną, że pacierz zawiera prośbę, aby Bóg nas ochronił przed złem lub aby nas nie pozbawił chleba powszedniego. Tak samo jak nie było rzeczą obojętną dla wywożonych na śmierć Żydów, że ich pieśni opiewały wszystkie cuda i rozkosze dnia powstania z martwych. Pokorna wiara człowieka w dobry koniec wszystkich prób, jakimi nas doświadczają piekło padole, znajduje w modlitwie i pieśni ludowej swoje artystyczne potwierdzenie. Świadczy to o ogromnej sile oraz wartości strony znaczeniowej słowa, którą nowocześni teoretycy poetyckiej sztuki mają za nic.

Warto zastanowić się nad kwestią czy naprawdę ośmiesza się rolę poezji, mówiąc, że służy ona „pokrzepieniu serc”? Co do mnie, nie znam zasztytniejszej. A to nie znaczy wcale, że rola ta odwołuje się do laboratoryjnej pracy, eksperymentów, których celem jest wzbogacenie instrumentacji oraz rodzajów artystycznej wypowiedzi. I nie znaczy to, by rezultaty takiej pracy mogły być zrozumiane tylko przez specjalistów. Z tragicznych przeżyć ostatnich lat wiemy jak szybko jak wdzięcznie przyjmuje masa słowa, zwroty, wersety i strofy, których cały powab leży poza granicami „totalnego sensu”, a w których wyczuwa ona zgodę z nurtującą ją podświadomością. I nie znaczy to również, że poeta musiałby zrezygnować z bliskiego sercu samouwielbienia. Jego egotyzm odślania ogólnoludzkie cechy epoki — jest lustrem zbiorowości. Poetyckim słowem służyć dzisiejszemu człowiekowi do godnego zniesienia największej klęski naszego rodzaju — co za sztuka!

Czas już sobie powiedzieć, że wszystkie nasze dotychczasowe próby „uwolnienia” poezji od jej społecznie kształtującego zadania, skończyły się sromotną klęską. Że nowe drogi, które zbiegliśmy, zaprowadziły nas w końcu tam, gdzie rozbrzmiewa pieśń, co podnosi i oczyszcza. Poszukiwania dzisiejszej poezji, bliskie religijności, musiały wyrzec się nieszcześniejszej sekty magów, która trudniła się produkcją nikomu niepotrzebnych rebusów.

„Pieśń a praktyczność — jedno, zaręczone,  
Jak mąż i dziewczka w obliczu wieczności”.

Tezę tę sformułował i tezę tę przeniknięta jest cała dociekliwa twórczość tak hermetycznego poety jak — Norwid. Do światłego przejrzenia przyczyniła się oczywiście i wojna, jej okropności, których żadna forma twórczego słowa nie może pominąć. I oto świadkami jesteśmy powolnego nawrotu do pierwszych, najczystszych źródeł poezji: modlitwy i pieśni ludowej; pieśni związanej z życiem, z człowiekiem i jego losem.

Doktrynerstwo estetyzujących szkół doprowadziło do obezwładnienia twórczej inicjatywy — do tremy przed słowem. Jak strach przed aktem seksualnym prowadzi do impotencji, tak i strach przed słowem, w wyniku twardej, bezdusznej reguły poetyckich i intelektualnego talmudyzmu, kończy się rychło zupełną niemocą twórczą. Kończy się ucieczką od rzeczywistości, klasztornym mozołem przyczynkarstwa. Poezja i miłość wymagają pewnego niezuzycia, niestępięnej wrażliwości — fantazji i swobody. Epoki ubogie w talenty gubiły się zawsze w przemysłnych teoriach, z których późniejsza praktyka twórcza drwiła na potęgę.

Względy, o których mowa, czynią dziś z lektury „Lutni Puszkina” wyjątkową radość. Poezja ufna w swe siły, świadoma swych zadań, nieobarczona kompleksami śmieszności i społecznego wykołajenia, oddana całym sercem życiu. Poezja „tendencyjna”, dydaktyczna, walcząca. Jak pieśń ludowa prosta i jak pieśń — nieśmiertelna.

## O RZĄDY ROZUMU

Obserwatora zastanawiającego się nad przebiegiem ostatnich dziesięcioleci i spoglądającego z niepokojem w przyszłość Europy i świata, uderza jedno zwłaszcza zjawisko, dominujące nad wszystkim: niebывale niski wpływ rozumu, a jeszcze niższy wiedzy i nauki na rządy ludźmi i losy człowieczeństwa. Poprzez cały wiek XIX, od Encyklopedystów po twórców Traktatu Wersalskiego, panował kult wiedzy. Była ona wyrocznią, od której orzeczeń nie uznawano odwołań: *sciencia locuta, causa finita*. Chylili przed nią czoła i Clemenceau i Lloyd George, Wilson i Lenin a nawet Ludendorff.

Ale lata dwudzieste przyniosły ze sobą wraz z kryzysami i rozterkami targającymi światem, Mussolinim, Hitlerem, Franco i tuzinem pomniejszych "wodzów" — kult nowy, straszliwy i groźny, a nabrzmiały ogromem złowrogich następstw: kult średniactwa — miernoty, podniesionej do n-tej potęgi. Nauka istniała wprawdzie i tworzyła, uczeni gnani z kraju do kraju przerosłą nadmiarem władzy wołą antropoidów, dokonywali wspaniałych odkryć. Lecz ludzkość o tym nie wiedziała i wiedzieć nie chciała, wpatrzona w barwne koszule, wsłuchana w mity krwi i odgłosy własnych — wstydliwych i już zdawało się zapomnianych — dziejów czelkoczwierza, wracającego nagle w chwale i tryumfie, by przewodzić światu.

Spokojny, lecz ostrzegawczy głos uczonych ginął w zgiełku wytwarzanym przez nową pseudo-wiedzę. Ludzie postępu, pełni zresztą dobrej woli i wiary, głosili hasła puste, bez treści i pokrycia, gdyż oderwali się nie tylko od trywialności i tajemnic życia codziennego, ale i wiedzy o nim. Mimo woli podzieli i los szarego człowieka — stracili kontakt z nauką. Lubowali się w pół-prawdach, unikając skrętnie jupiterów, pełnej prawdy. Fałszywa wiara w t.zw. zdrowy rozsądek, błędne przekonanie że człowiek myśli prawidłowo i racjonalnie, a w postępowaniu swym kieruje się wnioskami do jakich doprowadził go własny intelekt, wyhodowały, karygodne lekceważenie autorytetu uczonego i geniuszu odkrywcy. Coraz mniej spośród liberalnej, postępowej inteligencji poznawało naprawdę twórczość wielkich ekonomistów, fizyków, biologów minionego lub współczesnego nam okresu. Stopniowo, powoli lecz nieodparcie, kładł się beznadziejnie rozpaczliwy znak równania między wielkością a miernotą. Ginęły kryteria rozumu, Twain czy Dickens stawali na jednym poziomie z felietonistą brukowca.

Cudowną strukturę żyjącego organizmu przeciętny spożywca chleba widzi w nader uproszczonej postaci, krwiobieg jest dlań regulowany tylko przez uderzenia serca i t.d. Ale dzisiejszy laik nie pyta uczniów Harvey'a czy na obieg krwi nie wpływają inne jeszcze czynniki. Zadawała się uproszczeniem, wysnuwa sam kategorię wnioski, sam nieomal przeprowadza transfuzję. Genetyka, psychologia i szereg innych gałęzi wiedzy, badających niezgłębione zagadnienie dziedziczności, stawiają dziś zaledwo pierwsze kroki. A jednak już cały legion „prawodawców” bierze się do legislacji eugenicznej. Nie tylko w Niemczech, lecz nawet w Ameryce, sterylizuje się ludzi zależnie od widzimisię osobników, którzy coś niecoś tylko zasłyszeli z gazet o istnieniu chromosomów, zygot i t.d. Równocześnie zaś w jednym z przodujących wielkich mocarstw istnieje jeden tylko jedyny profesor genetyki. A przecież wystarczyłoby zamiast pobieżnego przeczytania popularystycznej lecz przede wszystkim propagandowej broszury — zapoznać się z prawdziwymi wynikami nauki, by dowiedzieć się, że teza Lamarcka o przekształcaniu się cech nabytych na dziedziczne jest fałszywa, że zresztą drogą stosowania witamin można całkowicie wyrównać różne deformacje filogenetyczne, że wbrew powszechnej opinii o dodatnim wpływie dobrobytu na rozwój inteligencji — badania Gray'a wykazały brak wszelkich

różnic intelektualnych między dziećmi zawodowych oficerów i szeregowych i t.d. słowem: ostrożnie z eugeniką.

Trudno się dziwić, wobec stanu rzeczy na Zachodzie, że na łamach „Archiv für Rassen- und Gesellschaftsbiologie” major Luftwaffe Erich Zuchsland rozpisywał się o dobroczynnym, w znaczeniu eugenicznym, działaniu bombardowań, które dotkną przede wszystkim dzielnice ubogie i gęsto zaludnione, a zatem usuną głównie jednostki społecznie niepożądane. Major Zuchsland pisał tak w r. 1936. Dziś, jeżeli żyje, jest może innego zdania o zabiegu eugenicznym który usunął bardzo wiele „niepożądanych społecznie jednostek” z gęsto zaludnionych dzielnic Berlina i innych przemysłowych miast niemieckich. W jednym z tych miast wzrósł się i kształcił klasyczny „uczony” nowego typu dr. Johann von Leers. Niektóre jego wnioski naprawdę warte są dosłownego przytoczenia: „Ze szczytów pierwotnej kultury nordyckiej epoki kamienia ciosanego zstąpiliśmy w głęboką rozpadlinę stuleci upadku, lecz tylko po to, by raz jeszcze wznieść się na nowe wyżyny. A nie będą one niższe nawet od niegdyś opuszczonych i to nie tylko w zakresie zewnętrznych dóbr życia.” Trudno o złośliwszą a bezwiedną autosatyrę i większy brak poczucia komizmu. Jeszcze jeden przykład: osławiony dr. Darré, niewątpliwie typowy przedstawiciel niemieckiego świata naukowego, dokonał takiego oto rewelacyjnego odkrycia na polu fizjologii: „Semici — pisał — odrzucają wszystko co związane jest ze świnią. Natomiast ludy nordyckie oddają świnii najwyższą cześć. Semici i świnie są przeciwieństwami pod względem fizjologicznym.” Jak widać, znakomity fizjolog jest także utalentowanym hagiografem jakkolwiek w ograniczonym, swoistym zakresie. Nieco światła na genetykę takich pojęć rzucają może słowa maurytańskiego Herodota, Saída z Toledo: „Daleko na północ od Pirenejów (mieszkańcy) temperament mają chłodny i nigdy nie osiągają dojrzałości. Są wysokiego wzrostu, a cerę mają jasną. Cechuje ich wyraźny brak lotności myślenia i przenikliwości umysłu”.

Czyż trzeba szukać lepszej charakterystyki „wodzów” dzisiejszej Europy, tych typowych miernot. A wiemy, że właśnie dlatego iż są miernotami, — olbrzymie odłamy „cywilizowanych” społeczeństw dobrowolnie przekreślają wielowiekowy dorobek kultury i zaprzęгают się do ich rydwanów. Bo przecież w zakresie przewagi rozumu nad instynktem, nad irracjonalnym impulsem, uszliśmy zaledwie parę kroków po wielomilowej drodze wiodącej nas do celu. Antropologia porównawcza mówi, że z jednej strony zróżniczkowanie ludów przedhistorycznych było równie wielkie, jak ludów dzisiejszych, z drugiej zaś, że dzieli nas od nich równie mało pod względem cech istotnych, jak od mieszkańców współczesnej Laponii, Borneo, czy Afryki Zachodniej. Dane statystyczne wskazują, że bardzo często z trudem wyprowadzone przeciętne nie mogą być podstawą dla żadnych konkretnych wniosków, ponieważ warunki korzystnie oddziałujące na rozwój pewnych kategorii osobników są wręcz szkodliwe dla innych.

Materializm mechanistyczny XIX wieku nie uznawał odrębności zjawiska życia, ignorował prawa biologii, a tym bardziej psychologii. Ale już w tym czasie współtwórca materializmu dialektycznego, Engels, twierdził, że nie tylko czynniki zewnętrzne kształtują człowieka, że zachodzi też zjawisko odwrotne i kwintesencją procesów dziejów jest przesuwanie się punktu ciężkości z czynników zewnętrznych na wewnętrzno-ludzkie. Co prawda Engels popadał w samoprzeczenie, przepowiadając ludzkości gładki i pomyślny rozwój, gdy tylko przyjmie ona zewnętrzne, gospodarczo-ustrojowe formy socjalizmu. Jednakże Lenin szybko ogarnął powstającą antynomie i przestrzegał przed potęgą, jaką są „nawyki milionów”, fakt niewątpliwie należący do kategorii zjawisk psychicznych. Freud śledząc entuzjazm z jakim tłum szedł za przewodem rewolucyjnych bolszewików, gdy nowy ład komunistyczny, daleki od spełnienia i zagrożony od zewnątrz, polegał na mglistej obietnicy lepszego bytu w nieokreślonej bliżej przy-

szłości — snuł analogie z dawany przez religię przyrzeczeniem szczęścia wiekiutego, nie bacząc na kłątwy miotane na religię przez Lenina:\*) I wyprowadzał stąd trafny wniosek o głęboko konserwatywnych, reakcyjnych tendencjach instynktów ludzkich. Nie tu miejsce na analizę tego zjawiska, lecz jakże szybko, choć w zmienionej postaci, wracają w Rosji do życia instytucje zupełnie już zdawałoby się tam wykorzenione.

Instynkty człowieka, utajone tuż pod powierzchnią świadomości i trzymane na wodzy tylko dzięki z trudem wypracowanemu mechanizmowi stłumień i hamulców, czekają tylko sposobności, by się wyzwolić i wysadzić w powietrze całą budowlę cywilizacji. Gdy zważymy jak drobna ich częśćka, przekształcona na energię intelektualną wystarczyła by wznieść ten niewątpliwie wspaniały, choć kruchy gmach, to mimo woli nasuwa się analogia z siłą niszczycielską rozbitego atomu materii. Tylko że szczyty nawet współczesnej wiedzy technicznej nie zdołały, jak dotąd, wydrzeć przyrodzie tajemnicy rozbijania atomu, natomiast najpiłtsze niziny dzisiejszej niewiedzy potrafią wyzwalać najbardziej nawet zdawałoby się stłumione instynkty.

Miotany przedwiekowym niepokojem, człowiek pragnął zawsze i pragnie, by nim kierować, rządzić, przewodzić. Jakby chcąc wrócić w opiekuńcze ramiona rodziców, szuka poczucia bezpieczeństwa i ochrony przed koniecznością decydowania o swym postępowaniu. Równocześnie zaś z tą bezradnością nurtują w nim nieznanne jemu samemu pragnienia niszczycielskie i bezwiedny strach, że jeżeli nie znajdą ujęcia na zewnątrz — rozsądzą własne swe siedlisko. A wszystkie te zjawiska, ograniczające osobowość ludzką i stanowiące o jej przemianach i odruchach, wykazują zarówno charakter przymusowości — czyli mają wielką intensywność psychiczną — jak i daleko idącą niezależność od tych procesów psychicznych, które dostosowane są do rzeczywistości i posłuszne prawom logicznego myślenia. Spójrzmy na ślepe ubóstwienie żołnierza dla często niżej odeń stojącego umysłowo osobnika, ponieważ tego ostatniego obwołano — rzekomo w imieniu żołnierza — jego „wodzem”. Przyjrzyjmy się „łagodnemu” pacyfście, gotowemu z zimną krwią mordować każdego, na kogo padnie najbliższe choćby podejrzenie, że jest „podżegaczem wojennym”. Mordować w ten sam sposób, w jaki niegdyś Wielki Inkwizytor posyłał na śmierć swe ofiary w imię Chrystusa i miłości bliźniego. Jakże często oglądaliśmy zbrojenia „czysto obronne”, kończące się napaścią na słabszego — przynajmniej w kalkulacji — sąsiada. Przecież najwięcej zawsze mówią o „Ojczyźnie” i monopolizują dla siebie prawo rozstrzygania o „przynależności do Narodu” ci, co w rzeczywistości — jasnej i oczywistej dla trzeźwych — własnej Ojczyźnie i Narodowi gotują jak najgorszy los. A tłumy zawsze pójda za nimi.

Żyjemy na zakręcie dziejów nie tylko w znaczeniu politycznym, społecznym i ustrojowym, ale i na polu wiedzy. Planckowska teoria kwantów dowiodła, że rozwój przyrody odbywa się nie na drodze zmian o charakterze ciągłym, lecz skokami. Potwierdzają to badania genetyczne. Runęły prawa logiki Arystotelesa, a Einstein zmienił ostatecznie nasze pojęcia o wszechświecie. Kto wie, czy takim przemianom nie ulegną wkrótce, i to w opinii powszechnej, nasze poglądy na zjawiska ludzkie: gospodarcze, społeczne, psychiczne. Wszystko przemawia za tym, że nadeszła najbardziej krytyczna chwila w całym historycznym rozwoju ludzkości. Najwyższy więc czas, by wyrwać losy człowieka i ster rządów państw z rąk polityków i politykierów, wodzów i generałów, reformatorów i pseudonaukowców, których decyzje nie zapadają w jasnym świetle rozumu, lecz są odbiciem irracjonalnych instynktów, prądów głębinowych nurtujących w podziemiach ich dusz. Niech dojdą wreszcie do głosu najgod-

\*) Lenin, Zur Kritik der Hegel'schen Rechtsphilosophie: „Religia to opium dla ludu“.

niejsi, ci, których nigdy dotąd bezmyślność powszechna nie powoływała do władzy: uczeni. Niech docierają współpracowników nie według kluczy partyjnych, czy układów sił, lecz tak, jak dobierają asystentów w laboratoriach. Nie zezwala się uczyć, sądzić, czy leczyć ludzi bez szeregu surowych badań i egzaminów. Ale ludźmi *rzadzić* wolno bez wszelkich po temu — sprawdzonych — kwalifikacyj. Jeżeli zdolamy położyć temu kres — ruszymy może z rozdroża na którym się znajdujemy w stronę, skąd przeziarać nam zacnie brzask legendarnego Wieku Złotego. Każda inna droga zawiedzie nas w pandemonium, o które bezustannie się ocieramy, a które rozpętało się już pięć lat temu na kontynencie Europy, jako groźne memento.

TOŁA KORIAN

### „LA GRANDE YVETTE”

Rok czy półtora roku temu przyszła z Francji wiadomość, że umarła Yvette Guilbert. Nie wiem, czy kiedyś, gdy wróca (a przecież wróca?) czasy normalne, będzie miała pomnik w Paryżu, jak Sarah Bernhard. Na pewno zasługuje na to, w takim samym, jeśli nie większym stopniu. Bo ta córka biednej szwaczki paryskiej, która po prostu z trywialnej nędzy zaczęła występować wpieryw na scenie, a potem w t.zw. *Café-Concert*, bo tam łatwiej i szybciej można było zarobić kilkaset franków, ta „*diseuse'a*”, która zyskała sobie popularność w Paryżu, śpiewając piosenki na owe czasy wstrząsająco „bezwstydnie” — ona właśnie w drugiej połowie swego życia zapoznała nie tylko Paryż i Francję ale cały cywilizowany świat z francuską pieśnią ludową, dworską i — *last but not least* — z tradycyjną pieśnią religijną. Z kaprysu i łaski Yvette Guilbert to, co znane było tylko filologom albo w najlepszym razie poetom czy literatom, specjalnie interesującym się twórczością ludu, to co murszało w książkach i manuskryptach, otwieranych rzadko i bez wzruszenia przez uczonych — nagle ożyło, nabrało koloru, oczarowało wdziękiem, urodą i nieoczekiwanym często akcentem współczesności słuchaczy Europy i Ameryki Północnej.

#### NOWY STYL: „DIRE UNE CHANSON”

Yvette Guilbert wywarła olbrzymi wpływ na pieśniarstwo i w ogóle sposób interpretacji pieśni we wszystkich krajach. Już prawie nie pamięta się dzisiaj, że to właśnie ona jest wynalazczynią tego stylu interpretacji, który polega na tym, że daną piosenkę więcej się mówi, niż śpiewa — stąd słowo „*diseuse*”. To przesunięcie pieśni od sztucznego, technicznie wyrafinowanego, właściwie mechanistycznego „*bel canto*” wraca jej całą świeżość, podatność, bogactwo treści; stąd „*dire une chanson*” w sensie stworzonym przez Yvette Guilbert znaczy: przeżyć ją i kazać przeżyć innym, znaczy: wyzwolić ukryte w niej pokłady uczuć, znaczy: pokazać jej odkrywczą siłę charakterystyki człowieka, znaczy: rozpętać tkwiącą w niej dramatyczność.

Tego „wynalazku” Yvette dokonała zresztą z konieczności, bo choć była kobietą dużą i dość silną, miała głos bardzo mały, zupełnie nie nadający się do śpiewu; było to dziedzictwo lat nędzy i niedożywienia. Do jej czasu wymagano od pieśniarki „głosu”, żądano, aby swoje utwory „śpiewała”; dopiero Yvette przełamała ten zwyczaj, narażając się w pierwszych latach na pośmiewisko i najostrzejszą krytykę nawet ze strony przyjaciół.

Wszędzie, we Francji, w krajach skandynawskich i w Szwajcarii, w Anglii i w Ameryce zjawiała się nagle fala kobiet, które, nie mając „głosu” w klasycznym tego słowa znaczeniu, dobierały sobie repertuar nie pod kątem



widzenia melodyjności, ale raczej pod kątem widzenia jego możliwości interpretacyjnych.

Największy jednak wpływ wywarła Yvette Guilbert w Niemczech. Wątpię czy jakikolwiek inny kraj miał aż tyle „*diseuses*” najróżniejszych odcieni, co właśnie Niemcy i Austria. Może najbardziej pokrewną jej samej przez repertuar, składający się głównie z francuskich pieśni ludowych była Maria Delvard. Występowała w kostiumach z epoki i akompaniował jej na gitarze Marc Henry, który opracowywał wszystkie jej pieśni. Sławę międzynarodową uzyskała pieśniarka żydowska (kto wie czy nie z Polski) Iza Kraemer. Rozszerzyła ona swoje możliwości w niesłychany sposób, dobierając pieśni ludowe aż dziewięciu różnych narodów. Najpiękniej jednak interpretowała pieśni żydowskie, które śpiewała w żargonie oraz pieśni rosyjskie. Jej *tournées* artystyczne obejmowały nie tylko całą Europę i obie Ameryki ale także Australię. Mogłabym wyliczyć co najmniej tuzin nazwisk lecz nie jest to miejsce po temu; chodziło tylko o zaznaczenie wpływu, jaki Yvette Guilbert wywarła.

U nas w Polsce nie było kobiety, która by bezpośrednio poszła w jej ślady, ale nie ulega wątpliwości, że bez Yvette Guilbert ani Ordonka, ani Zula Pogorzelska ani Mira Zimińska nie byłyby do pomyslenia, choć ich sposób interpretacji odbiegał już dość znacznie od tego, co było dążeniem Yvette i choć, o ile mi wiadomo, żadna z nich jej nie widziała.



Rysunki  
JANINY  
KONARSKIEJ

Nazwisko Yvette Guilbert usłyszałam po raz pierwszy w r. 1927 w Lipsku, dokąd przyjechała z dwoma koncertami do „*Schauspielhaus*”. Całe miasto huczało jeszcze przed jej przybyciem, bo w Lipsku zawsze bardzo szybko rozchodziły się wiadomości o sukcesach czy „klapach” w Berlinie, a Yvette właśnie skończyła tam cykl koncertów, które wywołały niesłychany entuzjazm.

Miałam wtedy lat szesnaście, byłam uczenicą szkoły dramatycznej teatru miejskiego („*Altes Theater*”). Był to mój pierwszy rok, a raczej najpierwsze miesiące w szkole. Byłam zbyt przejęta codziennymi wykładami, lekcjami i przedstawieniami, zwłaszcza, że wbrew obyczajom już po tak krótkim czasie powierzono mi małą rolę, aby na serio zainteresować się jakąś francuską pieśniarką. Wszystkie moje myśli i ambicje skupiały się na tym, aby włożyć maksimum ekspresji dramatycznej w to jedno krótkie zdanie: „*Des Landvoigts Reiter kommen angesprengt*”, które co wieczór wykrzykiwałam na scenie, i na które czekałam z nieopowiedzianym biciem serca od godziny pierwszej w południe, nie jedząc obiadu, ku największej rozpaczyci mojej matki. Nie ja więc poszłam na koncert Yvette Guilbert, ale matka. Powinłam sobie być zapamiętać dokładnie datę owego dnia, bo to, że sama dzisiaj śpiewam, to właśnie wtedy się zaczęło, ale wówczas nie mogłam przewidzieć, że ten nieważny dla mnie wieczór, ważny dla innych, dziecinnych powodów, będzie miał aż tak decydujące znaczenie.

Matka moja wróciła zupełnie urzeczona i nie dawała mi już odtąd spokoju nie tylko przez następne dni, tygodnie i miesiące, ale lata. „Ten stary, potwornie brzydki babszton” — jak się o niej wyrażała — zafascynował ją zupełnie. Rzecz jasna, że poszła na następny koncert. Ze z nabożnością przyniosła mi jej programy, które miały formę 20 czy 30-stronicowego zeszytu, z pełnymi tekstami wszystkiego co w czasie obu wieczorów śpiewała. Że gdy tylko pojawiła się książka Yvette Guilbert „*La chanson de ma vie*”, oczywiście ją dostałam. Że wszystkie płyty Yvette zostały kupione w stanie jeszcze „ciepłym”. I jeszcze to, że matka moja (wówczas primadonna opery w Lipsku, z rodowodu i temperamentu aktorka dramatyczna) owe dwa koncerty odtworzyła dla mnie w domu, powtarzając wszystko, co tylko mogła sobie przypomnieć, każdy gest, każdą intonację głosu, każdy akcent.

Pamiętam, że wiele lat później w Warszawie, ktoś kto słyszał Yvette Guilbert, biorąc mnie za jej uczenicę powiedział mi, iż pewne słowa akcentuje tak samo jak ona, że nawet przejęłam pewne maniere jej wymowy. Otóż wówczas nie tylko nie byłam jeszcze jej uczenicą, ale nigdy jej jeszcze nie widziałam. I pomyślałam sobie, że to właśnie moja matka musiała zaszczerpić mi ten akcent; widać tak świetnie zapamiętała wszystkie szczegóły, iż ja, nie wiedząc o tym, a nie mając żadnych innych nauczycieli, od niej się nauczyłam owych intonacji charakterystycznych dla Yvette Guilbert.

Yvette przyjechała do Lipska jeszcze raz w r. 1928. Znowu nie mogłam pójść jej zobaczyć, bo sama grałam tego wieczoru, znowu poszła moja matka i jej dotąd nieśmiałe ataki pod moim adresem, abym rzuciła teatr i sama zaczęła śpiewać, przybrały na sile. Posunęła się nawet do tego, że po jednym z koncertów poszła do Yvette Guilbert i zapytała ją czy przyjąłaby mnie jako uczenicę. Yvette się zgodziła, ale sześć lat minęło zanim marzenie mojej matki się spełniło i zanim poznałam kobietę, której nigdy przedtem na oczy nie widziałam, a która odegrała tak dużą rolę w moim życiu.

#### MŁODZIENECZE BUNTY I WSPÓLPRACA

W r. 1929 wyszło w Niemczech tłumaczenie jej drugiej książki „*L'art de chanter une chanson*”. Przeczytałam ją z należytym nabożeństwem, ale

choć wówczas zaczęłam już zbierać piosenki ludowe, zwłaszcza francuskie, choć coraz bardziej skłaniałam się do tego, by posłuchać namów matki i rzucić teatr dla pieśniarstwa, jednak właśnie lektura książek Yvette umocniła mnie w postanowieniu unikania jej dopóty, dopóki nie znajdę sama własnego stylu. Z tych dwu książek przemawiała do mnie kobieta niesłychanie autorytatywna, pewna siebie i w pewnym sensie „przytłaczająca”. Bałam się, że stykając się z nią tak wcześnie, kiedy zaczęłam dopiero szukać „mojego” stylu interpretacji, ulegnę po prostu jej wpływowi, że zamiast być Tolą Korian, będę tylko słabą odbitką Yvette Guilbert.

I dlatego, kiedy matka moja zaoferowała mi w r. 1929 wyjazd do Paryża roczne studium u Yvette Guilbert, odrzuciłam ten projekt. Zaczęłam sama szukać na własną rękę stylu interpretacji i repertuaru. Yvette Guilbert odeszła gdzieś w podświadomość i tyle tylko pozostało mi w pamięci, by skrupulatnie unikać wszystkiego, co kiedyś było przez nią interpretowane. Wystarczyło, by mi ktoś powiedział, że tę czy tamtą piosenkę śpiewała Yvette, żebym ją natychmiast odrzuciła. Utrudniło mi to życie na długi czas.

Dopiero po kilku latach samodzielnej pracy i występów, kiedy stanęłam już mocno na własnych nogach, kiedy przestałam się obawiać spotkania z największą ze wszystkich interpretatorek na świecie, wyteżyłam wszystkie siły, aby pojechać do Paryża i pod jej kierownictwem uzupełnić studia.

Kiedy w r. 1935, po długich zabiegach (Yvette Guilbert nie przyjmowała absolutnie nikogo nieznanego albo niepoleconego jej przez przyjaciół), nareszcie ją zobaczyłam w jej własnym salonie, pierwsza myśl, która mi przemknęła przez głowę było przyznanie, że moja matka miała stuprocentową rację. To naprawdę był „stary, potwornie brzydki babszton”. Nad potężnym, ciężkim ciałem wyrastała stosunkowo mała głowa, o rudych włosach, o starczo pozółklej, rozlanej i pomarszczonej twarzy. Najbardziej przerażające były oczy: małe, dość szeroko od siebie odsunięte i przerażająco złe. Właściwie wstrząsnęły mną naprawdę oczy. Wiedziałam już od mojej matki, że jej starość i brzydota znikają w magiczny sposób w chwili, gdy zaczyna śpiewać. Ale jej oczy przygnębiały mnie, bo nie widać w nich było żadnej dobroci, żadnej przychylności dla bliźniego.

Pozwoliła mi tego dnia coś zaśpiewać. Pamiętam moje przerażenie, kiedy zaproponowała (ponieważ nie było ani akompaniatora ani akompaniarki), abym zaśpiewała bez akompaniamentu. Nie mogąc się na to zdobyć, zagrałam sobie sama, i o dziwo, ten dotąd lodowaty i raczej odpychający kolos zainteresował się. Musiałam jej opowiedzieć co robiłam dotąd, co zdobyłam w zakresie repertuaru, co miałam zamiar robić w Paryżu. Na tym skończyła się pierwsza wizyta; ponieważ w tym okresie właśnie zaczynał się cykl jej wykładów w jednej ze sal Pleyel'a, kazała mi przyjść dwa dni później i przysłuchać się jej wykładom. Tak zaczęła się moja z nią znajomość, trwająca przez szereg lat, z czego około półtora roku intensywnej współpracy.

Ta pierwsza wizyta zresztą, ta pierwsza propozycja śpiewania... bez akompaniamentu (od której przecież tyle zależało), uświadomiła mi zasadniczą różnicę między Yvette Guilbert i mną. Nie można powiedzieć, że nie była muzykalna, ale dla niej jakoś muzyczna, melodyczna pieśń była sprawą akcydentalną, uboczną, jakby pomocniczą, dla mnie była już wtedy i jest jakością równorzędną z treścią anegdotyczną, dramatyczną, organicznie, niejako funkcjonalnie z nimi zrośniętą; domaga się ona ekspresji na równych prawach, czasem nawet tę ekspresję warunkuje, narzuca w sposób tyrański.

Yvette Guilbert, którą poznałam była tą z drugiej połowy swej kariery, zainteresowaną twórczo już tylko i wyłącznie pieśniami dworskimi, ludowymi i religijnymi Francji. Nie było mi dane poznać jej stylu z pierwszej epoki, jak zresztą nie słyszałam prawie nic z tego, co śpiewała kiedyś, kiedy o repertuarze pieśni dawnych jeszcze nie było mowy.

Bo życie Yvette Guilbert dzieli się bardzo ostro na dwie części: pierwsza, to czas jej walk wprawdzie po prostu o byt, potem o narzucenie publiczności swego stylu, druga, po okresie niesłychanego powodzenia i w parze z tym idącego bogactwa, to lata, w których korzystając z zabezpieczenia materialnego, zmieniała gwałtownie kierunek i zaryzykowała całą swoją fortunę występując z repertuarem, który we Francji, przynajmniej w pierwszym okresie, spotkał się z największą niechęcią mas, do którego dopiero po latach obojętności przekonała szeroką publiczność.

#### Z DNA KU SZTUCE

Yvette Guilbert urodziła się w r. 1865 (była rówieśnicą Żeromskiego) z ubogich rodziców, z małżeństwa bardzo nieszczęśliwego. Ojciec, z pochodzenia chłop normandzki — człowiek lekkomyślny, nieodpowiedzialny, od samego początku dbał o to, by żona na siebie i dziecko zarabiała sama, głosząc mądrą zasadę, że kobieta musi być samowystarczająca, bo przecież „gdybym umarł, też byś musiała dać sobie radę”. Sam swoje skromne zarobki jako przedstawiciel w towarach galanteryjnych przepijał, przegrywał i trwonił z innymi kobietami. Gdy Yvette miała lat czternaście, opuścił rodzinę i więcej do niej nie wrócił.

Madame Guilbert, *la mère*, po to, by utrzymać siebie i córkę i zaspokoić potrzeby męża w okresach, gdy mu się gorzej wiodło — pracowała wprawdzie jako modystka, potem jako krawcowa i hafciarka. Przez pewien czas szło jej na tyle dobrze, że mogła zatrudniać parę robotnic i posłać Yvette do szkoły, a nawet przez dwa lata na pensję. Ale kiedy dziewczynka miała lat trzynaście, sytuacja pogorszyła się tak dalece, że musiała ją zabrać do domu i odtąd matka i córka zarabiała, ciężko pracując nad haftem i wyrobem bielizny i kapeluszy, ślęcząc i ślepiąc nad delikatnymi wzorami od godziny siódmej rano do siódmej wieczór. Potem, aż do godziny jedenaśtej w nocy przeciągało się kołatanie od drzwi do drzwi znajomych magazynów, sklepów, szwalni, gdzie matka usiłowała sprzedać za grosz to, co razem z córką w ciągu dnia wyrobiły. Za cały trud dostawało im się, jeśli miały szczęście, 5 frs. dziennie, a były okresy, kiedy w martwym sezonie nie sprzedawały niczego. Po bezowocnym, parogodzinnym bieganii musiały z powrotem wlec do domu ciężki worek i olbrzymią walizę po to, by pójść do łóżka o głodzie i w przejmującym zimnie, bo o tym, by starczyło pieniędzy na węgiel nie było mowy. To właśnie w tych latach, kiedy dorastająca dziewczyna często nie miała co jeść albo po wielu godzinach pracy poczytywała sobie za szczęście, jeśli matka mogła jej dać zupę, której całą okrasą było parę cebul — zdrowie i głos jej tak ucierpiał.

Widząc mękę matki, Yvette od szesnastego roku życia próbowała różnych sposobów, by powiększyć zarobki i ulżyć im obu. Była kolejno manekinem w salonie mód, sprzedawczynią w wielkim magazynie „Printemps”, krawcową do spółki z jedną z byłych pracownic matki.

Punktem zwrotnym była chwila, w której poznała człowieka, „dobrego ducha” z bajki lub powieści Dickensa. Uderzony zgrabną figurą i długimi nogami dziewiętnastoletniej dziewczyny zaczepił ją na ulicy, kiedy wracała od jakiejś klientki i zaproponował jej naukę wołyżerki. Był to t.zw. „Père Zidler”, wówczas dyrektor cyrku „Hippodrome”, późniejszy założyciel i właściciel „Moulin Rouge” i niestniejącego już dzisiaj na Champs Elysées „Jardin de Paris”. Odtąd opiekun i przyjaciel w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Z wołyżerki nic nie wyszło, bo matka przeraziła się karkołomnego zawodu, ale poczciwy „Papa Zidler”, widząc nędzę dwu kobiet, zaczął im przysyłać dla rozrywki bilety do teatrów i oto znowu przez przypadek, Yvette poznała jakiegoś krytyka teatralnego. Ubawiony jej dowcipnymi i inteligentnymi uwagami na temat aktorów, dał jej bilet polecający do Landrola, nauczyciela dramatycznego i w ten sposób, Yvette weszła w życie teatralne, traktując to jako jeszcze jedną próbę zwiększenia zarobku.

W r. 1885 udało jej się dostać *engagement* do jednego z teatrów na przedmieściach, w następnym do teatru „Cluny”, parę miesięcy później do teatru „Nouveautés” na wielkich bulwarach i wreszcie do teatru „Variétés”. Był to już teatr bardzo poważny, o dużych ambicjach, w którego zespole byli tak wspaniali aktorzy, jak Judic i Réjane. Oczywiście nie należy sobie wyobrażać, że Yvette miała tam jakiegokolwiek szanse otrzymania porządnej roli i wybicia się. Na to trzeba było w owych czasach przede wszystkim protekcji, następnie pieniędzy, no i urody. A Yvette miała warunki, które jej w owych czasach (nasze nie są lepsze) bardzo utrudniały życie. Była duża, chuda (zbrodnia, której w epoce „talii jak osą”, potężnych biustów i rozłożystych bioder nie darowano żadnej kobiecie), o twarzy pospolitej, z małymi oczami, nosem, przypominającym z lekka kaczy dziób i na dobitkę z absolutnym brakiem ułożenia, ze skłonnością do przebiegania sceny w trzech krokach, co było nawykiem wdrożonym z czasów wędrowek od magazynu do magazynu i roznoszenia różnych zamówień.

Miała teraz wprawdzie zarobki ustalone (najwyższa gaża 250 frs. miesięcznie), ale ciągle jeszcze niedostateczne, by matce, której wzrok z powodu haftowania po nocach przy niewystarczającym świetle pogarszał się w zastraszający sposób, umożliwić zaprzestanie pracy. Trzeba było zarobić 600 frs. Niestety widoki na to były minimalne. Aby dojść do takiej gaży, w czasach, kiedy aktorki o ustalonej reputacji, „gwiazdy” zarabiały 1.000 frs. trzeba było czekać lata, a Yvette czekać nie mogła. Kiedy więc jakiś kolega, z którym w chwilach wolnych od prób przyśpiewywała sobie znane, paryskie przeboje, podsunął jej myśl przerwania się na *Café-Concert*, w którym o większe zarobki było dużo łatwiej — postanowiła spróbować szczęścia.

Wyuczwszy się kilku arii operetkowych, uzyskała audycję w jednym z prowadzących wówczas *Café-Concert* „Eldorado” na Blv. Strasbourg. Po półtoragodzinnej walce „wygadała” sobie wreszcie owe konieczne 600 frs. i podpisała kontrakt na trzy lata.

Zanim rozpoczął się sezon jesienny w „Eldorado”, Yvette uzyskała *engagement* na 10 dni do kasyna w Lyonie. Musiało to być jedno z najbardziej przygnębiających przeżyć. Publiczność, składająca się głównie ze studentów, wygwizdała ją bezlitośnie. Ryki, krzyki i gwizdanie powtarzały się co wieczór przez pięć dni i w końcu poproszono ją, aby zechciała zaprzestać występów. Jej wygląd (doskonale aseksualny), skromność w występowaniu, brak wszelkich manier „kabaretowych” i ów sposób spokojnego raczej mówienia, aniżeli śpiewania spotkały się z zupełnym potępieniem. To samo powtórzyło się w „Eldorado”. Publiczność wprawdzie nie gwizdała, ale za to, gorzej może jeszcze, przyjmowała jej produkcje lodowatym milczeniem. I tutaj poproszono ją po dwu miesiącach, aby zrezygnowała z kontraktu.

Zrozpaczona, ale nie dająca za wygraną, spróbowała szczęścia audycją w „Eden-Concert” i uzyskała kontrakt znowu na owe sakramentalne 600 frs. miesięcznie. Miała tu sytuację o tyle łatwiejszą, że należała do zespołu, w którym powierzano jej raczej małe role w jednoaktówkach, pozwalając tylko od czasu do czasu na śpiewanie krótkich, komicznych piosenek. Yvette wykorzystała ten czas, aby rozglądać się za reperituarem, który by jej pozwolił wybić się i zrobić karierę. Bo teraz, kiedy odsunęła się już z mora nędzy, kiedy nie trzeba było myśleć tylko i wyłącznie o tym, jak związać koniec z końcem, zapłacić komorne i opał, obudziła się w niej ambicja.

#### „LA DISEUSE FIN DE SIÈCLE”

W każdą wolną chwilę chodziła do wszystkich *Café-Concert*, słuchała uważnie tego, co robili inni, podpatrywała swoje rówieśniczki i w kon-

kluzji doszła do przekonania, że na pewno potrafi zrobić nie tylko to samo, ale raczej rzeczy dużo lepsze i inteligentniejsze. Musiała ta jej ambicja zresztą objąć nie tylko dziedzinę artystyczną, ale także całą postawę życiową. Zmuszona występować w środowisku, które nie cieszyło się najlepszą reputacją, widząc, że jej koleżanki, słusznie czy niesłusznie, miały opinię kobiet lekkiego prowadzenia się, oglądając na scenie wulgarność gestów, dążenie zyskania sobie aplauzu najtańszymi, ordynarnymi sposobami — postanowiła odciąć się od tego wszystkiego jak najostrzej. Dla niej nie był to, jak dla Degas'a dziwotworny świat owadzi, brzydki, odstręczający, ale stanowiący niewyczerpany temat dla ołówka pracującego jak lupa, jak lancet przyrodnika — dla niej był to poziom, od którego za wszelką cenę należało odbić się w górę, wznieść się przez awans społeczny, obyczajowy i artystyczny.

Gorycz, jaka się w niej nabierała przez lata nędzy, lektura pisarzy wówczas najgłośniejszych, przede wszystkim zaś Zoli, naturalne zdolności dramatyczne, pchały ją w kierunku szukania rzeczy tragicznych, które by wstrząsnęły rozbawioną publicznością. Ale zdrowy rozsądek praktycznej Francuzki mówił jej, że na to będzie sobie mogła pozwolić później, że wpierw trzeba zyskać popularność, dając Paryżanom to, czego zawsze najbardziej łakną, okazję do śmiechu.

W chwili, kiedy natknęła się na książki Leona Xanrof'a, problem repertuaru został rozwiązany. Jego piosenki studenckie, pełne zjadliwego humoru, wyśmiewające bezlitośnie, smagające słabości ludzkie, jednocześnie pełne typowo paryskiego wdzięku były właśnie tym, czego jej było trzeba. Nie brak było także w wielu z nich elementu erotycznego i dwuznacznego a czasem i makabrycznego.

Te więc rzeczy Yvette postanowiła „zaaplikować” publiczności w sposób jak najbardziej „suchy”. W przedmowie do zbioru rysunków Toulouse-Lautrec'a Arthur Byl opisuje to, co z czasem nazwano „stylem Yvette” w następujący sposób: „interpretacja jej polegała na śpiewaniu w sposób chłodny, bez żadnego gestu piosenek niesłychanie „pieprzonych”, obliczonych na wywołanie rumieńca u najbardziej zatwardziałyłch słuchaczy. Twarz jej zachowywała kamienny spokój; ramiona zwisały swobodnie, ciało trwało w postawie bez ruchu, wyraz twarzy pozostawał rozmyślnie niewzruszony — tak oto śpiewała Yvette najbardziej niewiarygodne rzeczy srebrzystym, delikatnym głosem; przy tym sama nie śmiała się nigdy, nigdy nie pozwoliła sobie nawet na uśmiech, na podkreślenie najostrejszego dowcipu choćby mrugnięciem oka, choćby drgnieniem ust”.

Dodajmy do tego, że czysto zewnętrznie także postarała się o odejście od ogólnie wówczas przyjętego stylu „szansonistek”. Nosiła zawsze suknie bardzo prostego kroju (które sobie sama szyła), składające się z marszczonej spódnicy i wyciętego staniczka bez rękawów, koloru zielonego w zimie, białego latem. Uzupełniała ten strój parą długich, czarnych — przysłowiowych potem — rękawiczek. Nie nosiła żadnej biżuterii i w ogóle się nie charakteryzowała. Raczej starała się podkreślić bladeść twarzy przez zaakcentowanie tylko ust, które malowała możliwie najjaskrawiej czerwoną szminką.

Pierwszy raz wystąpiła w tej nowej postaci nie w Paryżu, ale w Liège, w Belgii, gdzie pojechała na sezon letni w sierpniu r. 1890. Ku jej zdumieniu i jak łatwo się domyśleć uszczęśliwieniu, publiczność przyjęła ją i jej piosenki z niebywałym entuzjazmem. Nareszcie, nie tylko jej nie wyśmiewano, nie czekano w milczeniu, aż zechce przestać i zejść ze sceny, ale oklaskiwano, żądano jeszcze i jeszcze jednej piosenki, a kiedy zapas się wyczerpał, kazano powtarzać już śpiewane. To samo wróciło następnego dnia i trwało przez cały okrągły miesiąc. Ledwie skończyła kontrakt z ostatnim dniem sierpnia, już musiała jechać do Brukseli, gdzie czekał ją taki sam, jeśli nie większy sukces. Dzienniki poświęcały całe szpalty tej nowej, nikomu dotąd nieznannej „gwiazdzie”.

15 września zaczynał się w Paryżu sezon zimowy i Yvette musiała wrócić do swojego „Eden Concert”. Tutaj obłano ją z miejsca zimną wodą. Nikt nie przejął się jej powodzeniem i kategorycznie zakazano jej śpiewać to, czym zdobyła sobie sukces. Yvette próbowała podporządkować się, ale cierpliwość jej szybko się wyczerpała i pod koniec roku zerwała kontrakt.

Przygarnął ją poczciwy „Papa Zidler”, który właśnie otworzył „Moulin Rouge”. Był to w owych czasach lokal, do którego uczęszczała publiczność niewyszukana, przychodząca po to, by potaćzyć i popić w ogrodzie. Yvette śpiewała tam piosenkę dość ordynarną, parodię angielskiej *nurse* i zyskała sobie duże powodzenie.

Tuż obok „Moulin Rouge” istniała malusieńka knajpa artystów p.n. „Le Divan Japonais”. Było to coś, co stylem przypominało „Chat Noir”; występowali tam *chansonniers* z własnymi utworami satyrycznymi, poeci czytali swoje wiersze, a często autorzy dramatycznych swoje sztuki. Było to miejsce spotkania m.in. Xanrof’a, poety i pieśniarza Maurice Donnay i malarza potwornego jak Golem — Toulouse-Lautrec’a. Tam zaproszono Yvette i temu teatrykowi, a przede wszystkim jego artyście Yvette zawdzięczała szybko teraz wzrastającą popularność. Bohema artystyczna przygarnęła ją z miejsca, jako istotę pokrewną duchem, zaadaptowała i rozniosła jej nazwisko w całym środowisku artystycznym Paryża, które wówczas skupiało się na Montmartrze.

Jednak mądry „Papa Zidler” nie pozwolił jej upajać się powodzeniem na Montmartrze. Wiedział dokładnie, że to jeszcze nie jest „kariera”. Z jego namowy Yvette zaryzykowała oszczędności, które zdążyła uciulać, ofiarując je na cele reklamy dyrektorowi teatru, który właśnie miano zamknąć. Reklama wówczas nie była jeszcze machiną tak skomplikowaną, jak dziś. Po prostu za owe 1.000 frs., które Yvette wniosła, wydrukowano w całym Paryżu nalepki z napisem „*Yvette Guilbert, la diseuse fin de siècle le 5 Octobre au Concert Parisien*”. Cała cyganeria Montmartru zeszła oczywiście na Blv. St. Denis, by podtrzymać „swoją” Yvette i odtąd już powodzenie jej nie odstępowało.

Rzecz jasna, że z wyjątkiem owych artystów, którzy zrozumieli jej wielki dar interpretacyjny, szeroka publiczność mało sobie zdawała sprawę z prawdziwej wartości tego nowego zjawiska. Przychodziła głównie dlatego, że to co śpiewała ta *diseuse*, do niczego niepodobna, podniecało i denerwowało. Czytając wiersze Xanrof’a i Bruant’a, trudno nam zrozumieć co tak bardzo skandalizowało ówczesnych słuchaczy. Oczywiście, że są tam rzeczy, które jeszcze dziś wzruszają i inne, które na nasze odczucie są może nie tyle skandaliczne, ile często niesmaczne. Ale trzeba pamiętać, że była to epoka, w której o pewnych sprawach nie mówiło się publicznie, w którym opiewanie z estrady losu prostytutki, choćby najbardziej tragicznego, było nie do pomyślenia i wywoływało niezdrowy dreszcz podniecenia u pań „z dobrego towarzystwa”. Zaczynał to robić — wśród wrzawy sprzeciwów, polemik — naturalizm na scenie i w powieści. Yvette wchodzi poniekąd w obręb tego prądu.

Od r. 1892 do 1900 Yvette cieszyła się największym powodzeniem, jakie może spotkać artystę. W owych latach, nie tylko występowała regularnie w Paryżu przez sześć miesięcy do roku, ale począwszy od r. 1894 jeździła rok rocznie do Ameryki, Anglii, Niemiec, Austrii, była kilkakrotnie w Polsce, Danii, Szwecji, w Rosji, Rumunii i na Węgrzech. Dopięła tego, do czego tak uparcie dążyła: występując ciągle w *Café-Concert* tak potrafiła się odciąć od atmosfery z nim związanej, że przyjmowano ją w najlepszym towarzystwie i co ważniejsze, że zjednała sobie podziw i szacunek największych współczesnych pisarzy, literatów i muzyków. Była heroiną sztuki (sztucznydła) „*La loge de la divette*”, rysowano ją, rzeźbiono, sławiono w wierszach. Do jej przyjaciół należeli poza tymi, którzy z nią współpracowali, jak Aristide Bruant, Xanrof, Maurice Donnay ludzie tej miary, co

Emile Zola, Alphonse Daudet, Edmont de Goncourt, Pierre Loti, Gounod, Catulle Mendès i Toulouse Lautrec.

#### ZWROT DO PRZESZŁOŚCI

Myślę, że właśnie wśród tych ludzi musiała spotkać kogoś, kto skierował jej uwagę na pieśń dawną i nieograniczone możliwości interpretacyjne tej pieśni. Był to przecież okres, w którym „odkryto” raz jeszcze pieśń ludową, w którym poeta bretoński Botrel sam śpiewał na Montmartrze piosenki swego „pays”. Był to czas najbogatszy w wydawnictwa pieśni ludowych ze wszystkich regionów Francji. Wreszcie czas najintensywniejszych badań nad starą pieśnią dworską, religijną, nad twórczością trubadurów i truverów, okres działania tak wspaniałego badacza, jak Gaston Paris.

Nie wiem, kto ją pchnął w tym kierunku, kto pomagał jej w poszukiwaniach, o których wiem z własnego doświadczenia, z własnego ślęczenia nad zbiorami w *Bibliothèque Nationale*, jak są trudne i jak potwornie przytłaczające przez ogrom materiału. Nie jest to zresztą ważne. Ważne jest, że mając możliwość kontynuowania kariery na drodze utartej, pewnej i bez porównania łatwiejszej, dobrowolnie z tego zrezygnowała i podjęła się pracy ryzykownej, bardzo ciężkiej i niewdzięcznej. Nawet jeśli przyjmujemy, że sam trud poszukiwań, odcyfrowywania manuskryptów, czego w żaden sposób nie mogła sama robić, bo na to trzeba specjalnych studiów i niezmiernej ilości czasu, wykonywał za nią ktoś inny, to zawsze jeszcze musiała sama przewertować to wszystko, co jej przynoszono, bo tylko ona mogła zdecydować o ostatecznym wyborze. Musiała się nauczyć języka, tak już niepodobnego do dzisiejszej francuszczyzny, musiała wreszcie sama przeczytać pewną ilość dzieł, które dały jej możność zrozumienia ducha poszczególnych epok.

Może się to komuś wydawać oczywiste. Jeśli to jednak podkreślam to dlatego, że przecież Yvette Guilbert nie była panną nawet o „domowym” wykształceniu, tylko ubogą robotnicą, która przerwała naukę mając lat trzynaście i od tego czasu ciężko zarabiała na kawałek chleba pracą rąk. A nawet wtedy, kiedy już była sławna i kiedy pieniądze się przelewały, czas jej był bez reszty wypełniony. Śpiewała prawie dzień w dzień przez cały rok, a podróże w owym czasie, nie były tym, czym są dzisiaj. Musiała więc czas na tę całą, ogromną pracę zdobywać poza codziennymi zajęciami i mimo bardzo złego stanu zdrowia. Chorowała przez wieś lat na nerki i choroba pokonała ją wreszcie w r. 1900; musiała przerwać występy na półtora roku i przeszła kilka ciężkich operacji.

Yvette, która pojawiła się na nowo na estradzie w r. 1901 różniła się od dawnej Yvette, jak dzień od nocy. Zniknęła sukni zielona czy biała i czarne rękawiczki, piosenki Xanrof’a, Bruant’a i Donnay ustąpiły miejsca legendom religijnym z w. XIII-go, pieśniom trubadurów, pieśniom dworskim z czasów renesansu, „*chansons épiques*”, bergeretkom wieku XVIII-go, pieśniom ludowym i tylko kiedy do głosu dochodził wiek XIX-y, jego ostatnie lata, tylko wtedy wracały pieśni z tamtego, pierwszego repertuaru, ale jedynie te, których wartość była niewątpliwa, które swoim tragicznym realizmem dzisiaj jeszcze wstrząsają słuchacza. W ciągu lat, nagromadziła olbrzymi zasób najpiękniejszych kostiumów, wiernie według wzorów epoki robionych.

Tak wystąpiła po owej przerwie półtorarocznej i oto — Paryż znowu jej nie chciał. Szeroka publiczność Francji nie interesowała się własną bogatą twórczością z przeszłych stuleci, wolała dwuznaczne piosenki, sławiące paryskie przedmieścia i jego mieszkańców. Siedem lat trwało, zanim Yvette, ryzykując swoje pieniądze na urządzenie koncertów, na które przychodzili tylko najwierniejsi przyjaciele — przekonała Paryż i Francję, że warto słuchać tych pieśni, zanim na nowo publiczność zaczęła



się tłoczyć na jej występach. Przez cały ten czas, najwięcej zrozumienia znalazła — w Niemczech. Właśnie ten kraj, którego barbarzyństwo przepelnia dzisiaj zgrozą cały świat, wykazał najwięcej odczucia utworów niezmiernie subtelných, o głębokiej poetyczności, pełnych wiotkiego, niepowtarzalnego wdzięku.

#### YVETTE, KTÓRĄ ZNAŁAM

Tę właśnie Yvette dane mi było poznać. Nie występowała już wtedy w kostiumach, bo choroba i starość zdeformowały jej ciało. Śpiewała zawsze w jakichś prostych, luźnych „szatach”. Była brzydka, to prawda, oczy miała złe — oczy kobiety, która zbyt ciężko walczyła o byt, by zachować przychylność dla świata i bliźniego, ale kiedy zaczynała opowiadać legendę o wędrowce Józefa i Marii, kiedy głosem ledwie słyszalnym ze zmęczenia mówiła: „*Joseph, ton bras de grâce, je ne puis plus marcher, je me trouve si lasse*”, twarz jej była tak pełna słodyczy, tak czysta, tak w najpełniejszym tego słowa znaczeniu „nieziemską”, że zdawało się, iż ożył któryś z obrazów Fra Angelica, że właśnie tak, i tylko tak musiała wyglądać i mówić Matka Boża w najświętszą noc Bożego Narodzenia. Ten cykl legend o młodości Chrystusa należy zresztą do piękniejszych utworów jej repertuaru.

Aby dać, oczywiście dalekie, wyobrażenie o Yvette tym, którzy jej nie widzieli, chciałabym tu przypomnieć piosenkę z XVIII-go wieku, którą często śpiewała. Nie pamiętam w tej chwili jej tytułu. Stały refren był: „*Dansez, mes fillettes, dansez, mes enfans*”. Yvette grała w niej (nie mogę użyć innego słowa w tym miejscu) starą, czarującą babunię, która udziela mądrych rad swoim wnuczkom. Była to jedna z tych piosenek, do których dorabiała dość obszerne wstawki. W tym wypadku, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu z robótką (imaginowaną) w ręce, szyjąc pilnie, nie zapominając najdrobniejszego szczegółu, jak robienie węzełka na końcu nitki, jak odgryzanie jej zębami, energiczne wbijanie igły w biust (wszystko oczywiście bez jednego rekwizytu) polecała swoim słuchaczkom bawienie się za młodu, póki jeszcze czas, póki cieszą się pełnią wdzięków. Przy końcu każdej strofki, na tle muzyki dodawała własne, często bardzo dowcipne uwagi, na temat n.p. małżeństwa, które ma swoje bardzo przykre strony, nieznośnych obyczajów mężów i t.d.

Kto kiedykolwiek widział „Niebieskiego Ptaka” zna balladę „*Le roy a fait battre tambour*” inscenizowaną przez ten zespół w rosyjskiej wersji (wchodzi ona też do repertuaru baletu Joossa). U Yvette Guilbert król, pożądający żony swego dworzanina jest tłusty — tak tłusty, jak ona sama na stare lata — i nie najpierwszej młodości. Twarz, oczy, które lubieżnie nie tyle oglądają, ile rozbierają dygającą przed nim markizę, to twarz i oczy starego drania i znawcy kobiet, skądinąd zresztą dobrodusznego. Jego słowa, gdy już odebrał żonę markizowi, są zupełnie szczerze, bez najmniejszego cienia wątpliwości, iż w ten sposób rozwiązuje konflikt ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich zainteresowanych: „*T'auras ta récompense, je te ferai dans mes armées, beau maréchal de France*”. Ze sprawa kończy się tragicznie, to już nie jego wina, na pewno jest tym bardzo przygnębiony i nic z tego nie rozumie. O tym wszystkim nie ma ani słowa w pieśni, Yvette nie daje żadnego komentarza, jak to często robi przy innych okazjach, to wszystko widać na jej twarzy, wyraża to postawą, gestem, intonacją głosu.

Tego samego dnia, gdy na jednym z odczytów zaśpiewała tę balladę, kazała mnie ją zaśpiewać bezpośrednio po sobie. Byłam wtenczas już nie tylko jej uczenicą, ale i współpracowniczką. Na jej życzenie włączyłam do mego repertuaru szereg pieśni przez nią interpretowanych. Te rzeczy, które były dla niej zbyt męczące, które wymagały dużego wysiłku głosowego, lub przekraczały jej możliwość, kiedy się źle czuła — kazała mnie

śpiewać. Oczywiście kontrast między jej interpretacją a moją, był olbrzymi. Mój król z konieczności był chudszy, dużo mniej dobroduszny a markiz o wiele agresywniejszy w swojej postawie. Bałam się trochę, jak publiczność przyjmie tę demonstrację dwu tak skrajnie różnych stylów. Ale choć składała się z ludzi, którzy przychodzili tylko i wyłącznie dla niej, okazywała mi niesłychanie dużo sympatii i przychylności. Byli to głównie jej dawni adoratorzy, ci, którzy pamiętali ją z czasów jej najpierwszego okresu i którzy teraz przychodzili na odczyty, pomyślane jako lekcje dla młodego pokolenia, dlatego, że mało było innych okazji usłyszenia „wielkiej Yvette”.

Owo młode pokolenie zawodziło prawie całkowicie. Mało kto z dojrzewających w tym okresie artystów interesował się starą interpretatorką i jej repertuarem. Kino, a przede wszystkim gramofon i radio stworzyły nowy styl interpretacji, jeśli w ogóle można pomówić o „styl” pieśniarki jęczące przeciągle albo wyjące podbrzusznym głosem we wszystkich tonacjach. Zamiast bogatych możliwości, zawartych w pieśniach odległych epok, które zajmują się nie tylko miłością, ale całą gamą ludzkich wzruszeń, radości, klęsk i bólów, pieśniarze, pieśniarki i autorzy, jak urzeczeni powtarzają w kółko odwieczny refren: ja cię kocham, ja cię nie kocham, ty mnie kochaj, idź, wróć i znowu kochaj mnie i t.d. *ad infinitum*. Jest to oczywiście obraz przesadzony, ale nie można było odmówić Yvette Guilbert pewnej dozy słuszności gdy mówiła o jednej z sławniejszych w latach 1925-30 pieśniarek francuskich: — „Biedaczka, długo myślała nad czymś naprawdę „oryginalnym” i wreszcie znalazła: wyłazi na fortepian, kładzie się na brzuchu i tak skarży się na kochanków, którzy ją opuścili”.

#### GASNĄCA GWIAZDA

Na przestrzeni sześciu lat, jakie spędziłam w Paryżu, Yvette miała niestety tylko trzy koncerty i raz występowała przez miesiąc w największym i najlepszym *music-hallu* „ABC”. Nie ulegało wątpliwości, że gwiazda jej już zgasła. Nie brakło w Paryżu kobiet młodych, które bardziej odpowiadały potrzebom młodego pokolenia. Najlepsza, najbardziej ludzka, niezmanierowana była Marie Dubas. Inne miały swoje zalety, żadna nie miała ani tej głębi odczucia, ani tej prostoty, ani tego talentu dramatycznego, co Yvette Guilbert. Wszystkie mniej lub więcej hołdowały manii wydobywania z siebie dźwięków bądź mdławo słodkich, bądź ponuro podbrzusznym w stylu najpierwszych przebojów Marleny Dietrich. Można powiedzieć, że z powrotem zapanował wszechwładnie styl gładkiego, melodyjnego śpiewania, że zanikła prawie zupełnie sztuka, której Yvette była mistrzynią — „*l'art de dire une chanson*”. Jest to skądinąd zrozumiałe, jeśli się zważy, że prawdziwą popularność daje dziś tylko radio, a ono narzuca wykonawcy pewien określony, choć narazie ubogi styl, wymaga głosu możliwie równego, ściśle kontrolowanego, nie pozwala na mieszanie śpiewu i recytacji, na akcenty zbyt gwałtowne, na szerokie kontrastowanie.

Yvette Guilbert do końca walczyła zazarcie o utrzymanie swojej pozycji. Nie wiem, czy było to podyktowane koniecznością materialną, czy też był to nałóg artysty, niemożność zaprzestania, konieczność tworzenia do końca, do ostatnich chwil życia. Byłam świadkiem tej walki z okolicznościami i walki z własnym ciałem, które często odmawiało posłuszeństwa i muszę powiedzieć, że było to widowisko przygnębiające, a jednocześnie wzbudzające najwyższy podziw. Kiedy ją poznałam, Yvette Guilbert miała już 70 lat. Była kobietą chorą, z trudem chodzącą, cierpiącą, poza zadawnionymi i nigdy zupełnie nie wyleczonymi sprawami nerek, na tak potworny reumatyzm, że często trzeba było dopiero wielu zastrzyków, by w ogóle mogła podnieść się z łóżka. Mimo to, do końca codziennie próbowała ze swoją akompaniatorką, ciągle uczyła się rzeczy nowych,

ciągle wzbogacała swój repertuar. Ktoś inny na jej miejscu byłby dał za wygraną, poddałby się tyranii wyczerpanego do ostateczności ciała. Ona, jeśli nie występowała, nie miała koncertów — pisała (ogłosiła dwie powieści, cztery książki autobiograficzne), organizowała odczyty. Ciągle miała potrzebę udzielania się. Już za czasów wojny, w okupowanym przez Niemcy Paryżu podobno śpiewała przez radio.

Nie wiem w jakich okolicznościach spędziła ostatnie lata życia, w jakich okolicznościach umarła. Obawiam się, że nie musiało jej być łatwo. Wobec Niemców hitlerowskich zajmowała postawę nieprzejednaną. Nigdy, po dojeździe Hitlera do władzy nie pojechała do kraju, który kiedyś był jej szczególnie bliski przez zrozumienie i serdeczność, jaką jej tam okazywano. Chciałabym się dowiedzieć, że śmierć ją zabrała, zanim wyczerpały się jej zasoby materialne, że nie musiała pod koniec życia walczyć na nowo o goły byt, porać się z codziennością nieubłaganą, tak jak kiedyś, za lat swojej gorzkiej młodości, za którą los nie zdołał się wypłacić, której nie zdołał zatrzeć największymi ze swoich królewskich darów.

TOMASZ JANTA-POŁCZYŃSKI

## O PROBLEMIE LUDNOŚCIOWYM EUROPY

Kraje cywilizacji zachodniej podlegają działaniu dwóch kategorii sił, których dynamizm wywołuje zaburzenia równowagi we wszystkich niemal dziedzinach życia — w sferze ekonomicznej, socjalnej i politycznej. Są to z jednej strony fluktuacje gospodarcze, z drugiej ruchy demograficzne. Podczas gdy zjawiska i problemy gospodarcze są nie tylko przedmiotem zainteresowania licznych specjalistów, ale często też decydującym elementem w życiu codziennym jednostki — zagadnieniom ludnościowym poświęca się na ogół znacznie mniej uwagi, zwłaszcza w krajach o ustroju demokratycznym. Dzieje się to niewątpliwie dlatego, że przebieg zmian ludnościowych jest z natury rzeczy powolny, mało stosunkowo odczuwany w życiu jednostki, chociaż przyczynowo związany z jej dobrobytem i jej pojęciem wolności osobistej. Dopiero chwile przełomowe, takie jak wojna lub wywołane nią wielkie zmiany w międzynarodowym układzie sił wysuwają efekty tego zjawiska na pierwszy plan. Moment obecny jest szczególnie tego potwierdzeniem.

Składają się na to dwie przyczyny — jedna ogólna, związana z nowymi prądami społeczno-gospodarczymi, druga specjalna, mająca szczególne znaczenie dla krajów Europy Zachodniej. — Jednym z zasadniczych elementów nowego ustroju społeczno-gospodarczego jest idea planowania. Żadne jednak planowanie na długą metę nie jest możliwe bez zdania sobie sprawy z ruchu naturalnego ludności i jego tendencji. Dane te mają zasadnicze znaczenie jeśli chodzi o planowanie w tak różnorodnych dziedzinach jak rozbudowa przemysłu, obrona kraju, budownictwo mieszkaniowe, szkolnictwo itp., mają przemożny wpływ na problemy socjalne, agrarne, na produktywność przemysłową, itd. Z drugiej strony, w ciągu najbliższych piętnastu lat większość krajów Europy Zachodniej i Północnej rozpocznie nowy rozdział swej historii demograficznej. W okresie tym przestaną one być krajami o wznrastającej, czy nawet o stałej ludności, a natomiast staną się krajami których ludność zacznie się coraz bardziej zmniejszać. O ile dotychczasowe tendencje rozwojowe zostaną utrzymane, a wszystko raczej wskazuje na to, iż wojna je przyspieszy, zmiany te będą tak duże, iż nie wydaje się aby jakikolwiek ruch imigracyjny mógł im na dłuższą metę zapobiec.

W lepszej sytuacji pod względem demograficznym znajduje się Europa Południowa i Środkowo-Wschodnia. Jeśli chodzi o kraje tego ostatniego rejonu, to aczkolwiek odznaczały się one dotąd wysokim bardzo przyrostem ludności, w okresie międzywojennym zaznaczył się u nich duży spadek płodności, jako rezultat coraz większego przyswajania sobie w tych krajach cywilizacji przemysłowej i miejskiej. Objaw ten zaznaczył się m.i. bardzo silnie w Polsce, która przodowała dotąd w tym rejonie, a tym samym w Europie (poza ZSSR) jeśli chodzi o tempo wzrostu ludności. Niemniej jednak z uwagi na wynikającą z dotychczasowych tendencji demograficznych korzystną bardzo strukturę wieku ludności w tych krajach (przewaga młodych), przyrost ludności będzie tam nadal miał miejsce, aczkolwiek w znacznie wolniejszym tempie, i z perspektywą zupełnego zatrzymania tego wzrostu po upływie pokolenia.

Stwierdzenia powyższe nabierają specjalnego znaczenia na tle przeżości demograficznej Rosji Sowieckiej. Pomimo wojny i rewolucji ludność Rosji z 110 milionów w 1900 r. wzrosła do 170 milionów w 1940 r., czyli o 55%. Według szacunków opartych na statystykach ludnościowych z szeregu lat, a więc z uwzględnieniem tendencji rozwojowych, które pomimo wojen i innych kataklizmów wykazują zadziwiającą stałość, w okresie od 1940 r. do 1970 r. ludność Rosji Sowieckiej — o ile nie liczyć bezpośrednich strat spowodowanych obecną wojną — wzrosłaby o dalsze 44%, osiągając w 1970 r. cyfrę 250 milionów.\*)

Fluktuacje ludności są zjawiskiem nieuniknionym w historii. Gdyby istniejąca za czasów narodzenia Chrystusa ludność Europy, oceniana wówczas na 30 milionów, wzrastała do chwili obecnej w tym samym tempie co w wieku XIX-ym, Europę zamieszkiwałoby dzisiaj 5 tysięcy razy więcej ludzi niż to ma miejsce w rzeczywistości, zaś gęstość zaludnienia Europy byłaby ta sama co Wielkiego Londynu. Ogromny wzrost ludności w Europie w związku z rewolucją przemysłową, a więc w ciągu jednego stulecia sprawił, że Europejczycy, którzy w XVII wieku reprezentowali 1/5, w chwili obecnej reprezentują 1/3 ludności świata. Nie ulega jednak wątpliwości, iż stosunek ten szybko znów zacznie się zmieniać na niekorzyść białej rasy.

Co powoduje zmniejszanie się ludności? Bezpośrednią przyczyną jest oczywiście spadek płodności, a więc ilości urodzin w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców danego kraju. W Europie w nowoczesnych czasach spadek płodności zaczął się po r. 1870, za wyjątkiem Francji, gdzie tendencja ta zarysowała się już od 1820 r., ale miała na ogół wolniejszy przebieg niż w innych krajach. Mimo to jednak w ostatnich kilkudziesięciu latach przed wybuchem wielkiej wojny ludność Europy wzrastała mniej więcej o 10% na dekadę. Miało to miejsce na skutek stale spadającej cyfry śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci, oraz wzrastania przeciętnego wieku życia ludzkiego. Na zmniejszenie śmiertelności wpłynęły przede wszystkim lepsze odżywianie się mas, korzystniejsze warunki ubraniowe i mieszkaniowe, skuteczniejsza ochrona przed szerzeniem się chorób i epidemii itp., a więc wszystko to co określa się mianem wyższego poziomu życia.

Wyższy poziom życia jednakże i co za tym idzie wyższy poziom wykształcenia i większe wymagania powodują w rezultacie inną reakcję, a mianowicie spadek płodności, wyrażający się mniejszą ilością dzieci w poszczególnych rodzinach. Zjawisko to występuje jednak dopiero po pewnym czasie. Nota bene fakt ten stanowi obecnie poważny problem w związku z rozwijaniem gospodarczo zacofanych, lecz gęsto zaludnionych krajów rolniczych Azji. Początkowym bowiem rezultatem lepszych warunków

\*) Cyfry powyższe jak i szereg innych danych w niniejszym artykule zaczerpnięte zostały z opublikowanego ostatnio przez Ligę Narodów studium p.t. „The Future Population of Europe and Soviet Russia”. Studium to stanowi pasjonującą lekturę, o podstawowym znaczeniu dla wszystkich, którzy interesują się przyszłością Europy.

życia, spowodowanych rozbudową przemysłu, jest gwałtowny wzrost ludności, jak np. w Indiach, gdzie ludność od 1931 do 1941 roku wzrosła o 50 milionów. W konsekwencji presja ludności na rynek pracy się nie zmniejsza i pomimo, że suma dochodu narodowego wzrasta, przeciętny dochód na głowę mieszkańca nie ulega zmianie.

Europa jednakże przeszła już stadium tej przemiany, i w rezultacie w wielu krajach europejskich liczba urodzin spadła poniżej cyfry, jaka potrzebna jest dla zapewnienia rozrostu lub chociażby utrzymania ludności na tym samym poziomie. W poszczególnych krajach europejskich ilustruje najlepiej obecną sytuację następujące stwierdzenie: Założywszy, iż płodność i śmiertelność nie ulegałyby zmianom na przestrzeni jednego pokolenia (tj. około 30 lat), wówczas w Szwecji, Estonii, Niemczech i Austrii ludność w tym okresie zmniejszyłaby się o 23 do 34%, ludność Anglii, Szwajcarii i Norwegii o 10 do 20%, ludność Francji, Belgii i Czechosłowacji o 5-10%, kraje Europy Południowej i Środkowo Wschodniej zwiększyłyby swą ludność od 10-40%, podczas gdy ludność Rosji Sowieckiej wzrosłaby o 60%. W rzeczywistości rezultaty będą prawdopodobnie inne, gdyż zmianie ulegną założenia — w niektórych krajach na skutek interwencji państwa lub z innych przyczyn płodność może wzrosnąć, dalej należy liczyć się z skutkami wojny, epidemii a także z ruchami emigracyjnymi. Doświadczenie wskazuje jednak, że zasadnicze tendencje rozwojowe rzadko ulegają zmianie.

W porównaniu z krajami Europy zachodniej, tendencje demograficzne w krajach Europy środkowo-wschodniej są zasadniczo podobne, aczkolwiek opóźnione są o jedną generację. Do grupy krajów zachodnich należy zaliczyć takie kraje jak Czechosłowacja, Węgry i Łotwa, które z uwagi na swoją strukturę gospodarczą mają podobny ustrój demograficzny, co kraje Europy zachodniej. Rosja Sowiecka wydaje się być opóźniona w swych tendencjach demograficznych o jedną generację w stosunku do krajów Europy środkowo-wschodniej. Z drugiej strony wielkie kraje azjatyckie, Chiny i Indie znajdują się demograficznie w tym samym stopniu ewolucji, co kraje zachodnio-europejskie na początku rewolucji przemysłowej w XIX wieku.

W miarę uprzemysłowienia i podniesienia swego poziomu życiowego Rosja Sowiecka nie uniknie losu demograficznego krajów Europy zachodniej, a mianowicie zwolnienia tempa przyrostu ludności. Toteż sprawa ta już dziś jest przedmiotem troski przewidującego na daleką metę Rządu Sowieckiego, której wyrazem jest ogłoszenie specjalnych na ten temat dekretoów. Jedynym na wielką skalę precedensem w tej dziedzinie były zarządzenia partii nazistowskiej po dojściu do władzy, które na krótką metę dały niewątpliwie rezultaty.

Trudno jest oczywiście powiedzieć jaką stopę dokładności reprezentują sowieckie statystyki ludnościowe. Znaczący zagadnienia szacują jednak, iż ubiegła wojna i rewolucja kosztowała Rosję 26 milionów ludzi, t.j. licząc w tym nie tylko straty wojskowe ale i straty w ludności cywilnej, zarówno wywołane bezpośrednio akcją wojenną i rewolucyjną jak i spowodowane epidemiami, zmniejszeniem się liczby urodzin, zwiększoną śmiertelnością, itp. Ekspert amerykański p. Lorimer ocenia, iż 1/3 tych strat należy przypisać wojnie, 2/3 rewolucji. Straty te przedstawiają około 18,5% ludności Rosji, podczas gdy ta sama cyfra strat ludnościowych wywołanych ubiegłą wojną wynosiła dla Anglii 3,9%, dla Francji 7,7%, dla Niemiec 8%. Najwyższą cyfrę miały Serbia i Czarnogóra — 31,3%; straty w ludności polskiej oceniać należy na około 18%. Do 1939 r. jednak Rosja nie tylko że nadrobiła straty, ale ponadto ludność jej wzrosła o dalsze 23 miliony.

Czy Rząd Sowiecki zapatruje się na przyszłość również optymistycznie, trudno powiedzieć. Niemniej w lipcu br. opublikowany został w Moskwie dekret, który według opinii znawców stanowi jak dotąd najbardziej daleko idący i kompletny program rządowy w sprawie polityki ludnościowej.

Jednym z głównych punktów tego programu jest rozszerzenie pomocy pieniężnej dla matek, które począwszy od trzeciego dziecka otrzymują zapomogi, znacznie zwiększone w porównaniu z stawkami dotychczasowymi. Dochodzą do tego różne inne przywileje i ulgi, a ponadto możliwość otrzymania jednego z 3 nowo ustanowionych orderów „Chwała macierzyństwa”, „Medal macierzyństwa” i „Order heroicznej matki”. Specjalne postanowienia dotyczą również opieki nad dziećmi nieślubnymi, co ma duże znaczenie w związku z niewątpliwą przewagą ludności płci żeńskiej po wojnie. Opieka ta ujawnia się w formie specjalnej pomocy finansowej dla matki, o ile ma ona zamiar dziecko sama wychować, względnie prawa ulokowania dziecka w specjalnych instytucjach, co zgodnie jest z metodą wychowywania dzieci przez państwo. Z drugiej strony, prawdopodobnie w celu nie zniechęcania ewentualnych ojców, matka dziecka nieślubnego nie ma prawa skarżyć ojca o alimenty. Wreszcie, kawalerowie jak i małżeństwa z ilością dzieci poniżej trzech podlegają specjalnemu opodatkowaniu. Wbrew dotychczasowej praktyce ponadto, wspomniany dekret dąży do utrudnienia rozwodów, które odtąd wymagają specjalnie kosztownej i skomplikowanej procedury. W rezultacie więc jedynie lepiej uposażone klasy będą w przyszłości mogły przeprowadzać rozwody.

Nie trzeba jednak zapominać, iż nie tylko globalna cyfra ludności ma poważne znaczenie — problemem pierwszorzędnej wagi jest również struktura wieku ludności danego kraju. Charakterystycznym symptomem ubożego i nierozwiniętego gospodarczo kraju rolniczego jest przewaga ludzi młodych — rezultat dużej płodności i wysokiej umieralności. Taką strukturę wieku mają np. współczesne Indie. Jest to struktura która bardzo podobna jest do struktury Anglii 100 lat temu, tj. w 1841 r.

Spółceństwo kraju, w którym przeważają młodzi wyobrazić sobie można graficznie jako piramidę, u spodu której znajduje się grupa najliczniejsza, tj. noworodków, natomiast wyższe pokłady obrazują kolejno następne grupy wieku. Szczyt piramidy reprezentuje najmniej liczna grupa starców.

Obraz graficzny społeczeństwa o zmniejszającej się cyfrze ludności przypomina nie piramidę ale kształt chińskiej lampy o wąskiej podstawie lecz z wybrzuszeniem w środku. Znaczy to, iż liczba noworodków jest niewystarczająca nawet aby zastąpić rodziców. Im starsze jest społeczeństwo tym w figurze ludnościowej wybrzuszenie to przesuwają się wyżej.

Struktura wieku ludności stanowi o wielkości siły roboczej danego kraju, która razem z zasobami naturalnymi i urządzeniami technicznymi jest elementem decydującym o gospodarczym i politycznym znaczeniu danego kraju w świecie.

Problem „manpower”, czyli rezerwuaru sił roboczych ma dwa aspekty. Rozpatrywać go można z punktu widzenia ilości mężczyzn od wieku lat 15-64, co jest okresem ich życia w którym biorą oni udział w procesie produkcyjnym względnie ilości mężczyzn w wieku lat 15-34, kiedy stanowią oni potencjalnych żołnierzy. W obu wypadkach, jeżeli chodzi o okres do roku 1955, oszacowanie jest stosunkowo nietrudne, gdyż w 1940 r. wszyscy mężczyźni należący do powyższych kategorii byli już przy życiu.

Do r. 1970-go dziewięć dziesiątych zwiększenia się siły roboczej przypada na ZSSR i Poł. Wschodnią Europę, jedna dziesiąta tylko na kraje Zachodniej i Północnej Europy. Te ostatnie wykazują lekki wzrost do r. 1955 a następnie szybki spadek. Jeśli przyjąć, iż tendencje rozwojowe sprzed 1940 r. będą kontynuowane, cała Europa poza ZSSR wykazuje wzrost o 20 milionów, zaś ZSSR, licząc w granicach z 1939 r., 35 milionów.

Aczkolwiek do 1955 r. liczba sił roboczych wzrasta wszędzie, w każdej grupie krajów mamy inny obraz. W latach 1940-45 w przemyśle Belgii i Anglii na 100 mężczyzn wycofujących się z procesu produkcyjnego 115 gotowych będzie do ich zastąpienia. W wschodniej Europie odpowiadająca cyfra wynosi 200, w ZSSR — 275.

W latach 1965-70 sytuacja zmienia się zasadniczo. W krajach zachodniej Europy na 4 osoby opuszczające pracę z powodu wieku już tylko jest 3 nowych kandydatów. We wschodniej Europie sytuacja wygląda tak samo jak w krajach zachodniej Europy w okresie 1940-45. Jedyne ZSSR w okresie tym pozostanie wciąż jeszcze krajem przed którym stać będzie poważny problem znalezienia zatrudnienia dla narastającej ludności.

Brak równowagi pomiędzy zachodem i wschodem jest jeszcze wyraźniejszy jeżeli brać pod uwagę liczbę mężczyzn w wieku wojskowym, tj. od 15-34 lat. Podczas gdy zaraz po Wielkiej Wojnie ilość mężczyzn, w wieku wojskowym w Niemczech, Francji i W. Brytanii, razem wzięta, odpowiadała mniej więcej odnośnej pozycji w ZSSR, tj. około 24 milionom, w 1940, ta sama cyfra wynosiła już dla Rosji 30 milionów, przewyższając tym samym wspomniane trzy kraje o ca. 6 milionów. W 1970 r. cyfra rosyjska wg dotychczasowej linii rozwoju wyniosłaby ponad 43 miliony, czyli przeszło 2 razy więcej niż wymienione wyżej kraje.

Oczywiście liczba ludności nie stanowi jeszcze ani o znaczeniu kulturalnym, ani o wadze gospodarczej, ani też o potędze militarnej danego państwa czy kontynentu. Jeśli chodzi o dziedzinę militarną, to widzimy co prawda w toczącej się obecnie wojnie japońsko-chińskiej czy rosyjsko-niemieckiej, jakie znaczenie mają niewyczerpane rezerwy ludzkie, nawet gdy brak im odpowiedniej organizacji czy ekwipunku. Nowoczesna zaś technika i nowe totalitarne metody będą w stanie krajom nierozwiniętym przynieść szybko podniesienie także potencjału gospodarczego.

Przewidywania ruchów ludności oparte na obserwacjach tendencji statycznych mogą oczywiście ulec dużym zmianom i ewolucjom. Duże, aczkolwiek jak doświadczenie uczy czasowe tylko wyłomy zrobić może wojna, a także pewne korektury w poszczególnych krajach dać mogą ruchy emigracyjne. Ale tylko zwiększenie płodności wywołane świadomą polityką wpływania na spotęgowanie liczby urodzin przynieść może zasadniczą zmianę w istniejących obecnie tendencjach rozwojowych. Pamiętać należy, że tego rodzaju polityka, o ile posunięta zbyt daleko, posądzona może być o zamiary agresywne, wywołując w innych ośrodkach reakcję w formie podobnej polityki. Europa mogłaby wówczas łatwo być zdystansowana, zwłaszcza, jeżeli do tej formy współzawodnictwa staną społeczeństwa młode.

Wszystko wskazuje na to, że Europa jeszcze w czasach naszego pokolenia stanie się kontynentem o zmniejszającej się ludności, i do tego faktu będzie musiała dostosować swą psychikę i swą politykę. Wydaje się, iż jest to jeszcze jeden argument za zjednoczeniem się kontynentu, który w przeciwnym razie, razem ze swym dziedzictwem cywilizacyjnym skazany byłby na powolną lecz pewną zagładę.

TADEUSZ RÓŻYC

## ŻYWA POLSKA

Pisarze-ekonomiści (a może nie tylko ekonomiści) dzielą się na dwie grupy. Nudnych i ciekawych. Niekiedy tak nudnych, że gdyby nawet byli naoczniymi świadkami Nocy Św. Bartłomieja, to potrafilyby ją opisać w sposób usypiający najcierpliwszego badacza historii. Niekiedy znów tak ciekawych, że przebiegiem koniunktury cen cukru

trzciniowego w połowie XIX stulecia zdołają zainteresować czytelników, wychowanych wyłącznie na romansach kryminalnych. Niestety, pierwsza grupa pisarzy jest nierównie większa od drugiej. Dlatego zapewne, choć tematy gospodarcze wzbudzają dziś powszechne zainteresowanie, to jednak książki ekonomiczne nie nazbyt często są

czytane poza gronem specjalistów. Prof. Ferdynand Zweig należy do drugiej grupy pisarzy: ciekawych, a jego ostatnia książka „Poland between Two Wars” (Secker & Warburg, London, 1944 — stron 176) wiąże uwagę czytelnika od początku do końca.

Trudno ją nazwać zresztą opracowaniem wyłącznie ekonomicznym. Tematy społeczne, a zwłaszcza polityczne, stanowiąc tło książki, są jednak przedstawione z pasją polityka, nie tylko ekonomisty. Zostały one potraktowane dostatecznie obszernie, aby studium prof. Zweiga zaliczyć również do literatury politycznej współczesnej Europy. Autor potrafił uniknąć błędów propagandzisty, który przedstawiłby dodatnią wyłącznie stronę dziejów polityczno-ekonomicznych Polski w okresie 20-lecia między wojnami. Prof. Zweig nie ukrywał w cieniu tego, co uważać chce za błąd lub nieudane poczynanie. Przeciwnie, jest kategoriyczny w formułowaniu swych ocen i sądów. Skutkiem tego książka ma też i charakter polemiczny. Czy wówczas gdy zajmuje się reformą Grabskiego, czy — gdy analizuje Piłsudczynę bez Piłsudskiego, czy wreszcie — gdy (w jednym z najlepszych rozdziałów książki) widzi punkt zwrotny polskiej polityki gospodarczej w fakcie niepowodzenia Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej w Londynie z 1933 r. Wprowadzenie elementu subiektywnej oceny, przedstawianie zarówno blasków jak nędz naszego życia, niezamazywanie ostrości konturów sprawia, że z książki wyłania się Polska prawdziwa, nie zaś Polska malowana. Toteż, gdybym chciał szukać polskiego tytułu dla tego studium, tobym je nazwał: „Żywa Polska”. Ta cecha książki nadaje jej szczególną wartość dla brytyjskiego czytelnika. Nasza dotychczasowa propaganda — pisana, mówiona i szepkana, oficjalna i nieurzędowa, świadoma i bezwolna — urobiła w pozabawionych na ogół żywszej wyobraźni oczach angielskich niezbyt prawdziwy, a co najmniej niepełny, ułamkowy i fragmentaryczny, obraz

Polski. Kraju łąnów pszenicznych, pełnych zwierzających nimi „landlordów”; kraju wspaniałego żołnierza, bez miary szafującego swą krewią na wszystkich frontach świata; kraju romantyzmu, poświęceń i mistycyzmu, uosobionego w figurze Chrystusa który dźwiga krzyż na Golgotę; kraju uroczych indywidualnie ludzi, ale skłóconego i bez zmysłu politycznego społeczeństwa.

Książka prof. Zweiga daje pogląd o Polsce prawdziwej. Mówi o reformie walutowej i o Banku Polskim; o kartelach i o Centralnym Okręgu Przemysłowym; o zaporach wodnych i o polityce finansowej; o Powszechnej Wystawie Krajowej i o obu polskich Konstytucjach; o wyborach sejmowych i o reformie rolnej. A wszystko udokumentowane faktami, nazwiskami (może ich trochę za wiele jak na zdolność absorpcyjną obcego czytelnika), liczbami. Tymi ostatnimi autor nie przeładował książki, zgodnie ze słusznym założeniem posiłkowania się zestawieniami liczbowymi tylko tam, gdzie są one niezbędnie potrzebne celem zrozumienia toku myślenia autora. Pedantyczny krytyk mógłby wytknąć pewne nieścisłości lub niedopatrzona w ustalaniu przedwojennego stanu faktycznego; mógłby kwestionować niektóre oceny liczbowe autora. Są to jednak szczegóły, które z łatwością będzie można poprawić w następnych wydaniach książki. Nie mają one większego znaczenia dla czytelnika, który pragnie sobie wyrobić syntetyczny pogląd na przebieg zdarzeń i osiągnięcia dokonane w życiu polskim na przestrzeni lat 1918-1939. Sąd nieuprzedzonego czytelnika musi wówczas wypaść pozytywnie, a nawet bardzo dodatnio. Okazuje się bowiem, że najważniejsze poczynania uwieńczono zostały pomyślnymi rezultatami. Zaliczyć do nich przede wszystkim wypadnie:

szybką odbudowę powojenną Polski, dokonaną bez odszkodowań i pomocy zagranicznej — przeciwnie nawet, obciążoną długami wojennymi i „reliefowymi”;



zjednoczenie gospodarcze trzech zaborów Polski,

budowę portu w Gdyni i — w konsekwencji — uprzemysłowienie Pomorza,

uprzemysłowienie Centralnej Polski,

przeprowadzanie szeroko pomyślanej reformy rolnej,

wprowadzenie szerokiego systemu ubezpieczeń społecznych, który już zaczął wydawać rezultaty powszechnego podniesienia stanu zdrowia ludności (spadek stopy śmiertelności),

inwestycje miejskie zmierzające ku modernizacji naszych miast i osad.

Polaka, czytającego tę książkę, zainteresują szczególnie wnioski na przyszłość, jakie wyciąga autor z krytycznego studium przeszłości. Są one zebrane w ostatnim rozdziale, zatytułowanym: „Looking ahead — a personal note”.

Na czele postulatów, sformułowanych w imię polskiej powojennej racji stanu, autor — zgodnie ze swym zasadniczym światopoglądem — wysuwa tezę moralno-polityczną. Jest nią konieczność jedności narodowej we wszystkich naszych poczynaniach. W oparciu o nią będziemy mogli uporać się z wielkimi i ciężkimi zadaniami, jakie postawi przed nami życie; pozwoli ona na szczęśliwe połączenie wolności i demokracji z dobrobytem i postępem.

Dalej autor postuluje wolny i pewny dostęp do morza oraz otwarcie granicy rosyjskiej dla handlu polskiego, dopatrując się w tych okolicznościach warunków prosperacji gospodarczej naszego kraju.

Współpraca międzynarodowa i pomoc zagraniczna jest niezbędna dla naszego kraju, jeśli odbudowa Polski ma być przeprowadzona szybko i skutecznie. Pomoc ta i współdziałanie nie mogą zresztą ograniczyć się do pierwszego okresu o charakterze „reliefowym”, lecz muszą być pomyślane i wykonane szerzej i głębiej, dotycząc w dłuższym okresie czasu również odbudowy i normalizacji życia gospodarczego. Działania takie objąć powinno nie tylko Polskę, lecz

wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w imię gospodarczej integracji regionu. Autor przywiązuje osobliwe znaczenie do rozwiązania sprawy chłopskiej, rysując poszczególne etapy prawidłowej i zorganizowanej akcji w tym kierunku. Wskazuje więc na konieczność: reformy rolnej, technicznych udoskonaleń rolnictwa (tanie nawozy sztuczne i narzędzia rolnicze), rozwoju przemysłu przetwórczo-rolnego, postępu w gospodarce hodowlanej i nasiennej, wzmocnienia organizacji spółdzielczej, uzbrojenia technicznego terenu, szerokiej akcji budownictwa wiejskiego.

W sprawie kluczowej dla naszej przyszłości — uprzemysłowienia Polski — autor wypowiada się za programowym długoletnim, np. 15-letnim, działaniem opartym na 3-letnich planach gospodarczych.

Przygotowaniem i podbudówką podniesienia gospodarczego kraju musi być dobrze przemyślany i przygotowany program edukacyjny. Stąd autor słusznie wysnuwa postulat rozwoju szkolnictwa elementarnego, średniego, zawodowego i wyższego, oraz budowy sieci zakładów dokształcających, doskonalących i uczących zawodu.

Jako przykład celowego w naszych warunkach planowania prof. Zweig podaje Centralny Okręg Przemysłowy. Jest to zresztą temat, któremu autor poświęcił ze znajomością przedmiotu wiele uwagi i umiłowania zarówno w obecnej, jak w poprzedniej swej książce, wydanej na ziemi angielskiej („The Planning of Free Societies”).

Czy nie można by namówić prof. Zweiga, aby następna jego praca w języku angielskim dotyczyła tego właśnie tematu? Realizowanie w życiu planów gospodarczych interesuje bardzo żywo brytyjskich czytelników. Dlatego też literatura, dotycząca np. planowego rozwoju gospodarczego doliny rzeki Tennessee jest już obfita i rozchwytywana. Pisarz tej miary, co Julian Huxley, poświęcił sprawom Tennessee: Valey Authority pięknie wydaną i z wielkim smakiem ilu-

strowaną książkę. „Pingwin” w serii swych tanich 9-cio-pensowych książeczek rzucił na najszerszy rynek anglosaski nowe, doskonale opracowanie tematu zatytułowane: T.V.A.

Gdyby pod tytułem: C.O.P. prof. Zweig napisał o polskim ekspery-

mencie planowania — zyskałby nie tylko wdzięczność ciekawego prawdy czytelnika, lecz zachęciłby go może również do przyjrzenia się bliżej innym zagadnieniom, które z talentem i znowstwem poruszył prof. F. Zweig w swej książce o Żywej Polsce.

EUGENIUSZ CEKAŁSKI

## SPOTKANIE NA HYDE PARK CORNER

W Hyde Parku w sierpniową niedzielę r. 1942 były mundury ale nie było wojny. Grała orkiestra wojskowa i Anglicy jak ćmy zbiegli się do ognia tłumem barwnym. Panienki, żołnierze — wszelkich alianckich kolorów — stare paniusie, emeryci. Siedziałem z Witkiem na trawie. Mówił o swoich przygodach na morzu. Chłód wieczoru spadał wraz ze zmrokiem. Było kolorowo i pstro, choć orkiestra gwardii miała na sobie zamiast przedwojennych czerwonych kurtek zgnite mundury khaki. Gdy zabrzmiało dumnie i twardo „God save the King”, zerwaliśmy się wszyscy — cisza i sztywność objęły cały tłum — lecz na chwilę tylko, zaraz potem śmiech, gwar, szelest sukien i tysiąc ciężkich stąpań żołnierskich butów. Szliśmy wśród rozsypanych się tłumów i Witek mówił dalej. Mijali nas rogaci oficerowie polscy, raz po raz błysnęło POLAND na ramieniu buńczucznych, wesołego lotnika. Aż nagle głos wysoki i krzykliwy odezwał się za nami — Panowie! Panowie! przepraszam, przepraszam, panowie, ja sze tak czesze!

Oglądamy się. Przeciska się za nami osoba mała i siwa, ubranie tabaczkowe, brudne, krawat związany na pętelkę, łysina spalona słońcem na bronz, małe oczki patrzą wesoło, w ustach sterczy uroczyście jeden jedyny ząb. Staliśmy, czekamy, podbiegł i woła — Panowie, ja sze tak czesze, jak ja polski usłysze. Panowie, ja przepraszam, czy panowie nie wiedzą, czy tu jest z wami Wiluś Szrajber z Warszawy,

dwadzieścia szedem lat stary, żołdat, panowie nie znają, nie? Oj, panowie co robicz, ja go szukam a ja stary człowiek jestem, pisacz nie umiem, czytacz nie umiem, co robicz? Panowie z Warszawy? Z Warszawy i Wilusz Szrajber nie znają? Panowie, przepraszam, szedemdzieśat lat stary jestem, pięćdziesięt lat ja po polsku nie mówił. Panowie, a może panowie słyszeli, pan doktor major Baranowski z Warszawy? Panowie nie słyszeli? On w Brusels na uniwersytecie był. Panowie, ja sze tak czesze po polsku słuczacz, panowie, przepraszam.

Witek zniecierpliwiony trochę i ubawiony pyta — A Pan kiedy z Polski przyjechał?

— Piendzieśat lat, panowie. To więc panowie z Warszawy i panowie nie znają Wiluś Szrajber, żołdat z Warszawy, nie znają? Ani Pan doktor major Baranowski? Jak to może bycz, panowie. Panowie, panowie, a panowie Sempolno znają? Uj, Sempolno, uj, Kutno, Szerpiec, uj, Wrocławek. Pan znasz Wrocławek? To jest miasto, cy, cy. Albo Konin panowie znają — panowie, tam kempa jest jak w samej Warszawie. Panowie, uj, Konin, Sempolno, Kutno, Szerpiec, Wrocławek. A miasto Łódź pan znasz, co pan nie znasz miasta Łódź? Panowie, przepraszam, stary człowiek jestem, Wiluś Szrajber, żołdat z Warszawy, dwadzieśca szedem lat stary, panowie nie znają? Ani pan major doktor Baranowski, uj, panowie, co robicz?

Niech Pan idzie do Rubensa — radzę — tam jest taki wydział, odszukają. Oburzył się bardzo. — Jakim sposobem? Jakim sposobem? Pisacz nie umiem, czytacz nie umiem, stary człowiek jestem. Ja u konsula generalnego był, pytam sze jego, panie konsul, Wilusz Szrajber, żołdat z Warszawy, dwadzieszcza szedem lat stary, on nic.

Z czego pan żyje? — pyta Witek w przerwie między jedną lawiną słów a drugą.

Z czego — tu nasz rozmówca uderzył się brudną ręką po piersi — ksząszke tu mam. Z czego żyję? Ze starostwa żyję.

Z czego? — pyta Witek.

Ze starostwa, stary człowiek jestem, na ksząszke co tydzień funta dają. Ale panowie, panowie, ja sze tak czesze, jak ja po polsku mogę rozmawiacz, panowie na pewno nie

znają, na pewno nie słyszeli Wilusz Szrajber, żołdat z Warszawy, nie? Panowie z Warszawy i nie słyszeli? Jak to bycz może?

Warszawa duże miasto — mowi Witek.

Duże miasto, oj! Ale Kutno, Łowicz, Wrocławek. Znasz pan Wrocławek? Tam jest biskup, panowie. Panowie, ja przepraszam, ja sze tak czesze, ja panom dobrze życzę, stary człowiek. Ale że panowie o Wilusz Szrajber nie słyszeli, jak to może bycz, jakim sposobem? Panowie, do widzenia.

Podał nam rękę, błysnął jedynym zębem, odszedł, mrużąc do siebie.

Szli wśród tłumu londyńskiej niedzielnej hołoty polscy żołnierze, lotnicy, marynarze. Czy był pomiędzy nimi Wiluś Szrajber, żołdat z Warszawy dwadzieszcza siedem lat stary? Kto to wie?



## SPIS RZECZY

	Str.
ANTONI SŁONIMSKI — <i>Módlitwa o słowo</i> .. .. .	801—802
ZYGMUNT HAUPT — <i>Ludzie na wsi</i> .. .. .	803—810
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Na promenadzie</i> .. .. .	810—811
PORUCZNIK HERBERT — <i>Flying control</i> .. .. .	811—829
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Wici</i> .. .. .	829
ALEKSANDER PISKOR — <i>Ucieczka z Shinabara</i> .. .. .	830—843
STEFAN THEMERSON — <i>Z encyklopedii wieczorów rodzinnych...</i> .. .. .	843—849
STEFAN ŁĘCZYC — <i>Lutnia Puszkina</i> .. .. .	849—852
JULIAN STAWIŃSKI — <i>O rzady rozumu</i> .. .. .	853—856
TOLA KORIAN — <i>Yvette Guilbert</i> .. .. .	856—867
TOMASZ JANTA POŁCZYŃSKI — <i>O problemie ludnościowym Europy</i> .. .. .	867—871
TADEUSZ RÓŻYC — <i>Żywa Polska</i> .. .. .	871—874
EUGENIUSZ CĘKALSKI — <i>Spotkanie na Hyde Park Corner</i> .. .. .	874—875

3/- Published by „Nowa Polska“ 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALB & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 83-91 Great Titchfield Street London W 1 3/-

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i



KOLACJE

## Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM  
G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I

Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA  
FRANCUSKA

# LACOQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.  
LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

## DUDZICA

najstarsza polska restauracja  
W LONDYNIE

11-13 PARK WAY, N.W.1

u wylotu Regent Park

NAJLEPSZA

TRADYCYJNA POLSKA  
KUCHNIA

Obiady: 12—3 popoł.

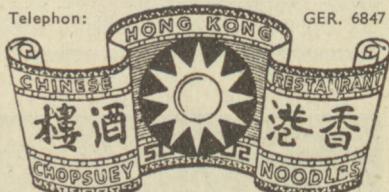
Kolacje 6—9 wiecz.

W środy zamknięta.

Dojazd: podziemną i autobusami do  
przystanku Camden Town

Telephone:

GER. 6847



## HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue  
London, W. I.

otwarta do godz. 10 w nocy.

NAJLEPSZA CZESKO-POLSKA KUCHNIA

## DUDLEY-COURT RESTAURANT

68, Edgware Road

London W. I

zaprasza P. T. Obywateli Polskich na smaczne OBIADY i KOLACJE

~~~~~ Mówi się po polsku ~~~~~

Podajemy zawsze świeże polsko-czeskie specjalności

Ministerstwo W. R. i O. P. zawiadamia o wydaniu książek  
w serii „Biblioteka Rzemiosła i Techniki” Nr. 4

Inż. BOLESŁAW JAKUBOWSKI

„AKUMULATORY OŁOWIOWE I ŻELAZO-NIKLOWE“

Str. 75

Cena 3/-

i w serii „Biblioteka Harcerska” Tom III

Praca zbiorowa pod redakcją J. ŁAPIŃSKIEJ

„KSIĄŻKA ZASTĘPOWEJ“

Str. 154

Cena 3/-

Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach

TOM IV

TOM V

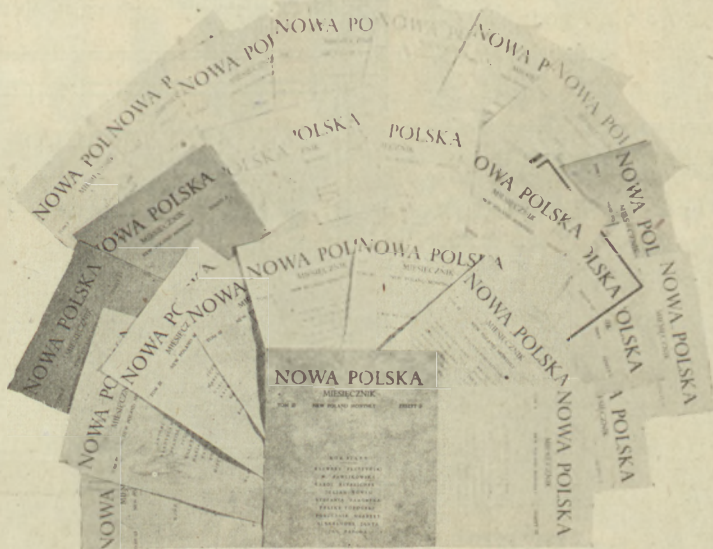
Prenumerata roczna na 1945 rok

£1.16.0

nie zmieniona

£1.16.0

★ ★ ★

CZASOPISMO POLSKIEJ MYŚLI  
NIEZALEŻNEJ

**NOWA POLSKA** jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

**NOWA POLSKA** służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

**NOWA POLSKA** pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciolkosz, Czuchnowski, Danilewiczowa, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falsa, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Hertz, Hładki, Janta, Karpiński, Konarska, Kossowski, Kot St., Kriedel, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łągniowski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Mrozowicki, Muczowski, Naglerowa, Nagórski, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Potworowski, Pragier, Ksaw, Pruszyński, M. Pruszyński, Slonimski, Sokółów, Stańczyk, Stawiński Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szczerbic, Szczytt-Lednicka, Solski, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wieniewski, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zuławski, Żyw.

Nowej Polskiej zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3,-. Abonament roczny z przesyłką:

|                                  |         |
|----------------------------------|---------|
| w W. Brytanii i Dominiach ... .. | £1 16 0 |
| w Ameryce Płn. i Płd. ... ..     | 87.50   |
| Roczniki Oprawne za 1942 ... ..  | £1 6 0  |
| " " " 1943 ... ..                | £1 15 0 |
| " " " 1944 ... ..                | £2 0 0  |

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.

TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub. czeków.

**ROCZNIKI OPRAWNE**  
ZA UBIEGŁE LATA SĄ NA WYCZERPANIU

Z pełnym prawem wypożyczenia trunków

## **BAYSWATER** HOTEL & RESTAURACJA

(Kierownictwo: D. Fobbri)

121, BAYSWATER ROAD,  
LONDON, W. 2.

naprzeciw Hydeparku,  
obok Queens Road stacji kolei podziemnej.

**KUCHNIA KONTYNENTALNA**

Obiady po 3/6 od godz. 12 — 3

Kolacje po 5/- od godz. 6:30—10

Dodatkowych opłat nie dolicza się

## **ESPLANADE**

**HOTEL RESTAURACJA**

2, WARRINGTON CRESCENT  
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz  
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała  
kuchnia polsko-rosyjska

**MÓWI SIĘ PO POLSKU**

Dojazd: Stacja kolei podziemnej  
Warwick Ave. na brązowej linii.

## **CASA PEPE**

restauracja hiszpańska  
znana klienteli polskiej ze  
swoich doskonałych  
specjalności

Osobiste kierownictwo  
właściciela

**J. SOLSONY**

52, DEAN STREET,  
róg Shaftesbury Ave., W. 1  
tel.: GERrard 3916

DOM ZASTAWNY  
I JUBILER

## **B. BOSHER & SONS**

464, EDGWARE ROAD,  
LONDON, W. 2.

Tel. PADdington 1482

Pożyczki na futra i biżuterie. Kupno i  
sprzedaż używanych futer.

Przechowywanie i konserwacja futer

**RESTAURACJA**

## **CHEZ AUGUSTE**

*Kuchnia francuska*

*Kierownictwo francuskie*

38, Old Compton Street, W.1,  
tel. GER. 2655

otwarta w niedziele

## **GENNAROS**

**RENDEZ-VOUS  
RESTAURANT**

Restauracja, która  
wita was uśmiechem  
i kwiatami

44, DEAN STREET,  
London, W. 1.

Tel.: GERrard 3950

NEW EUROPE, 11 West 42nd Street, New York 18, N. Y.

**We all want a new Europe!**

**We must understand the problems which face us.**

## **NEW EUROPE**

is a magazine devoted to the constructive discussion of Europe's problems, the forum for proposals and counter proposals by the people who are trying to make a better Europe.

We believe in international organisation and a democratic Europe, a cause as vital as peace itself. We believe that this cause is never lost.

## **Read NEW EUROPE**

It is trying to facilitate the achievement of these goals.

1 Year \$2.50 (\$3.00 abroad). Introductory offer of 6 issues \$1.00 (\$1.25 abroad).

*Polish*  
**ARTISTS**

*in Great Britain*



MZ.

KTO PAMIĘTA O SETKACH RANNYCH I CHORYCH  
ŻOŁNIERZY W SZPITALACH

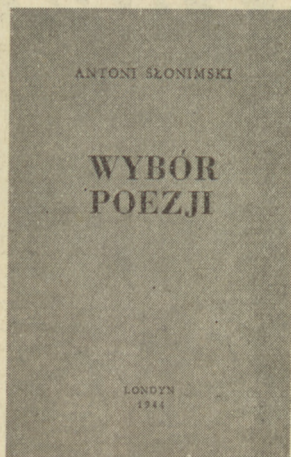
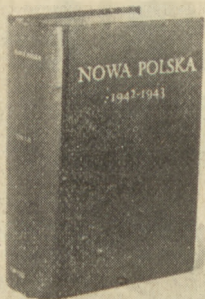
w Anglii, Francji i we Włoszech,

TEN NIE  
ZWLEKAJĄC

zamówi

**KOMPLET**

poniższych książek



*[Handwritten signature]*



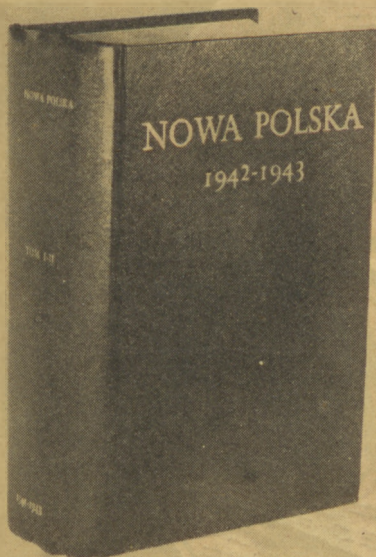
**MALARZE  
POLSCY  
W  
WIELKIEJ BRYTANII**



1944  
NOWA POLSKA

AKTUALNE KARTKI NOWOROCZNE

poświęcone Dywizji Gen. Maczka



CZY MASZ JUŻ  
TEN ROCZNIK  
W BIBLIOTECE?

**TECZKI**

z grubej tektury

sprzedają w księgarniach polskich

Cena 9d

Setka £2.10.0

NR

ROK 194



DZIAŁ

**TECZKA SPRAWY**

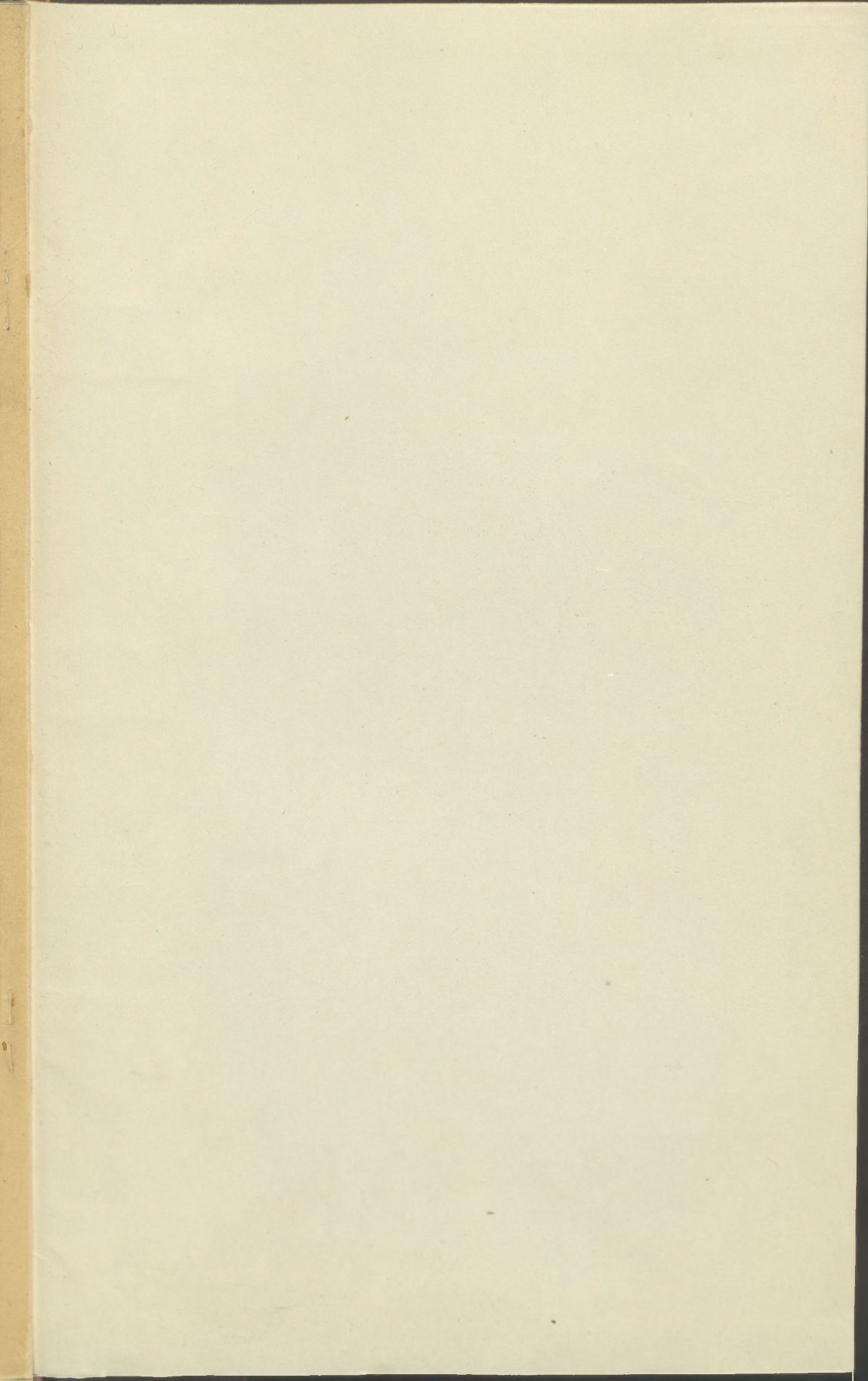
OBIEG SPRAWY

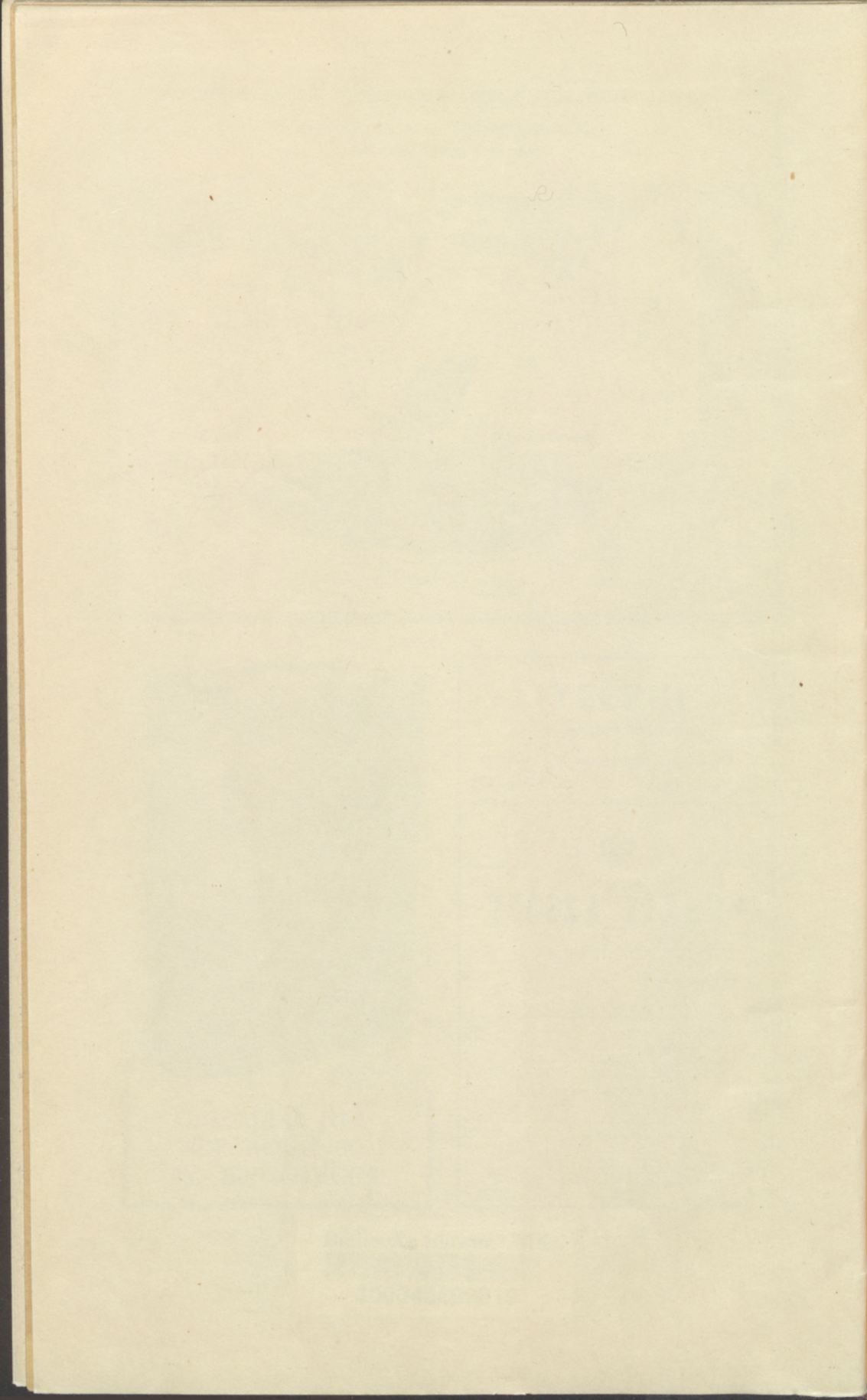
|              |  |
|--------------|--|
| STYCZEŃ      |  |
| LUTY         |  |
| MARZEC       |  |
| KWIECIEŃ     |  |
| MAJ          |  |
| CZERWIEC     |  |
| LIPIEC       |  |
| SIERPIEŃ     |  |
| WRZEŚNIĘC    |  |
| PAŃDZIEŚNIĘC |  |
| LISTOPAD     |  |
| GRUDZIEŃ     |  |

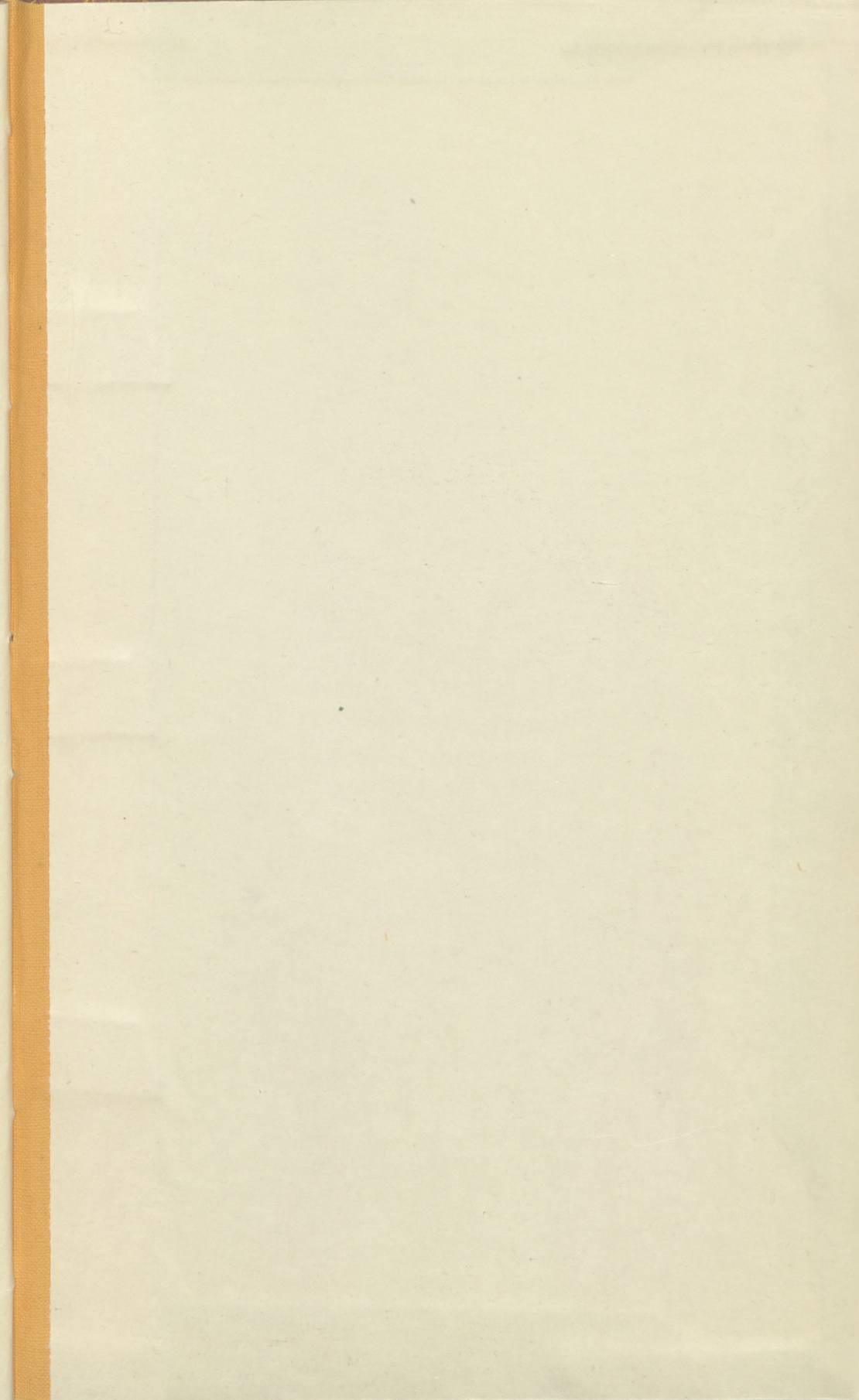
Biblioteka Główna UMK



300043899819







Biblioteka Główna UMK



300043899819